

Julie Anne Long
Nieuchwytny książę



Tytuł oryginalny: The Runaway Duke
Przekład Agnieszka Dębska

PROLOG

Czerwiec 1815

Sam już nie wiedział, czy śpi, czy czuwa. Dym i proch tamowały oddech. Muszkiet, rozgrzany i śliski od potu, o mało nie wysliznął mu się z ręki, gdy usiłował go ponownie załadować. Całe ciało zdrętwiało z wyczerpania, a otaczające go przeraźliwe dźwięki - rżenie koni, ludzkie wrzaski, szczęk metalu, tupot obutych nóg, huk dział - zlały się w jeden dziki harmider. Ponad tym wszystkim pulsował okropny, nieustępliwy ból.

- Hej, synu, słyszysz mnie?

Ktoś chwycił go za włosy, które zdołały urosnąć w ciągu tygodni nieustannego marszu, i spojrział prosto w twarz. Ujrzał przed sobą zimny blask oczu ojca, który powalił go na ziemię i kopnął w zębra. Gdy chroniąc się przed razami, usiłował zwinąć się w kłębek, ojciec wymierzył mu jeszcze kilka kopniaków, po czym podniósł go, bo nie cierpiał, kiedy w oczach syna nie mógł dostrzec znamion zadawanego cierpienia. Później gdzieś zniknął. A gdy on nadal usiłował załadować broń, Roddy Campbell dostał kulę prosto w brzuch. Widział, jak fontanną trysnęła krew. Roddy zwałił się na plecy, jak tyłu innych walczących. Nie był już wesołym Irlandczykiem, który czasami szachrował podczas gry w karty i tęsknił za matką, tylko bezwładną kupą szmat i ciała.

- Powiedz, jak się nazywasz - usłyszał znowu głos, który wyłaniał się z wszechobecnego hałasu, spokojny, lecz mimo to przykry i wrogi, bo wydobywał go ze stanu zamroczenia, a wraz z przytomnością powracał ból.

- Chyba nie słyszy, panie doktorze. Dałam mu trochę chininy, ale gorączka powraca.

- Roddy... - wystękał. Wydawało mu się ważne, żeby powiedzieć temu głosowi o Roddym. Ktoś powinien wiedzieć, że Roddy nie żyje.

- Co on gada?

- Chyba mamy odpowiedź na nasze pytanie.

Doktor z głębokim westchnieniem spuścił głowę, lecz zaraz ją uniósł. Rzadko sobie pozwalał na gest rezygnacji, co uchodziło tu za oznakę słabości.

- Jeśli on jest Roddym Campbellem, w takim razie tamten chłopak z przestrelonym brzuchem musi być młodym Blackburnem. Na pierwsze imię, jak twierdzi Pierce, miał Roarke, a potem jeszcze z pół tuzina innych, jak każdy wysoko urodzony Anglik.

Dziedzic Dunbrooke'ow. Byłby kolejnym księciem, gdyby nie zginął.

- Och - westchnęła kobieta. I wraz z lekarzem odwróciła się, żeby spojrzeć na zwłoki młodzieńca, któremu dopiero co obydwójce zakryli twarz. W Anglii arystokraci zawsze budzili szacunek i nawet teraz, na poboju Waterloo, tych dwoje ludzi zdawało się bardziej żałować zabitego tylko dlatego, że był najstarszym synem możnego księcia.

- Słyszałem, że stary książę wściekł się na syna za wstąpienie do wojska, i to w dodatku do piechoty - mruknął doktor. - Biedny młody postrzeleniec! Trzeba posłać wiadomość pułkownikowi. Pierce widział, jak obydwu ładowano na szpitalny wózek. Bardzo lubił Dunbrooke'a. Reszta tego regimentu nie żyje, wszyscy zginęli.

- Czy książę ma innych synów?

- Jednego. Powiadają, że to hulaka.

- Pomodłę się za duszę Roarke'a Blackburna, niech spoczywa w spokoju. Jak pan sądzi, czy Campbell wyżyje?

- Jeśli zdoła przetrzymać gorączkę - tak, rana na nodze nie jest śmiertelna. Trzeba dać mu więcej chininy, jeśli zdoła ją przełknąć. Kula ominęła kość, więc chyba nie straci nogi. Miał szczęście w przeciwieństwie do swego kompana.

Nazajutrz gorączka spadła. Tylko dzięki palącemu bólowi w nodze czuł, że nadal żyje. Gdy otworzył oczy, ujrzał nieśmiały, życzliwy uśmiech kobiety klęczącej tuż przy nim. Czy to może jej dom? Był w wiejskiej chacie pełnej rannych żołnierzy. Niektórzy już nie żyli, inni umierali lub walczyli o życie. Kobieta, która dała mu kubek wody, powiedziała do niego „Roddy”. Ujrzał w tym znak boży. Całe jego dotychczasowe życie składało się z walk. Miał ich dosyć. Postanowił, że jeśli przeżyje, nigdy więcej nie będzie się bił. Był wdzięczny losowi za pomyślny zbieg okoliczności. Podziękował w duchu ojcu za przemoc, zaciekłość i bezwzględność. Podziękował też Wellingtonowi za to, że nie dbał o ubiór swoich żołnierzy, byle tylko bili się dzielnie, bo dzięki temu nikt nie rozpozna go po mundurze, i podziękował Roddy'emu Campbellowi za użyczenie nazwiska. Na pewno nieźle by się uśmieł, gdyby o tym wiedział.

Dzięki chaosowi, jaki panował po bitwie, łatwo mu przyszło przeobrazić się w kogoś innego. Kiedy tylko mógł o własnych siłach opuścić prowizoryczny lazaret oraz uciec możliwie daleko zarówno od Napoleona, jak i własnych rodaków, Roarke Blackburn, teraz już Roddy Campbell, wsiadł na statek płynący do Anglii i zaszył się na angielskiej wsi. Odtąd miał tam żyć wolny i sam decydować o sobie. W pierwszej z brzegu karczmie pomodlił się w duchu i wznosił toast za zmarłego towarzysza. Postanowił jednak pozbyć się jego imienia i używać dwóch innych, tym razem własnych. A że miał spory wybór, uznał to za rzecz właściwą.

Roarke Blackburn umarł, pomyślał rozbawiony, i wznosił kolejny toast. Za zdrowie Connora Riordana.

Czerwiec 1816

- Jenkins... to znaczy Riordan... czy mogę cię prosić o przysługę?

Connor uniósł głowę znad siodła, które właśnie czyścił. Coś podobnego! Sir Henry Tremaine prosi o przysługę swego stajennego! Cóż, jego chlebodawca był właśnie taki: łaskawy i budzący szacunek, tyle że roztargniony. Nieraz mówił do niego „Jenkins”, bo tak zwał się ogrodnik; z kolei do ogrodnika zwracał się „Riordan”, co Connor przyjmował z zadowoleniem, bo dzięki temu łatwiej mu było zachować anonimowość. Gdy spotkali się w wiejskim pubie jakiś tydzień temu, sir Henry wziął go za swego irlandzkiego stajennego, co bardzo Connorowi odpowiadało. Z miejsca zaczęli typowo męską rozmowę o koniach, aż w końcu dobroduszny sir Henry, rozgrzany piwem i uradowany jego rozległą wiedzą na ten temat, zaofiarował mu pracę u siebie. Czemu nie? Connor był zadowolony z tej propozycji. Znał się na koniach, a przenosił się z miejsca na miejsce bez celu już prawie rok. Dach nad głową, sympatyczny chlebodawca, skromny, lecz godziwy zarobek... Doskonale mu to wystarczy do czasu, gdy dojdzie do wniosku, że wie, co zrobić z resztą życia.

- Przysługa? Oczywiście, sir. O co chodzi?

- Ehm... o moją córkę.

- Córkę?

- Tak, o tę młodszą. O Rebekeę. Siedzi na drzewie. Z powodu psa. Daisy, stara suka o brunatnej sierści, którą Connor widział kilka dni wcześniej, tej nocy zdechła we śnie.

Zgnębiona Rebeka tuż po śniadaniu wdrapała się na najwyższą jabłoń w całym sadzie i chociaż zbliżała się pora obiadu, nie chciała stamtąd zejść mimo głośnych napomnień obojga rodziców.

- Mam już swoje lata, Riordan, nie jestem tak zręczny, jak dawniej, trudno byłoby mi się po nią wdrapać. Rebeka jest niezwykle upartym stworzeniem i czasami potrafi się zachować jak łobuzica, ale to dobra dziewczyna.

Connor miał słabość do upartych łobuzic.

- Pójdę po nią, sir.

Udał się więc za sir Henrym pod imponujące drzewo podobne do ogromnej, gruzłowatej, rozczapierzonej dłoni. Wspiął się na nie i spostrzegł bladą, rudowłosą, szczupłą dziewczynkę o cienkich jak patyczki, długich rękach i nogach. Kurczowo przywarła do grubej gałęzi z zawziętą miną, najej policzkach zaschły ślady łez.

- Coś ty za jeden?! - prychnęła gniewnie, kiedy spostrzegła wśród gałęzi jego ciemnowłosą głowę.

- Connor Riordan, panienko, stajenny papy. A panienka to pewnie Rebeka? Miło mi panienkę poznać.

- Mnie też miło cię poznać, Riordan. - Connor z rozbawieniem przekonał się, że strach i gniew ustąpiły miejsca grzeczności, jakby dziewczynka wzdragająca się przed nieuprzejmym zachowaniem. - Nie jesteś chyba Anglikiem?

- Nie, panienko, Irlandczyk ze mnie, jak ze świętego Patryka. Rebeka kiwnęła głową, patrząc na niego z zaciekawieniem.

- Żal panience Daisy, prawda? Dobra z niej była suka. Polubiłem ją.

- To ty ją znależ? - spytała na wpeł z nadzieją, na wpeł podejrzliwie. Łzy znów napłynęły jej do oczu.

- O, tak. Widziałem ją wczoraj. Jakie zacne miała spojrzenie! Była już słaba, ale najwyraźniej jej się spodobałem.

Rebeka zaczęła nagle mrugać oczami znów pełnymi łez, ale próbowała się uśmiechnąć.

- Powłóczyła tylnymi łapami, nie widziała już dobrze, a sierść miała mocno szpakowatą. Chyba masz rację, że już słabła, ale była moim najlepszym przyjacielem i bardzo mi jej będzie brakowało.

- O, szczęśliwa z panienki dziewczyna, skoro tak było. A Daisy też ma szczęście, że ktoś jej tak żałuje. Chętnie bym się z panienką lepiej zaznajomił.

Rebeka przytaknęła mu skinieniem głowy.

- Jak myślisz, gdzie ona teraz może być? - spytała niemalże szeptem, jakby się lękała odpowiedzi.

- O, na pewno w niebie. I gania tam za swoim ogonem albo za królikami. Pewnie co chwila jakiegoś łapie. Ale tylko dla zabawy, bo w niebie nikt nikogo nie zjada. Nie powłóczy już łapami, a każdego wieczoru dostaje okrawki z pańskiego stołu.

Rebeka znów się uśmiechnęła i przetała oczy grzbietem dłoni. Wyraźnie jej ulżyło po jego słowach.

- Pastor nie wie, czy zwierzęta idą do nieba - mruknęła niechętnie. - Ale ja myślę, że Daisy tak.

- Powiem coś panience w sekrecie: duchowne osoby nie zawsze wiedzą, co odpowiedzieć na ważne pytania. Ale proszę nie mówić pastorowi tego, co powiedziałem.

- Chyba masz rację. Nasz pastor nie lubi, kiedy go o coś pytam, ale ja i tak to robię. Nie umiem inaczej. Tyle jest pytań, na które chciałabym znać odpowiedź!

- Założę się, że panienka zadaje bardzo dobre pytania. - Connor uśmiechnął się szeroko. Rebeka znów kiwnęła głową z powagą, jakby to rozumiało się samo przez się!

- Wie panienka, że pan kupił dziś nowego konia? Młody arab, jeszcze żrebak. Wabi się Maharadża. Duży siwek. A może by tak rzucić na niego okiem?

Po chwili namysłu Rebeka przytaknęła, a Connor wyciągnął ku niej rękę.

- Mogę sama zejść z drzewa - parsknęła z pogardą.

- Wiem, ale przecież panienka zmęczona, prawda? A mnie wszyscy pochwalą, jeśli pomogę panience. I spodobam się panienki tacie, a jestem tu nowy. Co panienka na to powie?

Rebeka po namyśle uśmiechnęła się i z ufnością objęła go rękami za szyję. A Connor, rozpromieniony, zszedł na dół, trzymając dziewczynkę w opiekuńczym uścisku. Była lekka jak piórko.

1

Maj 1820

Pozwól na słówko, Rebeko.

Lady Tremaine stała na schodach z płonąca świecą w dłoni i nocnym czepku na siwiejących włosach. Nie była wysoka, a w wieku średnim zrobiła się w dodatku okrągłutka. Nocny strój spływał w obfitych fałdach wokół jej pełnej figury. Zazwyczaj robiła miłe wrażenie, ale nie tym razem, bo usta miała mocno zaciśnięte, a w oczach błyszczały łzy.

- Idź do łóżka, Lorelei. Rebeko, proszę za mną. Zalekniiona Rebeka pospieszyła za matką do bawialni.

Lady Tremaine nie usiadła ani też nie kazała usiąść córce, tylko od razu przeszła do rzeczy.

- Zawiodłam się na tobie!

- Mamo... - zaprotestowała żałośnie Rebeka. Matka uniosła gwałtownym ruchem dłoń:

- Tak, zawiodłam się! Co prawda można by rzec, że wyjątkowo trudno sobie z tobą poradzić, ale matka ma obowiązek nauczyć córkę tego, co potrzebne będzie jej w życiu! Bóg mi świadkiem, że się starałam...

Tu głos odmówił jej posłuszeństwa, a spod powiek stoczyła się łza.

Rebeka z przerażeniem śledziła, jak spływa po policzku w blasku świecy. Widziała rozpacz na twarzy matki - prawdę mówiąc, zdarzało się to wielokrotnie - podobnie jak rozczarowanie i gniew z powodu czegoś, co córka zrobiła lub czego nie zrobiła. Ale nigdy jeszcze nie widziała jej łez.

- Starałam się - ciągnęła lady Tremaine, opanowując się - wpoić ci skromność, uczciwość i dobre maniery. Próbowałam dawać ci w tej mierze dobry przykład. Zapewniłam ci naukę kilku stosownych dla młodej damy umiejętności, jak gra na fortepianie i haft. A nie robiłam tego wcale po to, żeby cię ukarać, jak pewnie ci się wydaje, lecz by cię chronić. Kobieta bez męża jest niczym! W imię twego przyszłego szczęścia i bezpieczeństwa, miejsca w społeczeństwie i honoru dokładałam starań, byś przyswoiła sobie te umiejętności i w stosownym czasie mogła znaleźć odpowiedniego męża...

- Mamo... - szepnęła stłumionym głosem Rebeka.

Lady Tremaine ostrzegawczo pokręciła głową, lzy spływały strumyczkiem po jej twarzy, a głos się załamywał.

- ... a tymczasem ty opierałaś się temu, przysparzając mi nieustannych zgryzot. Nie wiem, jakim sposobem dotąd nie ściągnęłaś na nas hańby. Twój ojciec zabiega, by zaręczył się z tobą lord Edelston. Uratowałyby to i twój, i nasz honor, a także zwiększyło widoki Lorelei na pomyślne zamążpójście. Zostałabyś żoną barona, zamiast przynosić nam wstyd i być zakałą rodziny. Teraz idź do siebie. Porozmawiamy jeszcze rano.

Godzinę później...

Bez trudu udało się jej wyśliznąć z sypialni tuż przed północą, zbiec cicho po schodach i przejść na palcach przez kuchnię, a potem schować się za wysokim żywopłotem koło fontanny. Rzecz jasna, rodzicom nawet nie przyszło do głowy, by któraś z ich córek mogła zrobić coś podobnego: położyli się o wiele wcześniej i bez wątpienia spali już snem sprawiedliwego. Słudzy również chrapali w najlepsze w swoich łózkach, w tym jej własna służąca, Letty, podobnie jak psy i konie. Rebeka z zadowoleniem stwierdziła, że nikt nie był świadkiem jej nocnej wyprawy.

Satysfakcja z bezpiecznego dobrnięcia do fontanny zmaląła jednak, gdy stwierdziła, że na dworze jest znacznie zimniej, niż przypuszczała. Chociaż przed wyjściem włożyła czarne rękawiczki i otuliła się wełnianym szalem, a rude włosy nakryła futrzaną czapczką, chłód przenikał ją do szpiku kości.

Chcąc czymś wypełnić czas oczekiwania, odetchnęła głęboko i przyjrzała się obłoczkiowi pary, który uniósł się z jej ust. W jednym z naukowych pism ojca był bardzo ciekawy artykuł o skraplaniu się pary i Rebeka wręcz zatoneła w jego lekturze, póki matka nie zaciągnęła jej do salonu, gdzie przez resztę popołudnia musiała brzdąkać na fortepianie. Psikus, jaki zamierzała spłatać siostrze, wynagrodziłby jej w pełni tę torturę, lecz nocny chłód, do czego nie chciała się przyznać w głębi duszy, okazał się doprawdy zniechęcający. Miała jedynie nadzieję, że Lorelei nie będzie się ociągała, by paść w ramiona Anthony'emu Edelstonowi, który bez wątpienia skradał się teraz cichaczem ku fontannie. Rebeka zamierzała wyskoczyć zza żywopłotu z głośnym okrzykiem, a potem uciec, nim siostra zdąży ją złapać.

Zupełnym przypadkiem zdołała wcześniej zauważyć wymianę spojrzeń między wysokim, złotowłosym Edelstonem a Lorelei, która w wieku osiemnastu lat była najzupełniej godna nadanego jej imienia. Można było wręcz zaniemówić z zachwyty na widok jej popielatoblond włosów, bladuróżowych warg i ogromnych, krystalicznie przejrzystych błękitnych oczu ocienionych nieprzyzwoicie wprost długimi, ciemnymi rzęsami. Natomiast rzęsy Rebeki były brązowawe, co zresztą - jak uważała - nieźle harmonizowało z włosami i szarozielonymi oczami, chociaż nie tak wymownymi, jak u siostry. Rebekę niekiedy martwiło, że w jej rysach nie odzwierciedlał się dramat, jaki czuła w głowie i w sercu.

Lorelei odziedziczyła po matce piękny owal twarzy, Rebeka zaś miała wysoko osadzone kości policzkowe po jakimś mniej urodziwym przodku, wargi szerokie i miękkie, nos prosty, wydatny, rezolutny, a w dołku na brodzie zmieściłby się czubek wskazującego palca. Siostry łączyło pewne podobieństwo, lecz włosy Lorelei przypominały pasma jedwabiu, podczas gdy Rebecę rosła na głowie gęstwa rudych, niesfornych kosmyków.

- Tycjanowski odcień - mawiała matka optymistycznie.

- Beznadziejne, zupełnie jak marchewka - twierdziła Lorelei, kiedy darły ze sobą koty, co zdarzało się dosyć często.

Rebeka wcale nie czuła niechęci do starszej siostry, a Lorelei do niej; przeciwnie, były do siebie bardzo przywiązane. Lecz Rebekę lubiła cała służba i sąsiedzi, częściowo za to, że miała wszystko, czego brakowało Lorelei: śmiała się łatwo i głośno, była wszystkiego ciekawa, czytała o wiele więcej, niż przystało dobrze ułożonej panience, galopowała na oklep, a potem wracała do domu uszczęśliwiona i spocona. Była serdeczna dla otoczenia i spragniona wiedzy o różnych rzeczach niekoniecznie dla niej stosownych, lecz sir Henry Tremaine nie zwracał większej uwagi na to, gdzie trzyma swoje naukowe periodyki.

Oczywiście była nieustającym utrapieniem dla własnej matki. Ojciec zaś traktował ją wyrozumiale i nieco lekceważąco. Musiała polegać na sobie samej. Nie była synem, którego zawsze pragnął. Obydwoje z żoną czynili po cichu desperackie wysiłki, żeby znaleźć jej męża, choćby nawet nieutytułowanego.

Za to Lorelei wzbudzała powszechną uwagę swoją urodą i po cichu sama się nią delectowała, coraz wyraźniej zatracając się w یشcie królewskiej wyniosłości. Zaczęła nawet uważać własną aparycję za istną świętość, którą należało traktować ze stosowną czcią. Spodziewano się po niej spektakularnego mariażu z kimś wysoko postawionym, co matka nieustannie dawała jej do zrozumienia.

W rezultacie obie siostry były o siebie zazdrosne i posuwały się nawet do jawnych kłótni, które co prawda rzadko dochodziły do uszu rodziców, chociaż taka możliwość zawsze istniała. Poprzedniego wieczoru Lorelei przyłapała Rebekę na przeglądaniu anatomicznego atlasu, który sir Henry trzymał na najwyższej półce bibliotecznej, i zagroziła, że powie o tym ojcu. Groźba była poważna, bo Rebecę zabroniono tej lektury, i kara bez wątpienia okazałaby się surowa. Może nawet nie pozwolono by jej jeździć konno przez całe dwa tygodnie, a książka - mimo jej wielkiego głodu wiedzy - bez wątpienia na zawsze zniknęłaby z biblioteki. Wówczas nigdy by nie poznała praw rządzących krążeniem krwi (było już, oczywiście, o wiele za późno, by uchronić ją przed wiedzą, skąd się biorą dzieci).

W gruncie rzeczy zawinił tu ojciec. Odkąd sir Henry przeszedł w stan spoczynku, mógł do woli folgować długo powściąganemu zainteresowaniu medycyną, abonując wszelkie możliwe pisma naukowe z tej dziedziny. Rebeka natknęła się kiedyś na nie w bibliotece i zagłębiła w czytaniu, kryjąc się z tym przed matką. Nic jeszcze tak jej nie zafascynowało. Zdumiewające wywody o tym, czy kulę z muszkietu można pozostawić w ciele, jeśli nie da się jej łatwo wyjąć, o najlepszych metodach amputacji, o zastosowaniu rtęci, terminy takie, jak „ropienie” i „trepanacja” były zarówno przerażające, jak i dziwnie uspokajające. Ludziom zagrażało całe mnóstwo chorób i wypadków, lecz to, że lekarze mogli o nich pisać tak beznamyślnie i szczegółowo, czyniło je jakby łatwiejszymi do zniesienia. Gdy Rebeka natykała się na jakąś nieznaną jej nazwę części ciała, sięgała po ojcowski atlas anatomiczny.

Zaczęło ją nurtować pragnienie bycia lekarzem. Próbowwała raz poruszyć ten temat przy śniadaniu, ale dojrzała wówczas na twarzy matki przerażenie, a ojciec parsknął lekceważącym śmiechem, uznała więc, że lepiej do tego nie wracać. Pragnienie jednak pozostało, a nawet wzmagало się, jak to bywa z żywionymi ukradkiem marzeniami. Najnowsza groźba Lorelei wymagała szybkiego przeciwdziałania i Rebeka gorąco modliła się w duchu, by jej jakoś zapobiec.

Modły te zostały wysłuchane, i to z zaskakującą szybkością. Anthony Edelston, który bawił właśnie u rodziny Denslowe'a, miejscowego sędziego pokoju, bez wysiłku podbił serca wszystkich okolicznych dziewcząt, poczynając sobie jak każdy młody hulaka i bawidamek z Londynu. Pozował na znudzonego, z omdlałym spojrzeniem nieco za długo pochylał się nad dłonią tej czy innej szczęśliwej wybranki. Rebeka uznała, że jest co prawda przystojny, lecz również w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób odpychający. Nie mieściło się jej w głowie, że można się było zachwycać jego znudzoną i smętną miną.

Lorelei spotkała go, gdy lada chwila miał debiutować w londyńskim sezonie. Starannie wypracowana rezerwa prysła wobec wystudiowanej obojętności Edelstona, który zachowywał się tak, jakby Lorelei była zwykłą prowincjonalną gąską. Ona zaś nie oparła się jego urokowi.

Edelston szybko zdołał zawrócić jej w głowie. Wpatrywał się tylko w nią, choć w salonie było pełno uroczych miejscowych dziewcząt, a po jakimś czasie głosem znizowanym do przejmującego szeptu poprosił ją o schadzkę w ogrodzie o północy. Rebeka, która akurat przechodziła obok, z zaskoczeniem usłyszała, że siostra wyraża zgodę. I postanowiła oboje zaskoczyć. Gdy się jednak spóźniali, zapragnęła wrócić do domu tą samą drogą, którą przysła, w przeciwnym razie groziło jej zaziębienie. Zatarła obciążnięte rękawiczkami dłonie, chcąc je ogrzać, i spojrzała w niebo, by dla zabicia czasu wysledzić różne konstelacje.

Sir Henry'emu od kilku lat po wypadku na polowaniu dokuczał reumatyzm w lewym kolanie. Przypominał o sobie co jakiś czas, a zwłaszcza podczas chłodnych nocy, kiedy nękał go wręcz nieznośnie. Tym razem dawał mu się we znaki szczególnie mocno, nie pozwalając zasnąć. Ostrożnie, by nie zbudzić śpiącej żony, sir Henry zwlókł się z łóżka, otulił szlafrokiem i zapalił świeczkę, zamierzając poświęcić nią sobie po drodze do biblioteki, gdzie trzymał brandy. Wiedział z doświadczenia, że szklaneczka trunku złagodzi ból na tyle, że zdoła zasnąć.

Gdy był w połowie schodów, zdążył dostrzec jasne włosy i szelest ciemnej sukni. Dziwne! Lorelei wychodziła z domu przez kuchnię! I to o północy! Ze zdumienia zapomniał o rwaniu w kolanie, uznał, że brandy może poczekać, stąpając po cichu, podążył za córką.

Tom Jenkins, ogrodnik Tremaine'ow, wracał właśnie do domu z gospody Pod Białą Maciorą, gdzie najlepiej w całej wsi gawędziło mu się przy kufelku z piersiastą szynkareczką, gdy spostrzegł, jak ktoś pod osłoną nocy skrada się ku fontannie. Tom był dosyć wysoki i wypił tego wieczoru tylko dwie kwarty - lubił mocne piwo, ale swoje miejsce pracy cenił jeszcze bardziej - nie mógł więc sądzić, że oczy go mylą. Chwycił mocną pałkę i ostrożnie podążył po pokrytej szronem trawie w tym samym kierunku, w którym zmierzała tajemnicza postać.

Rebeka była głęboko rozczarowana. Najwyraźniej zaryzykowała na darmo, bo przy fontannie nikogo nie było. Westchnęła i podniosła się, chcąc wrócić do domu.

A wtedy wpadła prosto w męskie ramiona.

- Ach, tu jesteś, moja miła! Już się bałem, że zmieniłaś zamiar - powiedział Edelston tym samym przejmującym szeptem, którym przedtem omamił Lorelei, i nim Rebeka zdołała zdać sobie sprawę, przywarł ustami do jej warg, trzymając ją w mocnym uścisku.

Zastygła bez ruchu, nie rozumiejąc, że po raz pierwszy w życiu stała się obiektem erotycznej przemocy. Nie odebrała tego jednak jako przykre doznanie, nawet jeśli był to

Edelston. Jakaś osobliwa cząstka jej samej chciała koniecznie wiedzieć, co nastąpi dalej, choć jednocześnie rozum nakazywał wściekłość i strach. Uniosła ręce, nie wiedząc, czy ma go objąć ramionami, czy odepchnąć, gdy nagle rozległ się kobiecy krzyk, męski jęk i jakiś głuchy, tępy odgłos.

Rebeka odskoczyła od Edelstona i odwróciła się, zaciskając z całej siły powieki. Po chwili jednak, nie mając wyboru, otworzyła oczy.

Naprzeciwko niej stała jak wrośnięta w ziemię Lorelei, zakrywając usta dłonią, a ogrodnik Tom dzierżył w rękach pałkę. Już to samo w sobie było wystarczająco straszne. Kiedy jednak spojrzała w dół i ujrzała, jak ojciec osuwa się bezwładnie na ziemię, zrozumiała, że jest zgubiona.

Na wszystkich twarzach malowała się zgroza.

Sir Henry był starym żołnierzem. Walczył pod rozkazami Jego Królewskiej Wysokości Jerzego III i potrafił posługiwać się muszkietem, bagnetem oraz każdą inną bronią.

- Zabierz siostrę do domu, Lorelei - rozkazał, a potem krótkim gestem podbródka dał do zrozumienia Edelstonowi, żeby ten szedł przed nim. Edelston usłuchał, co było rozsądne z jego strony. W ślad za dziewczętami weszli do wnętrza, mijając w drodze do biblioteki osłupiałą lady Tremaine, imponującą w swoim fałdzistym szlafroku.

Sir Henry wskazał Edelstonowi fotel, sam zaś rozsiadł się wygodnie za biurkiem. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzajemnie wzrokiem.

- Napije się pan? - spytał w końcu sir Henry.

Edelston, blady i przejęty, nie mógł jeszcze wydobyć z siebie głosu, więc tylko kiwnął głową, usiłując nie okazywać po sobie wdzięczności.

Sir Henry pokręcił z politowaniem głową i pchnął ku niemu poprzez blat biurka szklaneczkę brandy.

Edelston miał przez chwilę zamiar poprosić o coś mocniejszego, lecz się powstrzymał.

Ujął ostrożnie szklaneczkę i pociągnął spory łyk.

- Rozumie się chyba samo przez się - wycedził sir Henry - że ma pan teraz narzeczoną.

Edelston z trudem przełknął ślinę. Usiłował przybrać odpowiednią w takiej sytuacji minę, która wyrażałaby jednocześnie pokorę bunt i niechętną zgodę. Żałował, że nie ma przed sobą lustra, by móc sprawdzić rezultat.

- Napij się jeszcze brandy, synu - dodał sir Henry - bo wyglądasz, jakby ci się robiło słabo.

Edelston posłusznie zrobił, co mu kazano.

Cóż, skompromitował niewłaściwą dziewczynę i rozczarował się nieco, ale przecież młode damy noszą długie suknie i mogą się z tego powodu potknąć na schodach, spaść i zabić się. A jeśli przypadkiem rozluźnią się popręgi przy siodle podczas jazdy, to nieraz miewają śmiertelny wypadek — smutna rzecz, ale często się zdarza. Edelston miał dziwną pewność, że żona z prowincji niedługo ciążyłaby mu brzemieniem.

Bardzo by się jednak cieszył z kontraktu ślubnego, bo gwałtownie czegoś takiego potrzebował. Tylko jedno, dość osobliwe, choć raczej sprytnie pomyślane źródło dochodów chroniło go od ruiny wskutek długów karcianych. Solidny posag - a Edelston wiedział, że sir Henry Tremaine jest człowiekiem majątnym, zdolnym należycie wyposażyć swoje córki - uwolniłby go od tych kłopotów raz na zawsze. Edelston zdobyłby zamożną żonę, o jaką raczej trudno by mu było w Londynie, spłaciłby swoje długi i mógł nadal wieść dokładnie takie życie, jakie mu się podobało.

- Dotrzymam zobowiązań wobec pańskiej córki, sir - odparł pokornie. - Proszę sobie przypomnieć, jak by pan postąpił w młodości wobec panny, której wdzięki przewyższają...

- Niech mi pan oszczędzi kwiecistych przemów - przeiwał mu uprzejmie sir Henry. - Może pan swobodnie opuścić tę bibliotekę dzięki swojej kapitulacji, ale przypominam, że pański gospodarz, kapitan Denslowe, jest w gorącej wodzie kąpany. Jeśli spróbuje pan umknąć stąd przed ślubem, może się panu przydarzyć coś nieprzyjemnego.

- Tylko bez gróźb! - zaprotestował Edelston. - Pańska córka... ehm...

- Rebeka - stwierdził cierpko sir Henry.

- Tak... Rebeka, pańska córka, jest uroczą panną i poślubienie jej uważam za zaszczyt...

- Ach, tak. Proszę wrócić tutaj w środę o dwunastej. Porozmawiamy o kontrakcie ślubnym. Rebeka dziedziczy ładny dom w Collingwell. Cieszę się, że zostanie żoną barona. Może pan odejść.

Sir Henry, zadowolony, że zdołał ocalić honor córki i rodziny, z satysfakcją patrzył, jak lord Edelston wstaje i opuszcza bibliotekę.

2

Connor Riordan, stajenny sir Henry'ego Tremaine'a, zamaszystymi ruchami czyścił właśnie sierść Maharadży. Rebeka przypatrywała się temu smętnie. Stała w wejściu do pustego boksu i trącając drzwiczki obcasem, gryzła słomkę.

- Chcą mnie za niego wydać, Connor! Koszmar! A w dodatku wszyscy powtarzają, że mam szczęście, skoro Edelston w ogóle zgadza się mnie poślubić!

Dłonie Connora zamarły na moment po usłyszeniu tej niesłychanej nowiny, lecz natychmiast powrócił do przerwanej roboty i wkrótce grzbiet Maharadży zaczął lśnić.

- Ano, macał cię w końcu po tyłku, nie tak? Niejedna byłaby rada, że jemu tak spieszo do żeniaczki - odparł i uśmiechnął się do niej szeroko znad końskiego grzbietu.

- Przestań się ze mnie natrzasać! Mówię ci, to wcale nie żarty!

Connor, rzecz jasna, dobrze wiedział o jej wpadce. Tom Jenkins zdążył już opowiedzieć służbie wszystko, co widział i co na pewien czas uczyniło go niezwykle popularnym. W rezultacie wszyscy w promieniu co najmniej pięciu mil dowiedzieli się o całej sprawie, a plotka obrastała coraz bardziej smakowitymi szczegółami.

- Uwierz mi chociaż ty jeden, Connor! Ja tylko chciałam nastraszyć Lorelei! A

Edelston... och, on jest okropny! Pyszałkowaty dureń!

- Wierzę ci, bo wiem, że wolisz strzelać do celu, niż dać się macać po nocy jakiemuś lubieżnikowi.

Rebeka nadąsała się, zupełnie jakby słowa Connora ją ubodły.

- Nie było to znowu takie przykre - mruknęła. - A co właściwie rozumiesz przez macanie?

Był to naiwny wybieg. Connor uniósł jedynie brwi i zrobił tak znaczącą minę, że Rebeka się zaczerwieniła.

- Lepiej nie gadaj o tym z nikim prócz mnie, bo twój tato gotów zalać się w trupa ze zmartwienia, że ma taką córuchnę.

- Może powinnam wleźć na najwyższą jabłoń i siedzieć tam, póki wszyscy nie dadzą sobie spokoju z tym... z tym niedorzecznym ślubem...

- Gałąź może się pod tobą załamać, jesteś już duża. Po co masz niszczyć porządne drzewo i swoją reputację?

Rebeka parsknęła śmiechem. Connor lubił patrzeć, jak się śmiała. Smutek opuszczał ją wówczas z miejsca, zawsze też odrzucała wtedy głowę do tyłu, ukazując gładką, białą szyję i zęby. W jej śmiechu nie było nic wymuszonego.

Co prawda lubił również na nią patrzeć wtedy, kiedy się nie śmiała. Nadzwyczaj wyładniała przez te parę lat. Włosy jej ściemniały, z jasnorudych stały się kasztanowate. Connor uważał, że były po prostu zachwycające.

- Nie jestem pewna, czy Edelston tak naprawdę chce się ze mną żenić.

Connor długo zastanawiał się nad odpowiedzią. Dobrze wiedział, podobnie jak cała służba i chyba pół wioski, czemu przystojnemu baronowi Edelstonowi tak pilno do ożenku z córką ziemianina niezbyt wysokiego rodu.

- Może lord chce postąpić honorowo po tym, jak mu... hm... w oko wpadłaś.

Rebeka prychnęła ze złości, lecz lekko się przy tym zarumieniła.

- Honor i poczucie powinności to wielkie zalety, zwłaszcza że trudno się w nim dopatrzeć innych.

- Myślisz, że to ważna rzecz u mężczyzny? - Connor nagle uznał, że koniecznie musi się dowiedzieć, co Rebeka o tym sądzi.

- Oczywiście, że tak. Czy ty uważasz inaczej? Connor milczał przez chwilę, po czym odparł:

- Nie mam wielkiego doświadczenia w tych sprawach. -Ale...

- Może chodzi o coś innego. Może lord Edelston jest zadowolony, że się z tobą żeni? - Czy jednak warto wybielać Edelstona, skoro tak czy inaczej musiała go poślubić? Choć w imię prawdy...nie, z pewnością on nie miał innego motywu niż... zwłaszcza egoistycznego...

- Co masz na myśli, Connor?

- Bycie lordem niemało kosztuje...

- Ach, więc jemu trzeba pieniędzy? Wniosę mu w posagu tyle, że będzie mógł utrzymać swoje posiadłości.

I żeby mu jeszcze starczyło na sezon w Londynie, na piękne stroje, na konie, służbę i powóz. I na spłatę długów karcianych, a także na kochanki, pomyślał Connor.

Rebeka milczała przez chwilę w zamyśleniu.

- A więc po ślubie ze mną będzie mógł żyć tak, jak przystało komuś z jego tytułem? - spytała niepewnie.

- Ha, może. Rebeka westchnęła.

- Czy mogę ci pomóc w czyszczeniu Radży? - spytała.

- Będziesz zalatywać stajnię, a lunch za niecałą godzinę. - Connor podał jej jednak zgrzebło, wiedząc, że i tak nie ma to znaczenia.

- Koński zapach jest najpiękniejszy na świecie - odparła w rozmarzeniu. Podeszła z drugiej strony do Maharadży i zaczęła go czyścić, robiąc to równie zręcznie jak Connor. Przez jakiś czas pracowali w milczeniu, potem Connor przerwał na chwilę swoje zajęcie, żeby odgarnąć włosy znad oka. Zazwyczaj pozwalał rozwichrzonej, ciemnej czuprynie opadać aż na sam kołnierz, póki, za radą gospodyni, pani Hackette, nie zaczął przystrzygać ich krótko, lecz niesforne kosmyki szybko odrastały i stale zwisały mu nad czołem.

Rebeka zachichotała.

- Co cię tak bawi?
- Bo... no cóż... ty czasem strasznie mi przypominasz konia! Ale nie Maharadzę, tylko Sułtana. - Wskazała na dużego, wielkookiego araba, który czekał na swoją kolej o dwa boksy dalej.
- Naprawdę? Mam taki potężny zad? Rebeka znów zachichotała.
- Nie, jesteś chudy jak pies.
- Tak uważasz?
- Ale ramiona masz za to szerokie.
- Myślałem, że podobniejszy jestem do konia.
- Owszem, ta grzywa włosów upodabnia cię do Sułtana. Connor odgarnął kosmyk znad oka, tym razem odruchowo.
- Tak, te włosy i oczy cię do niego upodabniają - ciągnęła Rebeka. - Tylko że w twoich źrenicach błyskają iskierki... trochę jak monety na dnie studni. Widać je, kiedy staniesz twarzą do światła.

Connor poczuł się zarazem wzruszony i zmieszany. Zdumiony był, że Rebeka obserwowała go równie wnikliwie jak on ją.

- Monety, mówisz? - Connor znów przeniósł wzrok na Sułtana, a koń odpowiedział mu spojrzeniem oczu ciemnych jak świeżo zorana ziemia. Jakieś podobieństwo między nimi rzeczywiście istniało, przynajmniej pod tym względem. Na szczęście pozostałymi rysami, jak kanciasty podbródek, mocno zarysowane kości policzkowe i pełne wargi, Connor przypominał jedynie swego brata, ojca, dziadka i innych przodków, licząc wstecz, aż gdzieś do roku 1600.

- Owszem. Złote monety. Wyglądasz z tym tajemniczo. I mądrze.

Connor uśmiechnął się i zacerwienił, przejeżdżając zgrzeblę po sierści Maharadży.

- Szkoda, że wcale taki nie jestem. A kogo ci przypomina Maharadża? Matkę? Lorelei? Rebeka ze śmiechem ucałowała konia w miękkie chrapy.

- Lepiej uważaj, panno Tremaine, bo jeszcze staniesz z tym koniem w parze przed pastorem.

Rebekę wyraźnie ucieszyła taka perspektywa.

- Już wolałabym raczej wyjść za Maharadżę niż za... za tego... Urwała nagle, jakby nie była w stanie dokończyć zdania. Cała jej wesołość zniknęła.

- Connor... czy myślisz, że muszę ćwiczyć na fortepianie? Bo chyba... żony powinny grać na jakimś instrumencie? A o tych... innych rzeczach w małżeństwie już się dowiedziałam. Z książki papy.

Connor milczał. Rebeka zawsze była taka. Już jako dwunastolatka potrafiła coś palnąć prosto z mostu - coś szokującego, przejmującego lub radosnego. Nie wiedział wtedy, jak się zachować, i żeby zyskać na czasie, nauczył się milczeć przez pewien czas, marszcząc niekiedy brwi, chociaż teraz tego nie zrobił.

Rebeka również znieruchomiała. Obydwoje stali bez słowa. Connorowi nie było do śmiechu. Obchodził go los Rebeki. Nie mógł jej sobie wyobrazić jako żony rozpustnego lorda. Ścisnęło go w gardle.

- Nie. Chyba nie musisz grać na fortepianie - odparł wreszcie, ni w pięć, ni w dziewięć, dziwnie zdławionym głosem.

- Tak mi przykro! To wszystko moja wina! - Lorelei załamywała rękę, jednocześnie zerkając w lustro.

Rebeka, jak zwykle, leżała na łóżku, podczas gdy Lorelei wpatrywała się, zamyślona, we własne odbicie.

- W końcu nie chciałaś tego, Lor. Zawiniłyśmy obie. Ale co ty sobie właściwie myślałaś? Schadzka nocą w ogrodzie! I to z Edelstonem! Rodzice zamierzali cię przecież wydać przynajmniej za hrabiego!

- Niestety, w ogóle nie myślałam, i w tym całe nieszczęście! Edelston całkiem zawrócił mi w głowie i większa część winy leży po jego stronie. To nie džentelmen, tylko wstrętny nędznik!

- Nędznik! - przytaknęła jej gorliwie Rebeka. Zapadła cisza.

- Ale przystojny - dodała z wahaniem Lorelei.

- Bardzo przystojny - potwierdziła po chwili Rebeka.

- Rebeko...

- Hm... - Rebeka, nieco senna po obfitym lunchu, wyciągnęła się na łóżku.

- Uwważaj na buty! Przyszłaś prosto ze stajni!

Rebeka pospiesznie zmieniła pozycję, tak by jej brudne obuwie nie zetknęło się z kołdrą Lorelei.

- Jakie... to było? - spytała ostrożnie siostra.

Rebeka namyślała się przez chwilę.

- Bardzo... interesujące - odparła, nadając ostatniemu słowu wymowę o wiele bardziej znaczącą, niż można się było spodziewać. Lorelei zakryła usta dłonią i obie zaśmiały się przewrotnie. Rebekę bawiło, że rozśmieszyła Lorelei, która ostatnio tak bardzo się starała robić wrażenie powściągliwej damy.

- Wszyscy myślą, że przybiegłaś mi na pomoc - mruknęła.

- Wiem. Nie zamierzam wcale wyprowadzać ich z błędu!

- Ani mi się waż! Wystarczy, że musiałam powiedzieć rodzicom prawdę, bo strasznie się bałam.

- Och, Rebeko! - jęknęła Lorelei. - To wszystko moja wina! Gdyby tylko moją powinnością nie było poślubienie księcia albo hrabiego...

- Nie pleć głupstw, Lorelei. Mama miała rację. Wcześniej czy później musiało mi się przytrafić coś okropnie skandalicznego i obie o tym wiemy. Podoba mi się mnóstwo rzeczy, których mama nie pochwała, a nie potrafię robić tego, co powinnam. Nic na to nie poradzę, że nieodwołalnie zszargałam sobie reputację.

Przez chwilę obie siostry dumały nad nieodpartą prawdą tego stwierdzenia.

- Lorelei, czy ty też sądzisz, że mam obowiązek wyjść za Edelstona? Mama mówi, że to kwestia honoru. Mojego i twojego. Całej naszej rodziny.

- Doprawdy, nie wiem - odparła Lorelei z rezygnacją. - Ale chyba tak. Zdaje się, że mama i papa myślą podobnie.

Rebeka ze smutkiem kiwnęła głową, jakby właśnie to spodziewała się usłyszeć.

- Mama wezwała dzisiaj krawcową. Ma przyjść po południu - ciągnęła Lorelei. - Ma ci w dwa tygodnie uszyć suknię ślubną, tak żebyś mogła wyjść za mąż przed moim wyjazdem na sezon.

Rebeka gwałtownie usiadła na łóżku. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Za dwa tygodnie?!

- Pomyśl tylko, zostanę twoją druhną, upiecze się ogromny tort, a ty będziesz miała suknię z białego atlasu naszywanego rozetkami. Choć może nie starczy na to czasu i trzeba się będzie zadowolić srebrną lamówką...

Lorelei cofnęła się nagle, widząc w spojrzeniu Rebeki grozę i niedowierzenie.

- Rozetki? - jęknęła siostra. - Tort? Za dwa tygodnie?... Zeskoczyła z łóżka i padła przed zaskoczoną siostrą na kolana.

- Nie chcę za niego wychodzić, Lorelei! Za nic nie zostanę jego żoną!

- Za nic?

- Ja chcę leczyć ludzi! - zawodziła Rebeka.

Nigdy jeszcze jej słowa nie brzmiały tak żałośnie. Zaczęła powoli rozumieć, że jej pragnienia się rozwiną. Całkiem jak obłoczek pary, który po oddechu unosi się w powietrzu.

- Och, Rebeko! - Lorelei ujęła ją za ręce. - Owszem, tu chodzi o twój obowiązek, chociaż wydaje mi się to absurdalne! Cóż jednak możemy poradzić?

- Właśnie. Cóż możemy poradzić? - Rebeka starała się mówić lekkim tonem, żeby nie martwić Lorelei, lecz wyszeptwała te słowa głosem pełnym rozpacz.

A po chwili, ponieważ obie wiedziały, że na to pytanie nie ma żadnej odpowiedzi, Lorelei ostrożnie uklękła obok Rebeki, bacząc, by nie pognieść sobie sukni, i uściskała ją serdecznie.

Krawcowa istotnie zjawiała się po południu i w salonie na piętrze rozwinęła zwój perłowego atlasu, rozwieszając go na krzesłach, tak by Rebeka mogła zobaczyć, jak lśni w świetle. Rebeka, świadoma, że matka ma ją na oku, posłusznie przesunęła palcami po tkaninie, usiłując nie okazywać wstrętu.

Przyszło jej na myśl, że materiał wygląda jak całun. Znowu ścisnęło ją w gardle.

Wyobraziła sobie, że się dusi pod fałdami białego atlasu, i serce zaczęło jej łomotać, a czarne cętki zawirowały przed oczami. Po raz pierwszy w życiu była bliska zemdlenia.

Natomiast krawcowa i matka uznały, zupełnie błędnie, że zbladła z wielkiego przejęcia.

- Wypada, aby panna młoda była przejęta, nieprawdaż? - cmoknęła krawcowa. - W porządku, ma cherie! - mruknęła, robiąc do niej oko z iście francuską dwuznacznością. - Czeka cię przecież noc poślubna!

Lady Tremaine zmarszczyła brwi i podsunęła córce pod nos sole trzeźwiące.

Rebeka jednak odwzajemniła się krawcowej mrugnięciem, co tamtą zaskoczyło. A niech się dziwi, pomyślała sobie, i posłusznie, rozebrana do bielizny, pozwoliła upinać na sobie atlas przez całą resztę popołudnia, dziwnie nieobecna duchem, tak jakby przypatrywała się wszystkiemu z dystansu. Przecież to nieprawda, powtarzała w myśli. Przecież to się po prostu nie może stać!

Kiedy jednak ujrzała w lustrze swoje odbicie oraz matkę i krawcową, które stały za nią, promieniejąc z dumy, zrozumiała wreszcie bez cienia wątpliwości, że stanie to się naprawdę.

3

Connor pucował właśnie ulubione siodło sir Henry'ego, gdy w stajni nagle pociemniało.

Uniósł głowę i zobaczył, że w drzwiach niepewnie stanęła Rebeka, zasłaniając sobą całe światło. Natychmiast jednak uznał, że słowo „niepewnie” zupełnie do niej nie pasuje.

Miała na sobie blad różowy strój do konnej jazdy, którego - o czym dobrze wiedział - nie cierpiała. Kolor oczywiście wybrała lady Tremaine. Connor nie przyznawał się do tego,

że go lubi. Różowy strój dobrze harmonizował z rudymi włosami Rebeki i jej różaną cerą.

Gdy się jej przyjrzał uważniej, stwierdził, że nie bez powodu się wahała.

- Na co ci, u licha, muszkiet?

- To broń papy. Z wojny.

- Czy wie, że go wzięłaś?

Głupie pytanie. Przecież nie wręczyłby go dobrowolnie młodszej córce ze słowami: „Postrzelaj sobie trochę dziecinko”. Chociaż sir Henry nauczył ją strzelać z pistoletu, nie wolno jej było posługiwać się cięższą bronią. Zapewne w którymś momencie ojciec sobie przypomniał, że to przecież dziewczyna.

- Papa pojechał do St. Eccles i nie zamknął muszkietu ani go przede mną nie schował.

- Szkoda, że cię wcześniej nie zamknął na noc w pokoju, to nie narobiłabyś kłopotu. -

Connor pokiwał głową. - Och, ten twój biedny papa! Powinien zadbać, żeby jego córuchna nie bawiła się muszkietem. Znadto jest ufny!

- Chciałabym przynajmniej raz w życiu wystrzelić z niego, zanim wyjdę za mąż i już niczego mi nie będzie wolno.

Owo „nic” oznaczało zapewne konną jazdę po męsku na złamanie karku, strzelanie z pistoletu do jabłek, donośny śmiech i czytanie zabronionych książek. Albo...

Albo po prostu bycie Rebeką. Connor jeszcze raz poczuł dziwny ucisk w gardle. Potarł w roztargnieniu szyję i z jeszcze większą zawziętością zaczął czyścić siodło, jakby chciał w ten sposób unicestwić to, co wydarzyło się kilka dni temu.

- Pewnie chcesz, żebym cię tego nauczył?

- W końcu byłeś żołnierzem, tak czy nie?

- Ano tak.

- Wzięłam ze sobą jedzenie na piknik. - Rebeka uniosła trzymany w drugiej ręce koszyk.

- W takim razie...

- Czy kobiety w Ameryce strzelają z muszkietów?

Connor się uśmiechnął. Rebeka poruszyła jego ulubiony temat. Bardzo chciał pojechać do Ameryki i osiąść tam na stałe. Rebeka często słuchała tych jego wynurzeń.

- Amerykanki strzelają pewnie z muszkietów do wszystkiego. Do dzikich zwierząt, do Indian i do swoich mężów. Ale ty - przypomniał - jesteś Angielką.

Rebeka spojrzała na niego z niemym błaganiem.

I tak dopnie swego, pomyślał, obojętne, czy przy jego pomocy, czy nie. Pewnie znalazła jakąś książkę o ładowaniu muszkietów albo coś w tym rodzaju i spróbuje zrobić to sama. Westchnął. Nagle i niespodziewanie zapragnął nauczyć przyszlą żonę lorda Edelstona tej umiejętności.

- Masz proch i naboje?

- W koszyku.

- Mogę rzucić okiem na ten muszkiet?

Bez słowa podała mu broń. Był, czego się spodziewał, w znakomitym stanie. Sir Henry czyścił swoją broń tak, jak inni czytają książki albo rąbią drewno: to go uspokajało.

- W porządku. Pójdziemy do lasu. Rebeka podskoczyła z radości.

Klacz imieniem Papryka niosła ją prosto w las tak zwawo, że Rebeka ledwo mogła utrzymać się w siodle.

- Nie jeździłaś na niej od wczorajszego popołudnia i teraz klacz nie może się tobą nacieszyć.

Czuł się podobnie jak klacz. Uświadomił sobie, że zawsze wyczekiwał wizyt Rebeki w stajni. Po jej ślubie będzie mu ich brakowało.

- Nie mogłam. Mierzyłam suknię ślubną. Czułam się w niej jak w całunie.

- Chcesz wyprawiać wesele i pogrzeb jednocześnie?

- Och, suknia będzie bardzo ładna - mruknęła z goryczą. - Obszyta srebrną lamówką, bo nie starczy czasu, żeby naszyć na atlas rozetki.

Connor już otwierał usta, żeby coś odpowiedzieć, lecz nagle wyobraził ją sobie w biało-srebrzystej sukni, z włosami ujętymi ciasną opaską, prowadzoną do ołtarza przez Edelstona, który bez wątpienia tylko patrzył, żeby się stamtąd wyrwać do stołu gry i trwonić przy nim pieniądze żony. Wołał nic nie mówić.

- Suknia chyba będzie ładna - odparł.

- Bez wątpienia. Zobaczysz ją za dwa tygodnie - parsknęła - bo przecież cała służba będzie oglądać tę... tę uroczystość.

Za dwa tygodnie. Connor jechał w milczeniu. Prześladował go obraz Rebeki w ślubnej sukni, wspartej na ramieniu Edelstona, a potem w łóżku Edelstona, z twarzą znękaną i ściągniętą... przedtem zaś tak promienną i ożywioną.

W łóżku Edelstona? Teraz była młodą dziewczyną, ale już za dwa tygodnie stanie się czyjąś żoną.

Connor przerwał te rozmyślenia i osadził konia w miejscu. Dotarli do skrajku lasu okalającego posiadłość sir Henry'ego, na tyle daleko od domu, by nie było słyhać strzału, i w bezpiecznej odległości od wszystkiego, w co mogła przypadkowo trafić kula z muszkietu.

- Widzisz ten duży kamień? Połozymy na nim jabłko. To będzie nasz cel.

Rebeka zeskoczyła z klaczy, pozwalając jej teraz skubać trawę. Sięgnęła do koszyka po jabłko, a potem starannie ustawiła je na kamieniu i niemal biegiem wróciła do Connora.

- W porządku. Czy wiesz, że przed strzałem trzeba cofnąć głowę, bo inaczej mocno cię w nią stuknie?

- Papa już mnie o tym uprzedził, kiedy mi pokazywał, jak się strzela z pistoletu.

- Dobrze. Patrz uważnie.

Connor ujął muszkiet, a potem zajrzał do koszyka. Znalazł tam chleb, ser, pasztet z drobiu, jabłko, prochownicę i dwa kartony z nabojami. Uśmiechnął się pod nosem. Co za niezwykły piknik!

Nawet po kilku latach potrafił jeszcze nabić broń w sposób odruchowy, zupełnie jakby oddychał. Często mu się to śniło. Rozdarł karton zębami, wetknął nabój w usta, podsypał trochę prochu i zamknął go. Potem wsunął kulę i karton do lufy, wsypał tam resztę prochu, odwiódł kurek i wsparł muszkiet o ramię. Wszystko to nie zajęło mu nawet minuty.

Rebeka aż stęknęła z podziwu.

- Pomyśl sobie teraz, że celem jest Edelston, dobra? - Connor wziął jabłko na muszkę.

- Och nie, jest zbyt przystojny, żeby do niego strzelać. Connor opuścił broń.

- To on ci się podoba? - Nagle coś zakłuło go w sercu.

- Nigdy nie mówiłam, że brak mu urody, Connor. Spójrz tylko na niego! Widziałeś go przecież, prawda? Prawdziwy Adonis.

- Adonis?...

- O, tak. Boję się, że beznadziejnie głupi Adonis. Kiedy go spytałam, czy jego zdaniem kobiety powinny służyć w armii...

- Po co go o to pytałaś? Takie pytanie może wytrącić z równowagi każdego mężczyznę.

- A ciebie nie.

- Ale ja już cię dobrze znam, w dodatku od dawna. Rebeka się nadała.

- A co ci odpowiedział lord Edelston?

- Że wojna to brudny interes. Że można na niej zostać rannym. I że jest pewien, że nawet niektórzy mężczyźni nie powinni służyć w armii.

Connor uśmiechnął się z satysfakcją.

- Tak powiedział? A nie miał czasem racji?

- On wcale nie żartował, Connor!

- Właśnie to jest wspaniałe!

- Mówię ci, straszny z niego głupiec! A czy twoim zdaniem kobiety powinny chodzić na wojnę?

- W końcu i tak to robią, tyle że nie jako żołnierze. Dogładają chorych i rannych albo dbają o dom, ziemię i dzieci, póki mężczyźni nie wrócą z wojaczki. Cierpią przy tym tak samo jak oni, choć w inny sposób.

- Wiedziałam, że mnie zrozumiesz.

- Taki już jestem - odparł z udawaną powagą. - Rozumiem cię bardzo dobrze. A teraz strzelajmy do jabłka!

- Może się umówimy, że ono jest... fatalną okolicznością, wskutek której się zaręczyłam.

Connor jednak wolał sobie wyobrazić, że to Edelston.

Strzał huknął ogłuszająco i jabłko rozpiysnęło się na drobne kawałki. Otoczył je obłoczek dymu. Rebeka zakaszła i klasnęła w dłonie z radością. Connor skłonił się przed nią, kierując lufę w dół.

- Teraz moja kolej, Connor!

Rebeka pobiegła co sił w nogach do kamienia, żeby ustawić na nim kolejne jabłko, a potem ujęła muszkiet.

- Bardzo dobrze - pochwalił ją Connor - zrób z nabojem to, co ja przedtem, tylko nie połknij kuli. Nie śmieję się, bo naprawdę ją połkniesz! Teraz panewka. O, właśnie tak! Dobra. Teraz załaduj go - dobrze, dobrze - i pociągnij za spust.

Rebeka wymierzyła broń w jabłko z palcem na spuście. Connor położył jej dłonie na ramionach, ustawiając je, jak należy, a potem stanął za jej plecami.

- A teraz ognia! Wystrzeliła.

Odrzuciło ją w tył, ku niemu. Objął ją i przez moment poczuł delikatny, choć wyraźny zapach. Może był to zapach jej włosów, może skóry szyi. Powoli wciągnął tę woń w nozdrza i lekko popchnął Reбекę do przodu.

Czekali, aż dym się nie rozwieje, po czym stwierdzili, że z jabłka została tylko miazga.

- Doskonale. Wellington byłby z ciebie dumny.

- Dziękuję, ale to chyba wszystko na dziś. Znalazłam tylko dwa naboje - odparła ze szczerym żalem.

Uśmiechnął się niepewnie. Rebeka wyglądała zachwycająco w swoim różowym stroju, z długimi rękawami i poczerńiałymi od prochu wargami, którymi rozrywała karton. Na wpół świadomie przeciągnął po jej ustach palcem, żeby zetrzeć pył.

Zdumiała go jedwabista miękkość jej ust. Na chwilę zamarł bez ruchu. Chciał je tylko oczyścić, a tymczasem dotknął kobiety. Kobiety, która za dwa tygodnie będzie czyją żoną.

Wyobraził sobie Edelstona, jak swą rozpustną gębą przemocą całuje te delikatne różowe wargi. I wcale go to nie ubawiło. Oniemiał ze zdumienia, zdając sobie sprawę, że ktoś niewart Rebeki wkrótce będzie do niej miał wszelkie prawa. I do tych warg, i do tego młodego ciała. Na całą resztę życia.

Opuścił dłoni.

- Pobrudziłaś się... tym prochem... - wyjąkał.

- Och, tak! - Zaśmiała się. - Ale ty także!

Rebeka usiłowała stłumić ziewnięcie, lecz nie była w stanie. Pospiesznie ukryła więc nos w jednej z damasceńskich róż, które były dumą jej ojca. Edelstona pochłaniały jednak głośne rozważania na temat wina czy czegoś podobnego, czego wątek dawno już straciła, podobnie jak zainteresowanie. Nawet nie zauważył, że przystanąła. Dogoniła go jednym długim susem, nim zdążył się ku niej odwrócić. Zauważyła, że co jakiś czas Edelston zwraca ku niej twarz, żeby robiło to wrażenie dialogu.

Ojciec nalegał, by przychodził z nią gawędzić i zabierać ją na spacer, aby wyglądało na to, że się o nią stara. Całkiem jakby lord nie skompromitował jej w tymże samym ogrodzie zaledwie parę dni wcześniej! Tkwiła więc tam razem z nim jak w pułapce i choć pogoda była po prostu cudowna, Papryka stała beczynnym w stajni, bo nie miał kto na niej jeździć. Przez pierwszych dziesięć minut wspólnej przechadzki podziwiała regularne rysy Edelstona. Jego jasne włosy wiły się w pięknych, spiralnych kędziorach wokół głowy. Miał również niezwykle ładne niebieskie oczy - może niezbyt duże, ale wraz z ściągniętym greeckim rysunkiem kości policzkowych robiły wrażenie. Nos był mały i nieznacznie zadarty na końcu, co dodawało mu pikanterii, a dolna warga - ładnie zaokrąglona. Co za szkoda, że taki z niego tępy nudziarz.

Edelston po raz kolejny zwrócił ku niej głowę, co ją zaskoczyło. Zdobyła się na spojrzenie pełne żywego zainteresowania.

Może nawet zbyt żywego.

Edelston zwolnił kroku.

- A co pani myśli o winie, panno Tremaine? - spytał z nutą rozdrażnienia w głosie. - Czy pani też uważa, że najlepsze winogrona rosną w okolicach Bordeaux?

- Czy sądzi pan, że ja cokolwiek myślę, milordzie? - odparła słodkim tonem. - Myśli to pańska specjalność. Czy muszę pana obarczać również i moimi?

Edelston zmrużył oczy i spojrzał na nią. Patrzył długo. O Boże, pomyślała Rebeka.

Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, wydała mu się rozhukaną wiejską pannicą, lecz każda dziewczyna wiele traciła w porównaniu z piękną Lorelei. Gdy jednak przypatrzył się jej uważniej, dostrzegł, że Rebeka jest smukłą, a gdzieś tam w kącie wdzięcznie zaokrąglona, co wyraźnie mógł dostrzec, mimo że całe jej ciało szczelnie okrywała skromna sukienka z szarej drukowanej we wzory bawełny. Dyskretnie śledził te krągłości, żałując, że głębokie dekolty już kilka lat temu wyszły z mody. Jasne szarozielone oczy spoglądały na niego chłodno spod brązowych rzęs. Kosmyk złotorudych włosów wymknął się z fryzury i zwisał teraz koło ust. Przypomniało mu się, jak nakrył te usta własnymi, chociaż - rzecz jasna - zamierzał wówczas usidlić zupełnie inną osobę.

Doprawdy, jest całkiem niebrzydka, pomyślał, lecz zirytowało go, że wygląda na znudzoną. Przywykł do tego, by uważano go co najmniej za fascynującego. Dzięki ściągniętemu boskiemu profilowi i złotym włosom z samej natury rzeczy jest się kimś fascynującym. Przecież to prawo natury!

- O czym teraz porozmawiamy, panno Tremaine? Może o strojach? Może o tym, jak najlepiej podawać rostbef?

- Jeśli pan już koniecznie chce rozmawiać, pomówmy może o krążeniu krwi - powiedziała z miną niewiniątka, ale oczy jej dziwnie błysnęły, a lewa brew uniosła się ku górze.

- O krążeniu... co pani właściwie ma na myśli?...

- Podobno przyczyną wielu chorób wieku podeszłego bywa złe krążenie krwi - zaczęła z zapalem.

Edelston z najwyższym wysiłkiem powstrzymał się od splunięcia z obrzydzeniem.

- Panno Tremaine...

- Słucham, milordzie.

- Czy mój pocałunek sprawił pani radość? - wymruczał tonem, który zawsze robił piorunujące wrażenie na młodych naiwnych panienkach. Był to desperacki chwyt, który miał wytrącić Rebekę z równowagi.

- Och, a czy to był rzeczywiście pocałunek, milordzie? Nie mam wielkiego doświadczenia w tych sprawach, nie jestem więc pewna - odparła niewinnym tonem. Edelston gapił się na nią z otwartymi ustami, a gdy wreszcie doszło to do jego świadomości, pospiesznie je zamknął.

- Może mam zademonstrować wszystko jeszcze raz, panno Tremaine?

- Powinien pan chyba zachowywać się, jak przystało dżentelmenowi, lordzie Edelston.

- Gdybym nim był, nie doszłoby do naszego narzeczeństwa. Rebeka uznała słuszność tych słów i spojrzała na niego gniewnie.

- Niech pan to w takim razie zademonstruje w dniu ślubu - odparła w końcu.

Edelston uznał, że nigdy jeszcze nie prowadził równie dziwnej rozmowy z żadną kobietą. Ani boski profil, ani wystudiowana chłodna mina na nic się tu zdały. Poczuł, że traci kontenans. Zapragnął za wszelką cenę wybrnąć jakoś z tej sytuacji i poskromić tę dziwną istotę.

- Zapewne zdaje sobie pani sprawę, panno Tremaine, że po ślubie stanę się pani mężem, panem i władcą, a wtedy nie pozwolę na żadne dyskusje o krążeniu krwi. Będę mógł panią całować wówczas, kiedy mi się tylko spodoba - a nawet bić. I zaczynam podejrzewać, że mogę mieć na to ochotę nawet dość często.

- Niech pan tylko spróbuje!

- A w jaki sposób mi pani tego zabroni?

Chwilę później leżał już, rozciągnięty na ziemi, w pyłe ogrodowej ścieżki.

- Nauczył mnie tego pański przyjaciel, Robbie Denslowe. Wystarczy kogoś mocno kopnąć z tyłu pod kolanem, a upadnie jak długi. Murowane! Trzeba tylko zrobić tak całkiem niespodziewanie.

W szarozielonych oczach Rebeki widniało szczere rozbawienie.

Edelston przez chwilę nie ruszał się, patrząc na jej roześmiane usta. A potem stało się z nim coś dziwnego. Wszystko wokół rozjarzyło się nienaturalnie jaskrawymi barwami i przysięgłby, że głowę jego narzeczonej otacza złoty nimb.

Po raz pierwszy w życiu kobieta zdołała pozbawić go równowagi i uczynić bezbronnym. Zakochał się w Rebecie Tremaine na zabój.

Nie mogę tego znieść! Connor, on pisze o mnie wiersze! I pomyśleć, że codziennie muszę z nim chodzić na spacer! - skarżyła się Rebeka zza grzbietu Sułtana, podczas gdy Connor pracowicie czyścił bok zwierzęcia.

- Wiersze?

- Owszem, w dodatku bardzo złe. Rymuje „wiosna” z „radosna” i tak dalej.

- Martwi cię to?

- Martwi mnie co innego - odparła z rozpaczą. - Edelston to wstrętny głupiec!

- Zawróciłaś mu w głowie. Zakochani nieraz głupieją albo robią się śmieszni. Czasem i jedno, i drugie.

- Przecież przedtem nie tracił dla mnie głowy! Jak to możliwe?

- Widać, całkiem dla ciebie zbzikował. - Connor zdradzał pewne rozdrażnienie. -

Mówisz, że padł na ziemię jak długi i że go wyśmiałaś? Trudno mi uwierzyć, że akurat to go wzięło!

Rebeka zachichotała.

- Nadal nie sądzę, żebym kiedykolwiek kogoś oczarowała. To dla mnie raczej niespodzianka.

- A Robbie Denslowe?

- Ale on był chłopcem, a Edelston jest mężczyzną. W dodatku baronem - dodała całkiem niepotrzebnie.

Connor po raz drugi poczuł przykre ukłucie w sercu.

- Chcesz za niego wyjść tylko dlatego, żeby codziennie dostawać nowy wiersz?

- Co za myśl! - odparła z oburzeniem. - Po prostu nie przywykłam do czegoś takiego!

Chociaż to mi pochlebia - dodała po chwili zadumy - bo nie przypuszczałam, żeby ktoś we mnie dojrzał coś niezwykłego.

- O, naprawdę jesteś niezwykła.

Connor powiedział to świadomie sarkastycznym tonem, żeby się nie domyśliła, że naprawdę tak uważa.

- Och, Connor, sama nie wiem, czy wolę widzieć w Edelstonie pompatycznego głupca, czy też głupca poetyzującego! A zresztą on nadal nie potrafi ze mną rozmawiać. Słucham tych jego monologów przerywanych wierszami i o mało nie wariuję z nudów. Zadałam mu raz niełatwe pytanie...

- Pewnie się na nim poznał - zauważył cierpko Connor.

- Czasem bywa rycerski nie do zniesienia. Podczas naszego ostatniego spaceru nagle zmienił temat i powiedział, że chętnie by się rzucił z obnażoną szpadą na Napoleona Bonaparte, byle tylko mnie obronić.

- Cóż za pomysł.

- A kiedy indziej jednak... hm... on...

Coś w jej głosie go zaniepokoiło.

- Co, Rebeko?

- Co prawda zdarzyło się to tylko jeden raz i może nie miało znaczenia, dlatego nie mówiłam wcześniej, że...

- Co się stało „tylko jeden raz”? Nabrała głęboko tchu.

- Edelston powiedział, że po ślubie będzie mógł mnie bić. A także, jak uważa, dość często będzie miał na to ochotę.

Spojrzała na Connora z nadzieją i trochę zmieszana, jakby się spodziewała, że uzna całą rzecz za zabawną, a zarazem bała się, że tak nie będzie.

Connor wstrzymał z wrażenia dech.

- Coś ty powiedziała? - spytał, cedząc słowa. Głos mu się nieznacznie zmienił. - On ci grozi laniem?

- Powiedział tak tylko jeden raz. Na pewno dlatego, że nie chce ze mną rozmawiać o krążeniu krwi. Ale mówił też, że będzie mnie często całował.

Connor milczał przez chwilę. W wyobraźni siekał już Edelstona na drobne kawałki i delektował się jego wrzaskami.

- Chyba nie myślisz, że... że on naprawdę będzie mnie bił? Connor wciąż jeszcze nie był w stanie nic powiedzieć, tak nim trzęsa wściekłość.

- Tylko ostatni łobuz może grozić kobiecie laniem, Rebeko. On chyba żartował?

- Nie wiem, czy Edelston potrafi żartować. Bierze siebie strasznie na serio. Gdybym nie mówiła o krążeniu krwi i o kobietach w armii, to może... - Urwała.

- .. albo o czymkolwiek innym - dokończył za nią. - Albo gdybyś nawet nic nie mówiła. Sułtan potrząsnął zniechęconym głowem i machnął ogonem. Być może udzieliło mu się napięcie Connora, który wspierał się o jego grzbiet. Connor uspokoił zwierzę, mruczając mu do ucha słowa przeprosin, co jego samego też trochę uspokoiło.

- Widzę, że chcesz się do niego przekonać. To nierozważne.

- Och, oczywiście. - Wzruszyła ramionami. Connor uśmiechnął się pod nosem.

- A kto chciał rozmawiać o krążeniu krwi?

- Właśnie ja - odparła ze smutkiem.

Znow zapadło między nimi milczenie. Dziwne, przed pojawieniem się Edelstona nigdy tak nie bywało.

- Connor... - szepnęła drżącym głosem.

- Co takiego?

- Próbowałam, z całej siły próbowałam się z tym pogodzić. Zeby papa nie miał pretensji. Żeby nikt nie miał pretensji. Ale...

Connor czekał na dalszy ciąg.

- .. ja nie mogę za niego wyjść.

Dwie pary oczu - piwne i szarzielone - spotkały się bez słowa.

- Cóż - odezwał się w końcu Connor, przesuwając zgrzeblem po końskim boku, tak jakby chodziło o rozmowę o pogodzie, a nie o jej całej przyszłości - więc nie rób tego.

- Och, ty niemądra dziewczyno - burknął do siebie - nie powinnaś za niego wychodzić i już. Och Boże w niebiesiach!

Connor w niewesołym nastroju siedział przy stole w swojej izdebce. Tuż obok jego prawej ręki stała butelka whisky, przeznaczona tylko na wyjątkowe okazje. Nalewał sobie z niej już po raz trzeci tego wieczoru. Spojrzał na trunek pod światło z powagą i czułością.

- Więc powiesz mi za szyję na śmierć - powiedział. Whisky wzmagała jego czarny humor.

Nie ułożył jeszcze żadnego planu. Miał na to całe osiem dni. W jaki sposób zdoła uciec z siedemnastoletnią dziewczyną, żeby ją uchronić przed fatalnym małżeństwem? Najlepiej

w środku nocy, kradnąc przy okazji jednego albo i dwa konie. W nocy wypełnionej haniebnymi czynkami. Po to, żeby zakończyć swoją historię w godziwy sposób. Bez wątpienia będzie musiał postąpić właśnie w ten sposób. Po drugim kieliszku whisky stało się dla niego jasne, że właśnie z powodu Rebeki tak długo pozostawał na służbie u Tremaine'ow.

Przez pięć lat wiódł spokojne, niczym niezakłócone życie w tej prowincjonalnej wiejskiej posiadłości. A od chwili, kiedy znoził Rebekę z jabłoni, czuł się za nią w jakiś sposób odpowiedzialny. Wyczuwał w niej bratnią duszę. Wiedział, że dziewczyna przerasta otoczenie i źle się czuje w wyznaczonych jej ciasnych ramach. Rebeka nigdy świadomie nie wyrządziłaby przykrości matce ani nie zaskakiwałaby ojca swoimi upodobaniami, lecz nic nie mogła poradzić na to, że była taka, jaka była. W Anglii około 1820 roku kobieta żadna wiedzy nie miała łatwego życia. Connor czuł do Rebeki sympatię, sam jednak nie wiedział, co właściwie z niej wyrośnie.

Główną różnicą między wychowaniem Connora a Rebeki było to, że na nim przeznaczenie ciążyło niemal od kołyski. Ojciec kategorycznie rozstrzygnął, jak ma wyglądać jego życie, i wszelkie odstępstwa od tego wzorca nie tylko nie były tolerowane, lecz także okrutnie karane. Connor miał wrażenie, że ciąży na nim straszliwa odpowiedzialność. W tym dawnym życiu czuł się tak, jakby pierś gniotła mu potężna pięść, ograniczając jego ruchy, myśli i wyobraźnię.

Jak na ironię, wojna otworzyła drzwi do wolności. Connor przy pierwszej okazji porzucił poprzednie wcielenie i choć chwilami nękało go poczucie winy, nigdy swojej decyzji nie żałował. Zawsze z głębokim zadowoleniem wspominał dzień, gdy wreszcie zdołał zrzucić z siebie jarzmo wysokiego urodzenia. Coś mu jednak z tego poprzedniego życia zostało: Melbers, zacny, niezawodny i dyskretny prawnik rodziny Blackburnów, co roku przysyłał mu niewielką sumkę, zawsze w tym samym terminie. Na własny, spokojny sposób protestował przeciw brutalności starego księcia. Pieniądze te powinny były nadejść już pod koniec zeszłego miesiąca. Ale może Melbers czymś był tego roku mocno zajęty. Connor znalazł u Tremaine'ow spokój i odzyskał równowagę, za co był im wdzięczny. Miał już jednak dwadzieścia dziewięć lat, a wciąż czuł, że na coś czeka, chociaż nie wiedział na co.

Rebeka była kobietą i dlatego nie mogła iść przez życie ot tak, po prostu. Connor przeklinał w duchu pobłażliwość jej rodziców - ojca, który traktował ją z dobrodusznym lekceważeniem, i matki, zawsze zaaferowanej, zadreęczającej córkę troskliwością. Może jednak Rebeka wyrośnie na kogoś innego niż jej otoczenie.

Zabawne, zawsze się spodziewał, że Rebeka Tremaine zdoła kiedyś położyć kres temu spokojowi jego ducha - ona, ze swoim zadziwiającym słownictwem nabytym dzięki lekturze medycznych pism ojca („och, mój gluteus maximus!” - jęknęła pewnego dnia po długiej jeździe na Papryce) i kłopotliwymi pytaniami („czy szczenięta mogą mieć więcej niż jednego ojca? Bo widziałam Bonnie i pod Brunem, i pod Gliderem!”) Dawno sobie przyrzekł, że nigdy więcej nie weźmie udziału w żadnej bitwie, lecz wyglądało na to, że walka właśnie się zaczyna.

Dokonał przeglądu swoich wspomnień, jakby manewrował figurami na szachownicy: każda z nich mogła się okazać potencjalnie użyteczna. I stopniowo zaczęła się w jego umyśle kształtować idea pewnej strategii. Rozmyślał nad nią powoli, jakby smakował swoją whisky, i rozważał: „O tak, oczywiście, to się uda, tamto też się musi udać...”

Aby ową ideę wprowadzić w czyn, należało wyjechać do Ameryki. Tam się miało zacząć nowe życie Connora. Życie, którego początek, o czym dobrze wiedział, opóźnił, przebywając u Tremaine'ow.

Wreszcie z satysfakcją przechylił butelkę, nalewając sobie czwarty, ostatni kieliszek. Wzniósł go w górę.

- Za mój wspaniały plan - mruknął, uśmiechnął się i wychylił całą whisky duszkiem. Edelston czuł się uskrzydłony, choć przez ponad tydzień nie mógł chodzić swobodnie. Ta roześmiana, zielonooka, rudowłosa dziewczyna, anielica i diablica w jednym ciele, sprawiła, że nie mógł bez niej żyć. Rebeka. Rebeka. Rebeka! Szkoda, że tak trudno znaleźć rym do tego imienia, choć nie było to przeszkodą nie do pokonania.

Od tamtego dnia w ogrodzie działała na niego w jakiś wyjątkowy sposób. Może sprawił to błysk w jej oku, kiedy zadawała mu te zaskakujące pytania, albo jakiś szczególny ton jej głosu. Czuł się wskutek tego niepewnie, może po raz pierwszy w życiu, i było to zaskakujące wrażenie, lecz przynajmniej nie pozwalało na nudę. Dawno już porzucił myśl o pozbyciu się jej niedługo po ślubie. Teraz nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że mógłby zrezygnować z tej intrygującej kobiety. Na szczęście za tydzień zostanie jego żoną.

Potrzebował jednak kartki, żeby napisać coś innego niż wiersz: krótki list, który położyłby kres istnieniu pewnej niezwykle krępującej sytuacji. Wprawdzie wyjątkowo dla niego korzystnej i pozwalającej mu przez wiele miesięcy na finansową niezależność. Podszedł do szafy, otworzył ją i niespokojnie pomacał kieszeń płaszcza. Gdy wyczuł pod palcami twardy przedmiot, odetchnął z ulgą. Wiązała się z nim bowiem dość szczególna umowa gwarantująca mu stałe dochody. Kontrakt ślubny, jaki zaproponował sir Henry, sprawił, że przestawała być niezbędna. A w świetle bliskiej zażyłości, jaka niegdyś łączyła go z poprzednim właścicielem tegoż przedmiotu, byłoby honorowo, gdyby owej umowie położył kres. Edelston odkrył bowiem ostatnio pojęcie honoru i uznał, że całym dobrze pasuje do szczerzej miłości.

Pozostawało już tylko przeprosić dawnego właściciela przedmiotu i uprzejmie wyznaczyć termin spotkania, które zamknęłoby całą sprawę. Dziwna wydała mu się myśl, że mógł niegdyś rozpaczliwie tęsknić za ciałem i twarzą tamtej kobiety. Nawet samo jej wspomnienie wydawało mu się trywialne wobec niebiańskich wręcz emocji, jakie budziła w nim teraz panna Tremaine. Napisał zatem list, a po wysłaniu wrócił do układania wiersza.

- Czy wiedziałeś, Connor, że jestem „niebiańską istotą o włosach jak złoto”?

- To Edelston pisze teraz lepsze wiersze? - spytał, nacierając siodło oliwą.

- Trudno powiedzieć. Wiem tylko, że wcale nie poprawił mi nastroju. Wczoraj czytał mi swój utwór głośno i wiesz, co mi potem powiedział?

- Co takiego?

- Nigdy pani nie wygląda bardziej ponętnie niż przy słuchaniu! Connor parsknął donośnym śmiechem.

- Oj, chyba będzie mi go brakowało po naszej ucieczce!

- Tylko że ja chyba umrę albo zwariuję z nudów, jeśli przyjdzie mi się z nim dłużej męczyć. - Zniżyła głos. - Kiedy uciekamy?

- Za cztery dni. Dwa dni przed twoim ślubem. Powiem ci więcej przedostatniego dnia.

- Dlaczego nie teraz?

- Bo myślę, że przede wszystkim musisz się starać, żeby zachować wszystko w sekrecie, a gdybym ci mój plan dokładnie wyjawiał, twoja twarz zdradzi wszystko każdemu, kto tylko na nią spojrzy.

- Nie ufasz mi?

- Gdybym ci nie ufał, nie mówilibyśmy tu ze sobą - odparł stanowczo. - W gruncie rzeczy jest to pochwała. Niedobrze, kiedy kobieta ma talent do udawania. Nie chcę, żebyś musiała zachowywać jak komediantka.

- A gdybym była szpiegiem? - spytała z rozmarzeniem. - W służbie mojego kraju? Wtedy przecież musiałabym udawać.

Connor wznosił oczy do nieba.

- Nie jesteś i nigdy nie będziesz szpiegiem. A teraz muszę cię o coś spytać. Nadstaw uszu!

- Tak - odpowiedziała posłusznie, czym go nie zdołała wcale zwiść.

Connor udał, że gniewnie marszczy brwi. Rebeka uśmiechnęła się szeroko, lecz nic nie rzekła.

Connor przez dłuższą chwilę czyścił zgrzeblem zad Sultana, nim znów się odezwał.

- Po naszej ucieczce możesz już nigdy więcej nie zobaczyć swojej rodziny. Nie wiem, czy tak będzie, ale może się zdarzyć. Twoje życie przestanie być tak wygodne i bezpieczne, jak do tej pory. Myślałaś o tym?

Rebeka przez chwilę patrzyła ponad jego ramieniem, jakby ku opisywanej przez niego przyszłości, a potem spojrzała mu w oczy.

- Owszem, przewidziałam. Tylko że moje życie wcale nie byłoby wygodne i bezpieczne, gdybym wyszła za mężczyznę, którego nie kocham ani nawet nie lubię. To tak, jakbym się miała powoli udusić. Może gdyby rodzina to rozumiała, wolałaby już moją ucieczkę. Dokonałam wyboru na rzecz ryzyka i wolności.

Connor z zadowoleniem skinął głową. Chciał, żeby wyraziła to na głos.

- Czy pojedziemy do Ameryki? - spytała nagle.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę z pewnym zaskoczeniem.

- Może.

- Bo... tyle razy mówiłaś o Ameryce, a ja wiem, że potrzebują tam lekarzy. Może nie będą mieli uprzedzeń względem kobiet - mruknęła nieśmiało.

- Może - powtórzył i uśmiechnął się, żeby ułatwić zmianę tematu. - Przynies jutro pod stajnię kosz z pokrywką. Zapakuj do niego jedno ubranie i zapasową parę butów. A kiedy będziesz wybierać strój, pamiętaj, że kosz musi być lekki.

Serce zaczęło jej łomotać.

- Ślub miał być w niedzielę.

- Szkoda, że nie będziemy na tej uroczystości.

- Lady Montgomery...

- Owszem, moja droga, wypadło to bardzo dobrze - odparła z roztargnieniem Gillian Montgomery.

Młoda uczennica rozpromieniła się po tej pochwie i ponownie uderzyła w klawisze. Może kiedyś z tego bębnienia wyłoni się coś podobnego do melodii? Uczennica, córka bogatego i ekscentrycznego szkockiego ziemianina nazwiskiem Honeywell, nie przejawiała zdolności w żadnym kierunku, lecz wszystko robiła z ogromnym

entuzjazmem. Lady Montgomery uważała zaś, że entuzjazm należy wynagradzać, bo do niczego się bez niego nie dojdzie.

Trzymała w ręce list, który jej właśnie doręczono. Charakter pisma wydawał się znajomy. Sądziła, że podczas popisu pupilki zdoła go przeczytać. Lady Montgomery zawsze potrafiła robić kilka rzeczy jednocześnie. Słuchanie gry uczennicy podczas lektury listu wcale jej nie przeszkadzało.

Sięgnęła do kieszeni po okulary i umieściła je starannie na nosie. „Droga Cioteczko...” przeczytała nagłówek, podczas gdy panna Honeywell waliła w klawisze. Cioteczko! Któż, u licha... „Mam nadzieję, że zdrowie nadal ci dopisuje. Gdybym nie wiedział o twej wyjątkowej odporności nerwowej i nie miał pilnego powodu, nie wysyłałbym tego listu, by cię nie wytrącać z równowagi. Tak się jednak składa, że muszę to uczynić. Ciotka Gillian Montgomery, jaką pamiętam, byłaby rada, a może nawet bardziej ubawiona niż przerażona takimi słowami i zdołałaby mi wybaczyć, gdybym osobiście wyjaśnił, o co mi chodzi.

Żyję i mam się dobrze, Cioteczko. Nie zginąłem wcale podczas bitwy, jak wcześniej uznano. Jestem również zdrów na ciele i na duszy. I chociaż nie mam pewności, czy zechcesz mnie przyjąć, proszę o pewną przysługę: przywożę ze sobą zaprzyjaźnioną młodą damę, która pragnie uciec przed zagrażającym jej fatalnym małżeństwem. Jestem pewien, że będziesz nią zachwycona i znajdziesz w jej osobie pilną uczennicę oraz bratnią duszę. Kiedy ją poznasz, z pewnością nie uznasz mego postępuku za nieprzemyślany, lecz raczej, podobnie jak ja, uwierzysz, iż zrobiłem właściwą i jedynie słuszną rzecz w tych okolicznościach.

Z góry przepraszam, jeśli miałoby to ciążyć twemu sumieniu, lecz proszę, nie pokazuj tego listu nikomu. Nie mam zamiaru upominać się o tytuł czy majątek ani też pozbawiać Richarda jego obecnej pozycji. Pragnę powierzyć młodą damę twojej opiece, a potem opuścić Europę. Możesz się spodziewać naszego przybycia do Szkocji przed końcem czerwca. Twój kochający siostrzeniec, Roarke”

Lady Montgomery przeczytała list dwukrotnie, najpierw - by zrozumieć jego treść, a potem - by się nią delectować. Później zaś opuściła rękę, w której go trzymała, na kolana. A więc ten zuchwalec żyje! Powoli napływały wspomnienia. Roarke był starszym synem jej siostry, Elizy. Lady Montgomery zawsze oskarżała jej męża o to, że był winien śmierci syna. Teraz jednak uśmiechała się pod nosem. Ach, jakżeż syn cię zdołał okpić, ty stary draniu! Żyje i ani myśli upomnieć się o spadek. Pewnie nie wie, że jego brata nie ma już między żywymi. Może da się namówić do zmiany zamiarów? Najlepszą zemstą na szwagrze byłoby udzielenie pomocy Roarke'owi w tym, by mógł żyć, jak mu się podoba, a nie w sposób, jaki ojciec próbował na nim wymusić.

Lady Montgomery uważała bowiem zemstę za rzecz zabawną. Założona przez nią szkoła dla dziewcząt też była czymś w rodzaju zemsty. Konserwatywny Szkot, za którego wyszła, zmarł i zostawił jej mnóstwo pieniędzy. Ten dobry protestant oniemiałby chyba, słysząc, jak panna Honeywell gra na fortepianie w jego salonie.

Zobaczę, co będzie można zrobić dla Roarke'a i jego młodej przyjaciółki, postanowiła. Serce zabiło jej żywiej na tę myśl.

„Po naszej ucieczce możesz już nigdy więcej nie zobaczyć swojej rodziny”. Słowa Connora brzmiały jej w uszach, kiedy opuszczała stajnię. Powiedziała mu to, co myślała.

Dokładnie rozważyła wszelkie możliwe konsekwencje ucieczki i szczerze wierzyła, że postępuje słusznie.

Co jednak nie znaczyło, że będzie to łatwe.

W drodze do domu podjęła kolejną decyzję, która również wiązała się z dużym ryzykiem i którą także uznała za słuszną. Chciała się pożegnać z Lorelei. Czuła, że nie może uciec bez aprobaty i zrozumienia z jej strony, bo zniknięcie Rebeki mogłoby dotkliwie zaszkodzić widokom na przyszłość pięknej siostry.

Zastała Lorelei w sypialni, gdzie całe łóżko pokrywały próbki tkanin - matowych i błyszczących jedwabi, połyskliwych atłasów - a także koronki i miarki krawieckie. Miały to być stroje na londyński sezon. Na jej widok Lorelei drgnęła raptownie.

- Lorelei...

- Och, jak mnie przestraszyłaś! Właśnie pracuję nad moimi kreacjami. Jak sądzisz, czy lawendowy jedwab pasuje do różowych pantofelków? Może ciemniejszy odcień...

- Lorelei...

Tym razem Lorelei wyczuła w głosie Rebeki coś dziwnego. Spojrzała na siostrę z zaskoczeniem.

- Muszę ci coś powiedzieć... - zaczęła ostrożnie Rebeka.

- Źle się czujesz? Mam zawołać mamę?

- O Boże, nie! Lorelei... proszę cię, posłuchaj. Czy... gdybym w jakiś sposób mogła uniknąć tego małżeństwa... pochwalibyś moje postępowanie?

Lorelei patrzyła na nią z wahaniem.

- Nie moją rzeczą jest pochwalać cię czy ganić, Rebeko, ale jeśli już chcesz wiedzieć... - tu Lorelei nabrała głęboko tchu - ...twoje szczęście bardziej mnie obchodzi niż mój honor - zakończyła lojalnie.

Tym razem to Rebeka zaczerpnęła tchu.

- Lorelei... nie zamierzam poślubić Edelsona.

- A jak chcesz to osiągnąć? Przecież ślub ma być w niedzielę!

- Zamierzam... nie pojawić się na nim.

Rebeka znacząco spojrzała prosto w błękitne oczy Lorelei, jakby chciała jej w ten sposób przekazać swoje intencje. I po chwili Lorelei pojęła myśl siostry.

- Mam trochę pieniędzy - odparła powoli - możesz je sobie wziąć. Ale proszę cię, bądź ostrożna! - Lorelei otworzyła szkatułkę i wyjęła stamtąd jednego funta. - Wygrałam go, bo założyłam się z Susannah Carson, że jej nowy kuzynek nie będzie chłopcem. Ona uważała inaczej. Dziewczynka urodziła się w zeszłym tygodniu.

- Lorelei Tremaine, co się z tobą dzieje? Schadzki, zakłady... Nasz pastor gotów uznać, że zesłaś z drogi cnoty!

Lorelei wręczyła jej funta i z błagalnym spojrzeniem ścisnęła rękę siostry. Przez chwilę obie milczały.

- Nie przysłałam do ciebie po pieniądze, Lorelei.

- Wiem, ale będziesz ich potrzebować.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że... że będzie mi ciebie brak. W oczach Lorelei zalśniły łzy.

- Och, Rebeko, to wszystko moja wina! Gdybym tylko...

- Lorelei, przecież zgodziłyśmy się, że tu zawinił Edelston.

- Ale. ..jeśli ja potem wyjdę za jakiegoś hrabiego... chciałabym, żebyś była na moim ślubie.

- Ja bym też tego chciała, Lorelei. Nie powiesz o niczym mamie?

- Przenigdy. Może to zresztą wina rodziców...

Rebeka uważała podobnie, ale wołała o tym nie dyskutować.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że dobrze wiem, co robię, i że nic mi się nie stanie.

- Kiedy zamierzasz...

- Chyba lepiej, żebyś nie wiedziała, bo mama i papa szybko by z ciebie wszystko wydobyli i uznali cię za współniczkę. Słowo daję, będę szczęśliwsza bez Edelstona niż z nim.

- Zgadzam się - szepnęła smutno Lorelei.

- No i... - Rebeka nie zdołała powiedzieć nic więcej, bo płacz stłumił jej słowa. Zresztą niewiele tu było do powiedzenia. Ucałowała siostrę w policzek i pospiesznie wybiegła z pokoju.

Rebeka sięgnęła na najwyższą półkę biblioteczną po ojcowski atlas anatomiczny, chcąc raz jeszcze zerknąć na wspaniałe plansze i tajemnicze terminy, nim będzie musiała nieodwołalnie z tego zrezygnować. Szukała go uważnie, lecz na próżno, tupiąc nogą z irytacji. Niezależnie, co robiła, zawsze brało w tym udział całe jej ciało.

Nazajutrz miała uciec stąd na zawsze. Przez ostatnich kilka dni żegnała się w duchu ze wszystkim, co lubiła - z ogrodem, jabłonią, końmi, psami, mamą, papą i Lorelei, która nieustannie rzucała jej pełne smutku spojrzenia. Szczęściem rodzice najwyraźniej nie rozumieli ich wymowy.

Nagle wszystko zaczęło się jej wydawać obce, dalekie, a nawet nieco przygnębiające, niczym pręty klatki - złoconej, ale mimo wszystko klatki. Odsunęła więc od siebie uczucie żalu.

Irytację, i to coraz większą, budził w niej natomiast przez cały ranek Connor. Choć ani przez chwilę nie wątpiła, że dzięki niemu zdoła uniknąć koszmaru zaślubin - miał zbyt wiele doświadczenia, by mu się to nie udało - złościło ją trochę, że nie dopuścił jej do planowania eskapady. Podjęła decyzję ucieczki bez zastanowienia, lecz potem rozmyślała o niej długo i z zaskakującą powagą. Connor powinien był docenić jej zimną krew i ujawnić cały plan. A tymczasem zachowywał się niemal jak jej ojciec i Edelston, najzupełniej pewien, że Rebeka nie potrafi wykonać dokładnie jego poleceń. A właśnie on, ze wszystkich ludzi, powinien znać ją lepiej!

Szukała więc sposobności, by mu udowodnić, że da sobie radę. Już miała się odwrócić, by sprawdzić, czy książki nie ma na przeciwległym regale, gdy oczy jej padły na gruby, szary płaszcz przewieszony przez jeden z foteli - jak sądziła, ojcowski paltot. Coś jej nagle przyszło do głowy.

Spojrzała ostrożnie ku drzwiom, a potem wsunęła dłoń do kieszeni okrycia. Pusto! Niezrażona tym, pomacała drugą. Nic w niej nie było. Wreszcie uniosła płaszcz do góry i wtedy jej palce natrafiły na mały przedmiot - chłodny, gładki i cięższy niż moneta. Wyciągnęła stamtąd medalion na cienkim łańcuszku. Zdumiała się. Na cóż papie była damska ozdoba?

Powiodła palcem po kancie wieczka, a gdy odskoczyło, otworzyła usta ze zdumienia. W środku znajdowała się podobizna kobiety pewnej swojej urody, inteligentnej i władczej. Miała błękitne oczy o rozbawionym spojrzeniu i wysunięty podbródek, a spiętrzone w wymyślną fryzurę włosy były błyszczące i czarne. Pełne, różowe usta wykrzywiał dyskretny uśmiech przypominający grymas. Czubek głowy zdobiło pawie pióro.

Rebeka, wpatrzona w portret jak zahipnotyzowana, drgnęła, słysząc odgłos kroków. Miarowe stąpanie po marmurowych płytach zwiastowało Gilroya, który bez wątpienia chciał wejść do biblioteki, żeby napełnić ojcowską karafkę. Rebeka gwałtownym ruchem wytarła zwilgotniałe dłonie w suknię, wyprostowała się i ruszyła do wyjścia, starając się wyglądać obojętnie.

- Dzień dobry, panno Rebeko - powiedział zaskoczony nieco Gilroy. Obejrzał się i dodał, zniżając głos do szeptu: - Tato panienki schował gdzieś tę medyczną książkę.

- Domyśliłam się tego bez ciebie - odparła tonem bardziej cierpkim, niż należało. Przypominając zaś sobie poniewczasie o zasadach dobrego wychowania, skłoniła się pospiesznie, a potem niemal pędem wybiegła na korytarz, mijając zaskoczonego kamerdynera.

- Nigdy bym nie pomyślał, że panna Rebeka może szperać po kieszeniach płaszcza lorda Edelstona - mruknął do siebie, zbierając puste kieliszki po brandy.

5

Brzask więcej kryje w cieniu, niż oświetla, pomyślał z zadowoleniem Connor. Dzisiaj było mu to wyjątkowo na rękę. Podszedł do siwka i raz jeszcze sprawdził dokładnie uprzęż.

Świetnie się złożyło, że sir Henry postanowił połączyć jeden z rutynowych wyjazdów Connora po zapasy z wizytą u pewnego ziemianina w South Greeley, gdzie należało obejrzeć klacz oferowaną na sprzedaż po zdumiewająco niskiej cenie. Rzecz jasna, Connor uznał to za doskonały pomysł.

Reszta planu przedstawiała się następująco: zaprzyjaźniona niewiasta, na którą zawsze mógł liczyć; miasto o nazwie Sheep's Haven, położone na tyle daleko od jego zwykłej trasy, by zmylić pogoń; ukryty w głębi lasu myśliwski domek, który był niegdyś dla młodego chłopca rajem. A ciotka, siostra matki, i jej szkoła dla dziewcząt w Szkocji jako ostatni etap.

Potem zaś nowe życie w Ameryce, którego początek tak się opóźniał z powodu zbyt długiego pobytu u Tremaine'ow.

Jeśli szczęście im dopisze, związek jego wyjazdu do South Greeley ze zniknięciem Rebeki wyjdzie na jaw dopiero nazajutrz, co da im cenną przewagę jednego dnia. Nie spodziewano się bowiem, by wrócił z South Greeley wcześniej niż za tydzień. Sir Henry, lady Tremaine i Lorelei mieli zaś być już wtedy w Londynie, gdyż Connor wątpił, czy nawet ucieczka własnej córki zdoła skłonić lady Tremaine do opóźnienia wyjazdu Lorelei na sezon.

Kiedy sprawdził już stan upręży, wziął koszyk z prowiantem zapakowanym przez gospodynię, panią Hackette, podszedł do wozu i unióśł płócienne nakrycie, żeby postawić koszyk obok innych zapasów żywności, jakie się tam znajdowały.

- Siedz cicho! Nie ruszaj się i oddychaj jak najmniej - syknął i opuścił płótno.

Kiedy Connor siadł na koźle, wóz zatrzęsł się i zaskrzypiał, a potem szybko wytoczył się ze stajennego dziedzińca.

Edelston z uśmiechem przyglądał się pszczole krążącej nad przepięknie w pełni rozkwitłymi różami, zdobiącymi frontowy ogród Tremaine House. Jestem jak ona,

pomyślał sobie, a moja droga Rebeka jak róża. Pszczoła ma zamiar spać wonny nektar, a ja...

Przerwał nagle te dumania, usiadł na kamiennej ławce i zaczął z troską myśleć o czymś, co miało dużo mniej wspólnego z przyzwoitością, a dużo więcej z odkrytym niedawno w sobie poczuciem honoru. Zaprosił bowiem na ślub pewną osobę, a tętent kopyt na dziedzińcu zwiastował, iż właśnie przybyła w powozie z herbem księcia Dunbrooke'a. Edelston wstał, uniósł kapelusz i czekał, aż Cordelia Blackburn, księżna Dunbrooke, wysiadzie z karety, z pomocą lokajów Tremaine'ow.

Głowę księżnej ozdobił skromny kapelusik z powiewającym nad nim błękitnym piórem. Cordelia w zadziwiający sposób potrafiła podkreślić swoją i tak imponującą urodę byle drobiazgiem. Była to jej broń, zresztą nie najbłahsza. Edelston obserwował, jak wydaje polecenia pokojówce i niskiemu, zgiętemu w ukłonie ciemnowłosemu i ciemnookiemu człowiekowi, który nigdy jej nie odstępował. Wreszcie szereg służących uginających się pod ciężarem bagaży zniknął w głębi domu.

Cordelia odwróciła się do Edelstona, czekającego, tak jak się wcześniej umówili, we frontowym ogrodzie. Ruszył teraz ku niej.

Cordelia wyglądała wprost olśniewająco. Twarz i szyja przypominały lilię osadzoną na delikatnej, giętkiej łądydze, pukiel połyskliwych, ciemnych włosów delikatnie muskał policzek. Edelston wiedział jednak, że jej eteryczność to złudzenie. Cordelia potrafiła zamknąć mężczyznę w uścisku swoich jedwabistych łądźwi niczym w żelaznym imadle, wydając przy tym ekstatyczne jęki. Poczul, że robi mu się gorąco.

- Witaj, Tony - odezwała się melodyjnym głosem i wyciągnęła ku niemu dłoń w błękitnej gienzowej rękawiczce.

Edelston pochylił się nad nią.

- Cordelio, wyglądasz zjawiskowo. Na twój widok zaparło mi dech, jak zawsze zresztą. Zaśmiała się dźwięcznie.

- Widzę, że pobyt na wsi nie zgasił twojej elokwencji. Wciąż jestem pod twoim urokiem. Zauważył, że wyraz twarzy Cordelii przeczy jej słowom. Spoglądała na niego przenikliwie spod ronda słomkowego kapelusika. Oczy były jej kolejną bronią: ogromne szafirowe, w granatowej obwódce, rzadko zmieniały wyraz. Zwykle widniało w nich ironiczne rozbawienie, chłodny dystans lub też dyskretne wyzwanie.

Edelston już dawno miał okazję stwierdzić, ile było w niej wyrafinowania i niezwyklej wręcz zdolności kontrolowania każdej sytuacji, teraz jednak wołał nieprzewidywalność i piękne oczy pewnej rudowłosej dziewczyny.

- Chyba jednak trochę straciłem wprawę, Cordelio, ale czy nie dostrzegasz we mnie oznak szczęścia?

- Oznak szczęścia - powtórzyła powoli i z niedowierzaniem, cofając dłoń. - Och, mój drogi!

- Tak, Cordelio - oznajmił uroczyście, prowadząc ją w stronę kamiennej ławki i siadając u jej boku. - Zakochałem się. Po raz pierwszy w życiu.

Nigdy mu się jeszcze nie zdarzyło, by ktoś, czyje imię wymawiał niejednym raz wśród spazmów rozkoszy, nie drgnął, słysząc podobne wyznanie. Jeśli jednak Cordelia poczuła się dotknięta, nie okazała tego. W jej oczach błysnęło tylko lekkie rozbawienie.

- Ach, rozumiem. Zakochałeś się. To wszystko wyjaśnia. Czy może w swojej przyszłej żonie? Córce tych Tremaine'ow?

- W Rebecę - przyznał ze wzruszeniem, bo nie mógł nawet jej imienia wymówić obojętnie.

- A czy Rebeka jest zakochana w tobie?

Zaskoczyła go swoim pytaniem. Dotąd nie zastanawiał się nad tym.

- Wkrótce staniemy się mężem i żoną, więc to chyba nieważne.

- Nieważne - zgodziła się Cordelia. Edelston był tak szaleńczo zakochany, że nie dostrzegł jej ironii. - Ale co wy będziecie robić, kiedy już się pobierzecie?

- Hm, cóż... - zastanowił się i urwał. O tym dotąd nie myślał. W jego myślach pojawił się niewyraźny obraz Rebeki haftującej poduszki w salonie jego wiejskiej posiadłości, do której wracał po wizytach w Londynie. - Po prostu będziemy szczęśliwi, to oczywiste.

- Ach, oczywiście. I małżeństwo pozwoli ci zakończyć naszą... finansową umowę? - podsunęła mu to określenie.

- Och, tak. - Edelston poczerwieniał. - Cordelio, żałuję, że konieczność mnie zmusiła do... korzystania z twojej szczodrości...

Cordelia, słysząc jego słowa, wysoko uniosła jedną brew, a wargi wykrzywił sceptyczny uśmiezek, lecz kiwnęła głową, zachęcając Edelstona, by mówił dalej.

- .. z zadowoleniem stwierdzam, że nie muszę więcej tego robić. Sir Henry Tremaine okazał się doprawdy bardzo hojny, jeśli chodzi o kontrakt ślubny.

- Wszystko zostanie ci wybaczone i zapomniane...

Choć Edelston przez jakiś czas bezczelnie ją szantażował, Cordelia nie kłamała, mówiąc o wybaczeniu. Rozumiała zuchwałość, która go do tego pchnęła. Tony skorzystał z okazji. Chcąc dać sobie radę w życiu, tak właśnie trzeba postępować. Jeżeli Cordelia miała w ogóle jakąś życiową dewizę, to właśnie tę. Co prawda cały ten epizod złościł ją i czuła do Tony'ego niechęć, lecz obecnie, gdy sprawa zbliżała się ku końcowi, uznała gniew za zbędną stratę energii. W sumie teraz Edelston ją bawił.

- ...gdy tylko zwrócisz mi medalion - dodała, muskając dłonią w rękawiczce jego biodra.

- Przyznam, że brakowało mi ciebie Tony... - szepnęła.

- Ehm... - Edelston poczerwieniał, ku jej rozbawieniu, lecz zdołał się opanować i sięgnął w zanadrze.

Kieszeń była pusta.

Przeszukał dokładnie wszystkie jej zakamarki. Bez skutku.

- Był tutaj, przysięgam ci. Nigdy go nie wyjmowałem! Musi gdzieś się znajdować! - mamrotał desperacko.

Cordelia zeszywniała, a potem zmierzyła go długim, groźnym spojrzeniem. Edelston już wielokrotnie czuł na sobie ten pozornie pozbawiony wszelkiego wyrazu wzrok i zawsze przejmował go wówczas strach, którego przyczyn sam nie potrafił w pełni zrozumieć. Wyglądała wtedy na bezduszną, zdolną do wszystkiego osobę.

Pospiesznie obszukał pozostałe schowki, obejrzał nawet ziemię wokół ławki, choć wiedział, że to bez sensu, bo przez cały czas medalion był schowany w tym samym miejscu. Wreszcie zrezygnował i z niedowierzaniem zacisnął powieki. Klejnot zniknął jak kamfora.

Słyszac odgłos kroków, oboje jednocześnie podnieśli głowy i zwrócili je w tym samym kierunku. Zbliżał się kamerdyner Gilroy, zaczerwieniony i wytrącony z równowagi niemal w równym stopniu, jak Edelston.

- Przepraszam jaśnie państwa. Lordzie Edelston, czy nie widział pan dzisiaj panny Rebeki?

- Nie, Gilroy. Myślałem, że przebiera się do obiadu.
- Powinna była tak właśnie robić... ale...
- Co się stało, Gilroy? - spytał Edelston głosem drżącym z przerażenia.
- Nie ma jej nigdzie, milordzie, a sir Henry chce się natychmiast z panem widzieć w tej sprawie - wyznał zaniepokojony sługa.

Edelstonowi zaszumiało w uszach. Nie był w stanie podnieść się z ławki.

- Chodźmy tam, Tony, i spróbujmy zrozumieć, co się właściwie stało - szepnęła słodko Cordelia, biorąc go pod ramię i niemal siłą zmuszając do wstania. Oboje ruszyli za kamerdynerem ku domowi.

Droga, która wiodła przez ojcowskie posiadłości, z wysokości końskiego grzbietu zawsze wydawała się Rebecce porządnym traktem. Teraz siedziała w wozie, który kołysał się i podskakiwał na każdym wyboju z sadystyczną wręcz precyzją. Rebeka pomyślała, że kiedy dotrą do wioski, zostanie z niej tylko galareta. Szczękała zębami, które stuknęły niczym kości do gry. Nie potrzebowała też uprzedzeń Connora, żeby wstrzymać oddech, ponieważ sądząc po intensywnej woni, szybko stwierdziła, że wozem musiano chyba przewozić przedtem padłe bydło albo zgniłą rzepę.

Mogła się zorientować w upływie czasu tylko dzięki coraz większemu gorącu, bo słońce niemilosiernie prażyło tkaninę, którą była okryta. Wreszcie po wielu, jak jej się wydawało, godzinach jazdy Connor zatrzymał siwka. Wóz zaskrzypiał i się zakołysał. Zachręściły kroki Connora.

- Rebeko, jesteś tam?

- A niby kto ma być, może Wellington? - spytała spod uchylonego płótna, patrząc ze złością na jego lśniące w uśmiechu białe zęby.

- Wytrzęsło cię trochę, prawda? Gdybyś siedziała na wierzchu, byłoby ci lepiej, ale skoro uciekasz, pomyślałem, że mądrzej będzie przewieźć cię jako ładunek ubezpieczony. Nie umiała się na niego gniewać. Odwzajemniła uśmiech.

- Gdzie jesteśmy?

- Chodź! - odparł i wyciągnął do niej rękę.

Chwyciła jego dłoń. Była ciepła i szorstka, porośnięta czarnymi włosami na przegubie. Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że nie trzymała go za rękę, odkąd zdejmował ją z jabłoni. Było to dziwne wrażenie, które zapragnęła przeanalizować, lecz w tym momencie Connor podciągnął ją mocno w górę i po chwili stała na ziemi za wozem. Wszystko ją bolało, nie mogła się wyprostować.

Naprzeciwno, w drzwiach wiejskiego domku, czystego, ale podniszczonego, stała kobieta. Przyglądała dłonią ciemne włosy zaczesane do tyłu i związane w długi pęk, który opadał jej na ramiona, a potem wytarła ręce w fartuch.

- Odrywasz mnie od najgorszej roboty, Connorze Riordan

- zbesztala go żartem.

- Zawsze przybywam w samą porę, Janet. To moja dobra znajoma, o której ci wspominałem - zwrócił się do Rebeki. - Rebeko, poznaj panią Janet Gilhooly.

Kobiety patrzyły na siebie badawczo. Janet miała jasną cerę, duże, ciemne oczy pod prostymi, gęstymi brwiami i szerokie usta, wokół których zaznaczały się już bruzdy. Bardzo przystojna, miała- zdaniem Rebeki - około trzydziestu lat. Ubrana była w suknię czystą, ale mocno spłowiałą.

- Niepodobne do ciebie, żebyś uciekał z brzydką dziewczyną - odezwała się wreszcie, a Connor parsknął śmiechem. Janet z miejsca go uciszyła. - Wchodźcie zaraz oboje, nie ma

chwili do stracenia. Pewnie mógłbyś wynająć karetkę pocztową do St. Eccles, ale lepiej poczekajcie, póki słońce nie zajdzie. Musicie się przebrać. -I zamaszystym gestem zaprosiła ich do środka.

Rebeka w obecności Janet poczuła się nagle onieśmielona i niedojrzała. Skąd właściwie oni się znali?

- Najpierw ty, Connor - orzekła Janet, wskazując na fałdzistą kotarę zwisającą tuż za stołem. - Idź do mojej sypialni, a ja nastawię wodę.

Rebeka stała niepewnie pośrodku izby ze spojrzeniem utkwionym w plecy Janet, która zdejmowała z półki kubki i salaterki.

- Siądź sobie. - Janet podsunęła jej krzesło.

Rebeka przyjęła to z wdzięcznością i zrobiła, co jej kazano.

- A teraz, dziewczyno - ciągnęła życzliwie i rzeczowo Janet - nie zamartwiaj się. Cieszę się, że mogę ci pomóc. Zmarnowałam całą młodość z gburem, bo moja rodzina uważała, że powinnam wyjść za niego, ale nigdy nie przestałam tego żałować. Byliśmy małżeństwem przez dziesięć lat. Potem stratował go muł, pijanego w sztok, i odtąd jest mi lżej. Nie mieliśmy dzieci, ale dom jest teraz mój, także muł, kury i ten splachetek ziemi. Nie jestem już od nikogo zależna. Ale samotne kobiety mają ciężkie życie, panno Rebeko, i rzadko kiedy mogę odetchnąć od roboty, ale wolność jest warta tej ceny.

I jakby chcąc to zademonstrować, Janet rozłożyła z uśmiechem ręce, gruzłowate, czerwone i pokryte bliznami, z paznokciami obciętymi tuż przy skórze. Wydawały się o dwadzieścia lat starsze od jej twarzy.

Rebeka zaniemówiła, oszołomiona jej otwartością i szczerością, jakiej dotąd doświadczała tylko ze strony Connora Riordana. Patrzyła z mieszaniną zazdrości i odrazy na ręce, które umiały uprawiać ziemię, piec, szyć i dźwigać ciężary. Nietrudno było się domyślić, że życie Janet było zarazem ciężkie, fascynujące i bardzo mało podobne do wszystkiego, co Rebeka dotąd знаła. Nagle zapagnęła poznać je do głębi, a jej zmęczenie gdzieś wyparowało.

- Edelston goził, że mnie będzie bić, i to często, ale też pisał wiersze na moją cześć. A poza tym jest baronem - zaczęła niepewnie. Nie wiadomo dlaczego, chciała, żeby ta kobieta ją rozgrzeszyła. Chciała także wiedzieć, co Janet myśli o złym małżeństwie i o wygodnym życiu pędzonym przez kogoś, kto wątpi w jego wartość.

- Złota klatka to też więzienie - prychnęła Janet, przeświadczona o bezwartościowości Edelstona. - Kiedy się ma szczęście, można w małżeństwie znaleźć miłość, ale chłopu rzadko na niej zależy, pojmujesz? Skoro może robić, co mu się podoba, to niby czemu miałby kochać żonę? Byle tylko mógł rznąć w karty, uganiać się za dziwkami i dogadzać sobie z nimi. Zona to dla niego pieniądze na pijaństwo i dziwki. - Janet przerwała, spojrzała na Rebeke, i z uśmiechem zadowolenia stwierdziła, że dziewczyna się nie czerwieni.

- Wiem, o co chodzi - potwierdziła Rebeka.

- Ale słyszałam, że jest coś takiego jak miłość, panienko, a kiedy Bóg zechce, to może na nią trafisz i nie będzie cię to zbyt drogo kosztowało.

Rebeka skinęła głową. Pomyślała o rodzicach. Nie było tam wiele uczucia, raczej wyrozumiałość i rozsądek. Czowała jednak, że jej przeznaczeniem jest coś innego, choć nie potrafiłaby tego dokładnie określić.

- A gdzie właściwie Connor cię zabiera? - spytała Janet.

- Ja... ja jeszcze nie wiem. Nie chciał mi powiedzieć.

W oczach Janet błysnęła troska. Rebeka oblała się rumieńcem, bo własna odpowiedź wydała się jej rozpaczliwie naiwna. A jeszcze kilka dni temu słowa „gdzieś daleko stąd” całkiem by jej wystarczyły.

- Connor to porządny chłop, ale żadnemu nie można aż tak ufać.

- Jak tam, nakłaniasz Rebeke do buntu? - spytał Connor, wynurzając się zza kotary.

Obydwie wytrzeszczyły na niego oczy. Zniknęły podwinięte rękawy, zdarte obuwie, ubiór stajennego. Zamiast nich nosił teraz dopasowane jasne spodnie, spod rozpiętego surduta z pięknej brązowej wełny wyglądała kamizelka w złote i kremowe paski, a na nogach miał nowe, wyczyszczone do połysku buty. Bielutki jedwabny halsztuk, związany w tradycyjny węzeł, zdobił szyję. W jednej ręce trzymał parę brązowych, giemzowych rękawiczek, a w drugiej - cylinder.

- Wyglądasz jak lord! - parsknęła Janet, ale w jej oczach widniał szczery podziw.

- Dziękuję ci, że mnie zaopatrzyłaś w ten strój. - W głosie Connora brzmiała serdeczność.

- Przecież kupiłam go za twoje pieniądze, a nie na kredyt - odparła.

Connor się roześmiał.

Rebeke wręcz onieśmieliła przemiana Connora. Prezentował się w wytwornym odzieniu tak naturalnie, jak Maharadża w swojej skórze, a jego smukła, elegancko ubrana postać wyglądała po królewsku, gdy tak stał z kapeluszem w ręku. Złote paski na kamizelce podkreślały złote punkciki w jego oczach, a miękkie fałdy halsztuka uwydatniały rys podbródka i kości policzkowych. Trochę ja to zaniepokoiło, bo nowy strój miał odwracać od niego uwagę, a tymczasem w jakiś dziwny sposób wywoływał efekt wprost przeciwny.

- Od tej chwili jestem Jonathanem Hazeltonem, akwizytorem, a ty będziesz moim bardzo posłusznym siostrzeńcem imieniem Ned. Myślę, że pasuje do ciebie.

- Mam się przebrać za chłopca? - spytała z zaciekawieniem. Connor wiedział, że to się jej spodoba.

- Tak, póki będziemy jechać karetką, musisz być chłopcem. Bądź teraz grzeczną dziewczynką i pójdz z Janet do sypialni, żeby się przebrać.

W kilka minut Janet ściągnęła z niej suknię, a potem pomogła włożyć parę jasnych spodni (trochę za dużych, co jednak pomogło zakryć bardzo kobiecą krągłość bioder) i luźną białą koszulę. Janet aż stęknęła na widok jej piersi, lecz uspokoiła się natychmiast, gdy tylko Rebeka narzuciła na ramiona obszerny płaszcz, który wystarczająco ukrył jej dziewczęce kształty.

- A teraz trzeba coś zrobić z twoimi włosami - mruknęła Janet. - Connor, przynieś mój koszyczek do robót!

Connor - a raczej pan Hazelton - pojawił się po chwili, posłusznie niosąc w ręku żądany przedmiot.

Janet wyjęła nożyczki, którymi zamierzała ściąć Rebece włosy. I Connor, i Rebeka jęknęli rozpaczliwie. Janet cisnęła nożyczki na podłogę.

- Och, do licha z wami! Przecież ona nie może stąd wyjść w takim stanie! Ma za dużo włosów, żeby dało je się upchać pod czapkę. Wysunęłyby stamtąd przy lada kichnięciu!

- Bardzo trzeba je skrócić? - spytała dzielnie Rebeka.

- Jakies dziesięć centymetrów - uznała Janet. - Reszta zmieści się pod czapkę, ot tak, a końce trzeba spiąć i wsadzić za kołnierz koszuli. Może nikt nie będzie się im przypatrywał z bliska.

Rebeka dzielnie skinęła głową i zamknęła oczy. Nożyczki szczęknęły kilkakrotnie i złotorude kosmyki spadły do jej stóp. Janet zmiotła je do kąta, a potem zręcznie wcisnęła włosy Rebeki pod czapkę.

- Wystarczy. Napijmy się herbaty, a potem ruszajcie w drogę. Uroczyście wyprowadziła Reбекę z sypialni. Connor zatrzymał się na chwilę. Gdy upewnił się, że Janet i Rebeka są już w kuchni, sięgnął po jeden z miedzianych kosmyków i wsunął go do kieszeni surduta.

- Dziękuję za herbatę, Janet, ale myślę, że czas nam w drogę - powiedział, kiedy dołączył do nich.

Janet nie odpowiedziała. Siedziała bez słowa, patrząc mu prosto w twarz ze smutnym uśmiechem. Przez moment ich oczy się spotkały. Potem Connor odwrócił wzrok.

- Chodźmy - odezwał się, prowadząc Reбекę ku drzwiom. - Jesteś teraz chłopakiem, Ned. Nie będę pomagał takiemu dużemu chłopcu przy wsiadaniu na wóz.

Rebeka spojrzała na niego z pogardą, chcąc zaznaczyć w ten sposób, że to dla niej fraszka, i opuściła, choć niezbyt chętnie, ciepłą kuchnię Janet. Connor i Janet ruszyli za nią.

- Do widzenia, panno Rebeko, życzę szczęścia - powiedziała Janet.

- I ja go pani życzę. Nie potrafię dostatecznie podziękować za pomoc i zachętę, ale nigdy o pani nie zapomnę. - Rebeka poczuła, że oczy ją podejrzanie pieką.

- A cóż to takiego? Chłopcy nie płaczą! - upomniała ją Janet. - Jazda na wóz! - Uścisnęła ją szybko, ucałowała w policzek i klepnęła trochę zuchwale w pośladek.

Rebeka wspięła się na wóz, zachwycona swobodą ruchów, jaką dawały spodnie. Nic dziwnego, że mężczyźni zachowują się tak, jakby świat do nich należał!

Odwróciła się, żeby spojrzeć na Connora. Ku swemu zdumieniu zobaczyła, że wziął Janet za ręce i ucałował ją. Pocałunek trwał długo i był najwyraźniej bardzo serdeczny. Janet zaś na moment ujęła twarz Connora w obie dłonie. A potem, gdy odchodził, opuściła je.

Sir Henry z istic wojskową energią zgromadził w salonie służbę, Lorelei i lady Tremaine. Pierwszym wrażeniem Edelstona był widok szeregu twarzy pobladłych w przeczuciu tragedii. Jakiś ruch zwrócił jego uwagę. To lady Tremaine kurczowo miętosiła w pulchnych dłoniach chustkę do nosa.

- Ach, milordzie - odezwał się do niego sir Henry - proszę usiąść. Musimy porozmawiać... - Urwał, gdy zauważył, że za Edelstonem stoi Cordelia. Spoglądał na nią przez dłuższą chwilę, zanim udało mu się przybrać wyraz twarzy mający oznaczać życzliwe powitanie.

- Ach, Wasza Wysokość, jaki to dla mnie zaszczyt, a także przyjemność! Na pewno jest pani zmęczona po podróży. Molly wskaże pani pokój i zatroszczy się o wszystko. Drobna, ciemnowłosa dziewczyna, słysząc swoje imię, wysunęła się szybko z kąta i - nie bardzo wiedząc, co robić - dygnęła. Reszta służby zaczęła się na wyścigi chylić w ukłonach, choć nikt nie wiedział dokładnie, jak należy zachowywać się w obecności księżnej, bo jeszcze nigdy żadnej nie widzieli.

- Och, bardzo dziękuję, sir Henry, ale wcale nie jestem znużona - odparła Cordelia, nawet nie myśląc ruszyć się z miejsca.

Sir Henry w milczeniu patrzył na stojącą przed nim piękną kobietę. Z jednej strony miał szczerą chęć huknąć: „Precz stąd!”, lecz z drugiej trzeźwy pragmatyzm i dobre wychowanie podpowiadały mu, że gdzie są księżne, tam mogą również być księżęta i różne inne utytułowane osoby, a wśród nich na przykład ten, za kogo pragnęłyby wydać

Lorelei. Zerknął na swoją żonę. Błagalne spojrzenie lady Tremaine niełatwo było mu zrozumieć. Czy miało ono znaczyć „na litość boską, ułagodź księżnę” czy też „pozbaądź się jej jak najprędzej, przecież musimy się zająć tą fatalną sprawą”?

Tymczasem nerwy Edelstona były tak napięte, że lada chwila mogły go zawieść, jeśli paląca kwestia nie zostanie bezzwłocznie rozstrzygnięta. Był całkiem pewien, że Cordelia łatwo pokona sir Henry'ego swoim uporem, choćby miała w nim trwać przez cały wieczór. Musiał temu zapobiec. Chrząknął dość głośno. Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu.

- Księżna jest dla mnie wielką przyjaciółką, troszczy się więc niezmiernie o moje szczęście. Ręczę za jej dyskrecję.

Problem, co począć z księżną, rozwiązał się więc sam. Sir Henry poniechał formalnego przedstawiania jej wszystkich zgromadzonych i natychmiast przeszedł do sedna sprawy.

- Chcę, żeby każdy mi powiedział, kiedy po raz ostatni widział Reбекę. Nie pojawiła się na śniadaniu i nie było jej we własnym pokoju, kiedy Lorelei tam zajrzała. Co więcej, wiadomo już, że jej klacz jest w stajni, że nie ma mojej córki ani na jabłoni, ani w domu, ani nie poszła na spacer. Myślę, że Letty ma nam coś do powiedzenia.

- Mam bardzo lekki sen, sir - zaczęła Letty z wahaniem.

- I chrapiesz jak borsuk - mruknął ogrodnik Tom.

- Czy obudziłaś się, gdy Rebeka wychodziła z domu? - spytał niecierpliwie sir Henry.

- Tak... tak, sir. Myślałam, że wybiera się na konną przejażdżkę, ale potem zobaczyłam, że... zniknęły także niektóre z jej rzeczy. To znaczy ubania.

Sir Henry zacisnął wargi.

- Gilroy?

- Dzisiaj nie widziałem panny Rebeki, natomiast wczoraj dwukrotnie. Kiedy pan i lord Edelston poszli do cieplarni, zabrałem z biblioteki puste kieliszki po brandy. Panna Rebeka była tam, kiedy wszedłem. Wyszła stamtąd raczej pospiesznie, co wydało mi się trochę dziwne, bo przedtem lubiła ze mną zamienić słówko. A później widziałem ją, kiedy podawałem do stołu.

Przy tych słowach Edelstonowi ponownie zaszumiało w uszach, i to tak głośno, że widział tylko, jak sir Henry porusza ustami, a Gilroy robi to samo w odpowiedzi, lecz patrzył na nich jakby zza szklanej szyby. Cieplarnia. Biblioteka. Wczoraj. Oczywiście! Wczoraj sir Henry zabrał go do ogrodu, nim Gilroy zdążył wziąć jego płaszcz. Sir Henry poczęstował go w bibliotece brandy, wtedy też ostatecznie omówili szczegóły kontraktu ślubnego, a on, w swobodnym nastroju po paru kieliszkach, przewiesił okrycie przez poręcz fotela i obaj poszli do cieplarni zobaczyć te przeklęte róże. Tremaine'owie byli po prostu zwariowani na ich punkcie.

Stało się jasne, że przyszła żona okradła go, kiedy podziwiał kwiaty razem z sir Henrym. Edelston poczuł się tak, jakby go przebito widłami.

Cordelia obserwowała zzieleniałą twarz Edelstona z powagą i z rezygnacją.

- Proszę mi powiedzieć, sir Henry - spytała nagle - czy panna Rebeka ma jakieś własne pieniądze?

Sir Henry przeniósł wzrok z Edelstona na Cordelię, ich twarze miały wyraz dość wymowny. Uniósł dłoń do góry, co było milczącą wskazówką dla Cordelii, żeby się wstrzymała od uwag.

- Dziękuję, możecie odejść - zwrócił się do służby. - Jeśli po najbliższych kilku dniach dowiem się, że ktoś z was pisnął komuś choć słowo z tego, co tu słyszeliście, wyrzucę was wszystkich bez żadnych referencji.

Sir Henry, o czym słudzy wiedzieli, skądinąd uczciwy i życzliwy, nie rzucał słów na wiatr. Zaczęli wychodzić z salonu, milczący i wystraszeni. Molly powtórnie złożyła ukłon księżnej Dunbrooke, a za nią reszta służby.

- Zostańcie jeszcze chwilę! - warknął sir Henry. Służący zamarli w pół kroku. - Gdzie jest Jenkins? Nie, nie ty - stęknął, gdy Tom Jenkins, ogrodnik, wystąpił naprzód. - Miałem na myśli Riordana, stajennego. Chciałem go także spytać o Rebekę, jak mi się zdaje, bo spędzała z nim sporo czasu w stajni.

Tom Jenkins odchrząknął, po czym odpowiedział.

- Riordan pojechał z rana do South Greeley, żeby zobaczyć tę arabską klacz i kupić obrok dla koni. Wróci za tydzień.

- A tak, oczywiście. - Twarz sir Henry'ego nieco się rozjaśniła. - Śliczna mała klaczka. Zaczny chłopak z tego Riordana.

Służący nadal stali bez ruchu, wpatrując się w swego pana. Spostrzegłszy to, zmarszczył brwi.

- Dziękuję wam. Możecie odejść.

Służba, cała w ukłonach, opuściła wreszcie salon ku wielkiej uldze pani Hackette, gospodyni, której niełatwo przychodziło zginać nogi w kolanach.

- Przepraszam, że przerwałem, Wasza Wysokość. Czy możemy wrócić do pani pytania? - zwrócił się do Cordelii sir Henry.

- Ciekawa byłam, czy panna Rebeka ma własne pieniądze, za które mogłaby wynająć powóz albo mieszkanie.

- Jednego funta - rzuciła Lorelei.

Sir Henry spojrział na nią przeciągle i westchnął boleśnie.

- Czemu jej dałaś tego funta?

- Po prostu... dałam i już. Wygrałam za... zakład z Susannah Carson - wyjąkała Lorelei, czując, że popełniła fatalną niedyskrecję.

Lady Tremaine zaczęła łkać bezgłośnie.

Cordelia przyjrzała się Lorelei (śliczna dziewczyna, choć nie bez pewnych braków) z zaciekawieniem. Doprawdy, córeczki państwa Tremaine'ow wydawały się dość interesujące.

Sir Henry głęboko zaczerpnął powietrza.

- Nie powinnaś się była zakładać, Lorelei, ale teraz nie będziemy tego roztrząsać.

Wygląda na to, że twoja siostra uciekła z domu.

Skoro zaś pomagałaś jej w tym, dając pieniądze, to czy wiadomo ci coś o jej zamiarach lub o tym, gdzie zamierzała się udać?

- Nie, papo, daję ci słowo, nie miałam pojęcia! - wybuchnęła Lorelei. - Wiem tylko, że nie uciekłyby, gdyby nie on!

I delikatnym białym paluszkiem wskazała prosto na wstrząśniętego Edelstona. Lorelei, która zawsze tak się starała nie robić min, żeby nie mieć zmarszczek, spoglądała teraz na niego z grymasem przypominającym gotycki maskaron.

- Po co jednak dawałaś jej funta, skoro nie wiedziałaś, że chce uciec? - Sir Henry był niemal rozbawiony, chociaż miał pewność, że za chwilę Lorelei wyrzuci z siebie ze szlochem jakieś wyznanie.

- Rebeka powiedziała tylko, że nie chce za niego wyjść, a ja zrozumiałam, co ma na myśli, więc dałam jej pieniądze. Nie mówiła nic więcej. Nie musiała. Przecież jesteśmy siostrami! - Lorelei spojrzała na ojca z wyzwaniem w oczach.

Skonfundowany sir Henry patrzył na nią tak, jakby nagle zerwała z twarzy maskę i objawiła oblicze Napoleona Bonaparte. Cordelia odniosła wrażenie, że jest świadkiem pierwszego buntu Lorelei.

Ustał na moment cichy płacz, zaszeleściła chusteczka i odezwała się lady Tremaine.

- Wasza Wysokość, lordzie Edelston, proszę nam wybaczyć. Lorelei jest nieco wytrącona z równowagi. Za kilka dni mieliśmy wyjechać do Londynu na jej pierwszy sezon.

Niewątpliwie przyzna pani, księżno, że to ważne wydarzenie w życiu młodej damy.

Cordelia nie mogła tego potwierdzić, gdyż w dość niekonwencjonalny sposób zdołała zostać księżną, lecz uśmiechnęła się współczująco. W pełni jednak pojęła znaczenie kryjące się za słowem „ważne”. Twarz Lorelei bez wątpienia stanowiła jej majątek i szkoda było marnować taką urodę dla kogoś niemającego w żyłach krwi błękitnej. A wartość Lorelei na matrymonialnym targowisku mogła mocno zmaleć, gdyby się rozeszła wieść, że jej siostra zapodziała się gdzieś na wsi jak prosta Cyganka. Dobrze wychowane młode dziewczęta na ogół nie robią takich rzeczy. Tremaine'owie na pewno nie chcieliby, aby w salonach dobrego towarzystwa zaczęto się sceptycznie zapatrywać na ich zdolność do należytego ułożenia córek jako przyszłych żon utytułowanych dżentelmenów.

- Lordzie Edelston - ciągnęła lady Tremaine - jestem pewna, że Rebeka jest przejściowo ofiarą kryzysu nerwowego i wkrótce wróci, gotowa do małżeństwa. Rozumiem, że uzna ją pan teraz za osobę zdolną do gwałtownych porywów. W tym jednak cały jej wdzięk! Wiem też, że bardzo się do pana przywiązała.

Uśmiechnęła się do niego, jakby zachęcając Edelstona, by przyznał jej rację, lecz on zdobył się tylko na słaby uśmieszek.

Sir Henry spojrzał na żonę z wdzięcznością.

Cordelia przyglądała się bystro, lecz dyskretnie twarzom obecnych, mając w myślach tylko jeden cel: odzyskanie medalionu bez wzbudzania zbytej uwagi. Miała pewność, że właściwie zinterpretowała minę Edelstona: narzeczoną, która miała mu przynieść fortunę, okradła go. Nie mogło być przypadkiem, że medalion zniknął jednocześnie z Rebeką Tremaine. Panna Rebeka mogła się rozpląnąć w niebycie - Cordelii zależało jedynie na tym, by odzyskać medalion i by nie wpadł on w niepowołane ręce. Wtedy byłaby skończona.

Bez trudu rozszyfrowała mieszane uczucia Edelstona. Teraz stał się już dla niej bezużyteczny. Odezwała się ponownie:

- Skoro dotąd mimo dokładnych poszukiwań nie odnaleziono panny Rebeki, a jej koń wciąż znajduje się w stajni, musimy się dowiedzieć, czy ktoś nie pomógł jej w ucieczce. Czy ten Connor Riordan od dawna u państwa służy?

- Mój stajenny?! - zdumiał się sir Henry.

- Tak, ten, który pojechał rano do South Greeley. Wygląda na to, że prócz niej tylko on się stąd oddalił.

- Nigdy! - wybuchnął sir Henry. - To porządny, honorowy irlandzki chłopak! Najlepszy stajenny, jakiego kiedykolwiek miałem! Świetnie się obchodzi z końmi i zaprzyjaźnił się z Rebeką. Już bardziej prawdopodobne, że moja nieznośna córka ukradkiem schowała się w jego wozie!

Na myśl o tym lady Tremaine zbladła, jak chusteczka, którą nerwowo ścisnęła w dłoniach. Cordelia pospiesznie podeszła do niej i ujęła ją za rękę.

- Niech państwo się nie zamartwiają. Służę pewnymi... kontaktami, które pomogą szybko i dyskretnie odnaleźć pannę Rebekę. Wszyscy rozumiemy, że musi pani towarzyszyć mężowi i Lorelei w Londynie. Lord Edelston i ja poczytamy sobie za zaszczyt, jeżeli pozostawicie nam troskę o swoją córkę. Niebawem spotkamy się wszyscy w Londynie, a lord Edelston odzyska narzeczoną. Mam absolutną pewność, że załatwię Lorelei wstęp do Almacka.

- Och, Wasza Wysokość - jęknęła zdumiona lady Tremaine - to zbytek uprzejmości! Co za wielkoduszność!

- Ależ skąd! Rebeka jest po prostu młoda. Znajdziemy ją, jak również znakomitą partię dla Lorelei.

Twarz Lorelei złagodniała. Cordelia mogła niemal słyszeć w wyobraźni, co dziewczyna myśli: „Almack! To nadzwyczajne!”

- Czy ma się pani gdzie zatrzymać w Londynie? - spytała Cordelia.

- Kuzynka mego męża, lady Kirkham, posiada rezydencję przy Grosvenor Square. Jest już wiekowa, wycofała się na wieś i pozwala nam korzystać ze swego domu. Sir Henry odziedziczył go, rzecz jasna, po jej śmierci.

Jeśli lady Tremaine chciała w ten sposób okazać godność, wypadło to mizernie. Cordelii jednak szczerze ulżyło, gdy zrozumiała, że nie będzie musiała udzielać gościny Tremaine'om.

- Znakomicie, Grosvenor Square to bardzo dobry adres. Czy może mnie ktoś odprowadzić do pokoju? Chciałabym wypocząć przed obiadem.

Zadzwoniono więc na Molly. Gdy wszyscy już stanęli na progu, Cordelia zwróciła się do małej służącej:

- Poproś tu mego sługę, Hutchinsa. Natychmiast!

I weszła do środka, zamykając drzwi przed wystraszoną Molly.

6

Karetką pocztową, wypełnioną podróżnymi i przesyłkami ruszała właśnie z dziedzińca przed małym zajazdem w St. Eccles, gdy Connor wjechał tam swoim wozem. Rebeka chwyciła kurczowo czapkę, bo podmuch spowodowany przez mijającą ich karetkę omal nie zerwał jej nakrycia głowy.

- Cóż, jechaliśmy zbyt wolno, Ned - zawołał do niej Connor, przekrzykując tętent koni. - Albo raczej tamci odjechali za szybko!

Zatrzymał siwka i uważnie zlustrował spojrzeniem dziedziniec. Jedna karetką już im uciekła, a według rozkładu jazdy, w który zaopatrzył się tydzień temu, następnej można się było spodziewać dopiero za godzinę.

- O Boże! Connor, spójrz! - Rebeka skuliła się, wciskając głowę w ramiona.

Katie Denslowe, siostra Robbiego, szła pospiesznie przez dziedziniec, a za nią troje małych dzieci, które co chwila wpadały na siebie z przenikliwym piskiem. Katie wyszła za męża i opuściła rodzinny dom kilka lat temu, teraz zaś najwyraźniej przyjechała z wizytą. Oznaczało to, że ktoś z Denslowe'ów - a wszyscy oni znali Rebekę od urodzenia - mógł się tu pojawić w każdej chwili, żeby zabrać Katie wraz z jej przychowkiem.

- Nie najlepiej wróży nam ten początek - mruknął Connor. Rzecz jasna, nie mogli dłużej zostać na dziedzińcu zajazdu. - A kiedy znów ci się zdarzy ujrzeć kogoś znajomego, to nie krzycz: „O Boże”, chyba że chcesz być z miejsca rozpoznana.

- W porządku - mruknęła pod nosem.

- Schyl głowę, Ned. Pamiętaj, jesteś nieśmiały!

Zsiedli z wozu i zdjęli z niego swoje bagaże, a Connor pilnie się rozglądał za innymi wehikułami. Nie mogli jechać wozem zaprzężonym w jednego konia do Szkocji, bo trwałoby to jakieś dziesięć dni. Trzeba go było zostawić w stajniach zajazdu.

- Za pozwoleniem, czy my się czasem nie znamy z Londynu?

Connor przyjrzał się uważnie pytającemu, przypominającemu wyglądem tłustą ropuchę. Szeroki uśmiech pozwalał dojrzeć, że na przodzie brakuje mu dwóch zębów, płaszcz miał zapięty na jeden jedyny guzik.

- Przykro mi, ale...

- Sharp jestem, Chester Sharp, panie, i mam dryndę do wynajęcia.

- Nazywam się Jonathan Hazelton. Ile kosztowałby kurs do Szkocji? - Connor uznał, że powinien zmierzać prosto do celu.

- Oj, aż do Szkocji nie mogę pana szanownego zabrać, bo to londyńska drynda, ale kawałek mogę podwieźć, jeśli masz pan gotówkę.

- Osiem szylingów za zabranie mnie i mojego bratanka do Sheep's Haven. - Connor wskazał na Rebeke.

Ukloniła się uprzejmie Sharpowi, spuszcżając oczy.

- Do Sheep's Haven? A czy prowadzi tam bity trakt?

- Owszem. - Connor zmierzył go wzrokiem. Chester Sharp spytał nagle, zaintrygowany:

- O co chodzi?

- Zabierze nas pan czy nie, Sharp?

- Pana i pańskiego... - Sharp przyjrzał się Rebecce - ...bratanka... - dodał tonem z jakiegoś powodu rozbawionym. - Hm... za dziesięć szylingów od łebka.

Dziesięć szylingów! Pieniądze od Melbersa jak na złość nie nadeszły. Taka suma nadszarpnęłaby poważnie finanse Connora.

- Jest jeszcze jeden chętny, panie, ale on wysiada w mieście, godzinę drogi stąd. A potem będziesz pan miał całą dryndę dla siebie. - Sharp wskazał na tęgiego mężczyznę stojącego koło kufra. - O, ten. To pan Grunwald. Nie powiem, żeby był gadułą.

Pan Grunwald wyglądał Connorowi raczej na żarłoka.

- Czy możemy ruszać zaraz?

- Chciałbym, żeby mi się najpierw drynda zapełniła.

- Pan Grunwald ją panu zapełni doskonale. Chester Sharp parsknął śmiechem.

- Oj, prawdę pan gadasz! Szczerą prawdę! Jeszcze jeden szyling i ubijemy interes. -

Pochylił się, żeby pomóc Grunwaldowi dźwignąć kufer.

Connor zwrócił się do Rebeki:

- Ned, jedziemy z panem Sharpem.

- Do Szkocji? - spytała potulnie, ale czuł, że Rebeka wprost umiera z ciekawości.

Zawahał się. Oczywiście, słyszała jego rozmowę z Sharpem. Cóż szkodziło wyjawić jej choć część prawdy?

- Tak. Ja... widzisz... mam tam ciotkę.

Rebeka zerknęła na Connora, a jej szarozielone oczy błysnęły spod chłopięcej czapki jak ślepek dzikiego zwierzątka, które wystawiło łebek z nory. Ale zaraz posłusznie spuściła

wzrok. Choć było to niedorzeczne, Connorowi zrobiło się przykro. Przedtem zawsze uważał przywilej patrzenia Rebecce prosto w oczy za coś, co mu się po prostu należy.

- Może być Szkocja.

Wydawała się tym ucieszona, zupełnie jakby dokonał jakiegoś niezwykłego czynu.

Poczuł się dziwnie wzruszony.

- To przygoda, Ned. A ty jesteś dzielnym chłopcem. Rebeka uśmiechnęła się, a potem wzruszyła ramionami, jakby to było oczywiste.

Tego wieczoru obiad u Tremaine'ow składał się z ryby, wołowiny, puddingu, wina i milczenia. Lorelei mechanicznie nakładała sobie jedzenie na talerz, sir Henry, choć w duchu pieniał się z wściekłości, nic nie mówił, lady Tremaine uśmiechała się nieszczerze, a Edelston, mimo że siedział naprzeciwko Lorelei i obok Cordelii, robił wrażenie osoby cierpiącej niewysłowione katusze. Cordelia i lady Tremaine robiły to, czego się po nich należało spodziewać, czyli podtrzymywały dość drętwą rozmowę. Skomplementowano powóz Cordelii i kandelabry lady Tremaine, jak również stroje, maniery oraz pudding. Jednakże, jakby wskutek milczącego porozumienia, nikt nie wypowiedział imienia Rebeki, jakby zostało wyklęte na zawsze.

Cordelia spotkała się w holu z Edelstonem jeszcze tego samego dnia, gdy wszyscy w domu Tremaine'ow udali się już na spoczynek. Zatrzymała się przed nim ze świecą w ręce.

- Ach, Tony, zdaje się, że mamy mały kłopot, prawda? Edelston skinął głową tak powoli, jakby bolała go szyja.

- Medalion ma Rebeka. Jestem zupełnie pewien.

- Domyśliłam się tego z twojej miny - odparła z kwaśnym uśmiechem. - Rozumiem teraz, w jaki sposób zdołałeś narobić tyle długów. Zresztą nieważne. Posłałam Hutchinsa z pewnymi instrukcjami do kilku znanych mi osób, które mają doświadczenie w... odnajdywaniu zagubionych rzeczy. Wiedzą, że zostaną solidnie wynagrodzone za odzyskanie medalionu, jeśli więc Rebeka, jak przypuszczam, jest w drodze do South Greeley lub zmierza na północ w wynajętym powozie, to ją znajdą.

- A co będzie z nią samą? - zaniepokoił się Edelston. - Cóż to za osoby?

- Och, ci ludzie są zbyt dobrze opłacani, by chcieli ją tknąć, ale ja wcale im nie powiedziałam, by szukali właśnie Rebeki. Po prostu zażądałam, żeby się dowiedzieli, w jakim kierunku pojechała. Lepiej daj sobie z nią spokój, Tony. Najwyraźniej nie zależy jej na małżeństwie z tobą. Znajdę ci jakąś nową dziedziczkę, znacznie zamożniejszą i bardziej lojalną, a Reбекę zostawimy własnemu losowi. Niewątpliwie rozłożyła już nogi przed stajennym swego ojca.

Z uśmiechem położyła mu dłoń na ramieniu. Tony zawsze lubił ryzykowne słone żarciki, zwłaszcza gdy opowiadała je Cordelia. Teraz jednak Edelston odsunął jej dłoń.

- Mylisz się - rzekł powoli. - Nie rozłożyła przed nim nóg, Cordelio. Ona nie jest do ciebie podobna.

Cordelia wymierzyła mu policzek tak mocny, że echo rozległo się w całym holu.

- Jestem księżną! - syknęła. - Zostałam nią dzięki wielu poświęceniom i długim staraniom, dużo trudniejszym od tych, których ty dokonałeś w twoim krótkim, nic niewartym życiu! Wytrwałam przez dwa lata w małżeństwie z rozwiązłym arystokratą i nie pozwolę, żeby ktokolwiek pozbawił mnie tego, co zdobyłam. Zrobię wszystko, by odzyskać medalion. Traktuj mnie z respektem, Tony! Jak śmiesz okazywać mi brak szacunku? Jak śmiesz?!

Edelston przez chwilę zakrywał twarz dłońmi, jakby nie chcąc widzieć jej gniewu, lecz potem opuścił je z głębokim westchnieniem.

- Wybacz mi, Cordelio. Jestem ostatnim osłem. Nie wiem, co mnie opętało. Zawsze byłaś mi życzliwa. Ze wszystkich sił będę starał się pomóc nam obojgu. Tylko że... wiem, wiem, ty uznasz to za komiczne i trudne do uwierzenia... ja się zakochałem.

Cordelia patrzyła na niego zaskoczona.

- Tak. Zakochałem się - powtórzył Edelston z rozpaczą.

- Ale dlaczego akurat w tej dziewczynie?

- Jeśli będziesz w Brighton, poczujesz zapach morza na długo przedtem, nim je zobaczysz. Wiatr ci przyniesie zapach. Wiesz o tym, prawda? - Wahał się, szukając właściwych słów. - To właśnie coś takiego. Rebeka jest jak ten zapach. Uświadomiła mi, że... byłem kimś mniej wartym, niż mogłem być. Ona jest po prostu sobą, i to tak bardzo, że zainspirowała mnie do stania się... kimś zupełnie innym. Wybacz, nie umiem wyrazić tego dokładniej.

Cordelii wystarczyło to wyznanie. Starannie ukryła, że nieoczekiwanie poczuła się głęboko zraniona. Nigdy nie mogła sobie pozwolić na luksus bycia po prostu sobą.

- W najbliższym czasie grozi ci więzienie za długi. Nie jest to chyba najważniejszy moment, by tak się wywnętrzać.

Rysy Edelstona zeszywniały. Spojrzał na Cordelię, a ona pojęła, że woli już jego gniew od żalostnej melancholii, jaka malowała się na jego twarzy przez cały wieczór.

- Nie kłóćmy się. - Znów położyła mu rękę na ramieniu. Tym razem nie strząsnął jej. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Pomyśl tylko: mamy przed sobą cały sezon. Parę piruetów w sali balowej, a zapomnisz o swoich kłopotach.

Edelston skinął głową, chociaż z pewnym niedowierzaniem.

- Może masz rację - odparł tonem bardzo poważnym - ale tak czy owak będę szukał Rebeki. Dobranoc, Cordelio. Zostawił ją stojącą nieruchomo pośrodku holu.

7

Za okienkiem powozu niskie, łagodne zielone wzgórza wtapiały się w tło błękitnego nieba. Rebeka, pouczona, że powinna odzywać się tylko wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne (co zmuszało Connora do milczenia), nie mogła oderwać oczu od wiejskiego pejzażu. Niespokojne myśli snuły się jej po głowie, odkąd opuściła domek Janet.

Siedzący naprzeciwko Connor zdawał się drzemać. Kapelusz zsunął mu się aż na oczy.

Pan Grunwald nie drzemał, tylko po prostu smacznie spał. Jego pulchne ciało spoczywało bezwładnie na siedzeniu, wilgotne wargi miał rozchylone, pochrapywał regularnie.

Rebeka pragnęła zapamiętać każdą chwilę tej podróży, lecz wkrótce błękit i zieleń za oknem zlały się w jej oczach w jedno, a chrapanie pana Grunwalda ścichło.

Gdy się zbudziła z głębokiego snu, w powozie panował mrok, a pana Grunwalda nie dostrzegła. Najwyraźniej przespiała cały postój! Connor ocknął się i patrzył na nią.

- Czy Janet była twoją kochanką? - spytała. Odkąd opuścili tamten dom, umierała wprost z ciekawości, by mu zadać to pytanie.

Connor zeszywniał.

- Dobry Boże, czy ty się nie potrafisz zbudzić jak każdy normalny człowiek? Ziewnąć, przeciągnąć się i przypomnieć sobie, gdzie właściwie jesteś?

- Pocałowałaś ją. Widziałam.

- Nie kryłem się z tym.

- Czemu nie odpowiadasz na moje pytanie?

- Czy ty naprawdę chciałabyś leczyć ludzi? Już prędzej byłby z ciebie adwokat!

Rebeka utkwiała w nim wzrok.

- Ja cię tylko spytałam. Przedtem nigdy nie bałeś się odpowiadać na moje pytania.

- Czego znów miałbym się bać? - Connor był wyraźnie zgorzony.

Rebeka nie spuszczała z niego wzroku. Connor ją znał. Wiedział, że nie ustąpi.

- A więc była - westchnął w końcu. - Ale bardziej przyjaciółką, rozumiesz? A musiałem ją opuścić.

Rebeka wpatrywała się w niego jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła głowę, żeby spojrzeć w nocne niebo. Kiedy Janet ujęła twarz Connora w obie dłonie, chciała krzyknąć: „On jest mój!” Jej zdaniem Connor należał do niej przez całe życie, prawie jak zabawka; nigdy jeszcze nie czuła, że musi dzielić się nim z kimś innym. Przychodziła do niego, kiedy tylko chciała, przynosiła mu kwiaty, kamyki, a raz nawet na Boże Narodzenie dała mu w prezencie chustkę z własnymi inicjałami (zapewne swoją najbardziej udaną ręczną robótkę). Dzieliła się z nim najbardziej nawet zdumiewającymi myślami, a on to przyjmował z rozsądkiem i humorem.

Nigdy jednak sobie nie wyobrażała, że Connor, w czasie gdy ona go nie odwiedza, ma jakieś prywatne życie.

Świat Rebeki ograniczał się do Tremaine House. Nieobce były jej arkana fizjologii poznawanej z naukowych pism ojca, a historię i politykę znała z gazet. Wpatrując się w ciemność za oknem, stwierdziła jednak z przygnębieniem, że mnóstwa rzeczy jeszcze nie wie i nie rozumie. Poczula się bardzo niedorośła, bardzo egoistyczna i źle przygotowana do przeżywania właśnie przygody.

- Przepraszam cię, Connor - powiedziała w końcu.

- Dlaczego? - spytał zmieszany, patrząc na jej twarz. Nawet w półmroku, jaki panował w powozie, mógł dostrzec, że maluje się na niej napięcie. Bawiło go nieraz zgadywanie, co w następnej chwili powie, lecz Rebeka prawie zawsze potrafiła go zaskoczyć.

- Pewnie musiałeś ją opuścić, żeby mi pomóc. Czy... czy ty ją kochasz? - Ostatnie słowa zostały wypowiedziane ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Jest mi bliska, ale to nie miłość w takim sensie, jak ty to sobie wyobrazasz. Jesteśmy dwojgiem dorosłych ludzi i wolno nam sobie pomagać. I tyle. Janet ma silny charakter. Nie będzie usychać z tęsknoty za mną.

Rebeka, wpatrzona w okno, w milczeniu dumiała nad jego słowami.

- Nie podziękowałam jej za pomoc - westchnęła w końcu. Twarz pod komiczną chłopięcą czapką miała ściągniętą. Wbiła wzrok we własne kolana.

Connor siadł koło niej i wziął ją pod brodę.

- Nie byłbym tutaj, gdybym sam nie chciał. Rzadko postępuję inaczej. Przysięgłem to sobie dawno temu. Rozumiesz, co mówię? - spytał i ujął ją za podbródek tak mocno, że musiała skinąć głową.

Zaśmiała się i odsunęła go energicznie. Chwycił jej dłoń, a potem, zaskoczony miękkością skóry, powoli i z niechęcią pozwolił jej ręce opaść. Rebeka uśmiechnęła się do niego, a gdy chmura na chwilę przesłoniła tarczę księżyca, na jej policzkach zaznaczyły się głębokie cienie.

Nie będzie zadowolona, kiedy ją zostawię, pomyślał sobie.

Nagłą ciszę przerwał strzał za oknem.

Powóz gwałtownie zahamował, konie zarżały i stanęły dęba. Obydwoje o mało nie spadli z siedzenia. Rebecce zabrakło tchu. Connor przytrzymał ją, żeby nie spadła na ziemię.

- To rozbójnicy. Nie ruszaj się. Ani słowa! - syknął.

Rebeka przytaknęła mu ruchem głowy. Connor rzucił kapelusz na siedzenie i sięgnął za cholewę. Rebeka oniemiała ze zdumienia, gdy wyciągnął stamtąd połyskujący pistolet.

Przyłożył palec do warg, odwracając się ku niej, a potem skulił się tuż przy drzwiczkach.

- Nic ci się nie stanie, jak zrobisz, co ci każemy - mówił jakiś głos do woźnicy. - Mamy interes do twoich podróży. Opuść ten muszkiet, chłopie. Chcemy ich obejrzyć.

Mężczyzna mówił donośnie, żeby pasażerowie też go mogli słyszeć.

- Wysiadać i łapy do góry. No już! - zażądał chrapliwie, bardzo pewnym siebie tonem.

Przez małe okienko Connor ledwie widział dwóch jeźdźców z twarzami aż po oczy przesłoniętymi czarnymi chustami. Każdy z nich trzymał w ręku pistolet. Oceniał, że odległość między powozem a pierwszym z opryszków wynosi niecałe dwa metry. Drugi trzymał się za nim, po lewej.

Connor słyszał przyspieszony oddech Rebeki. Białka jej oczu połyskiwały w ciemności, a ręce kurczowo trzymały brzeg siedzenia. Uśmiechała się z trudem. Wzruszyło go to.

Dzielna dziewczyna! Odwrócił się i uchylił drzwiczki, a potem, zakrywając pistolet rękawem, uniósł ręce ponad głowę. Palce wcisnął jednak między dach a górną krawędź drzwiczek. Potem pchnął je energicznie kolaniem.

Rabusie ujrzeli stojącego w drzwiach mężczyznę z podniesionymi rękami i ugiętymi kolanami.

- Szukamy jednego świecidełka, chłopie. Medalionu. Oddaj go, a pójdziemy sobie - przemówił ten z napastników, który stał bliżej z pistoletem wymierzonym prosto w pierś Connora. - A jak coś jeszcze masz, to też sobie weźmiemy. Wysiadaj raz dwa, bo inaczej kulka w łeb! Najpierw ty, a potem dziewczyna!

Connor jednym susem wyskoczył z powozu i błyskawicznie kopniakiem wytrącił mu pistolet z ręki. Koń zarżał przeraźliwie, strząsnął z siebie jeźdźca, a potem pogalopował przed siebie, znikając w mroku. Drugi opryszek, choć trudno mu było celować na niepokojnym wierzchowcu, strzelił z wściekłością do Connora, lecz on, przygotowany na to, wymierzył prosto w jego rękę z pistoletem. Nie trafił w dłoń - pistolet zza cholewy okazał się zawodny, dobrze, że w ogóle wypalił - lecz przeciwnik chwycił się rozpaczliwie za ramię, zachwiał i spadł na ziemię.

Koń, najwyraźniej wystraszony hałasem, przesadził jeźdźca, jednym skokiem i pognął w dal.

Zapadła cisza. Księżyc wychylił się zza chmur. Pierwszy z rabusiów zaczął się ruszać.

Connor odrzucił pistolet, z którego strzelał, a z drugiego buta wyciągnął następny. Potem przydeptał opryszkowi nadgarstek, zdarł czarną chustkę z jego twarzy i wycelował prosto w skroń.

- A teraz - odezwał się istic arystokratyczną angielszczyzną i lodowatym tonem - bądź łaskaw mi powiedzieć, kto was nasłał.

Dręczyło go bowiem, skąd złoczyńca znał płeć drugiej osoby w powozie. Może tylko był tak domyślny, lecz Connor nie bardzo w to wierzył. Rozbójnicy rzadko dokonywali napadów na głównych traktach, a to, że zaatakowali właśnie ich dwoje, wydawało mu się nieprzypadkowe. Wiedział, że sir Henry przynigdy nie wysłałby zbójców w ślad za córką, ale ktoś inny - owszem. Czyżby Edelston? I o jaki medalion chodziło?

- Nikt! Puść mnie, chłopie, a pójdę sobie precz i zapomnę, żeśmy się spotkali.
Connor jeszcze mocniej nadepnął mu na rękę. Mężczyzna jęknął.

- Słyszałem, że nadgarstki bardzo ładnie trzeszczą przy złamaniu - mruknął Connor. -
Czy mam się o tym przekonać osobiście?

- Nie, niee...

- W takim razie mów zaraz, kto to.

- Jej Wysokość - wychrypiał zbójca. - Nie wiem, jak ona się nazwa, choć już parę razy
coś dla niej robiliśmy, gadaliśmy tylko z jej posłańcem, Hutchinsem!

- Jej Wysokość?... - powtórzył Connor. Czyżby chodziło o jakąś księżnę? Co prawda
właścicielka Aksamitnej Rękawiczki, londyńskiego burdelu, też była znana jako Księżna.
Wysokie tytuły niekoniecznie musiały oznaczać wysoką pozycję.

- O co jej chodzi?

- O medalion. I chciała wiedzieć, dokąd jedzie dziewczyna. Dziewczyna? Connorowi
włosy zjeżyły się na karku.

- W takim razie Jej Wysokość dzisiejszej nocy się rozczaruje, bo nie mam ani medalionu,
ani dziewczyny. Dlaczego zatrzymaliście właśnie mój powóz?

- Ot tak, przypadkiem - stęknął opryszek. Connor jeszcze mocniej przydusił jego
nadgarstek. - Aj, aj! Powiem! Kazano nam robić tak z każdym, kto jedzie na północ!
Connor zmniejszył nacisk.

- Czy masz przy sobie jeszcze inną broń?

- Co takiego?... - Zmiana tematu najwyraźniej zbiła bandytę z tropu.

- Czy mam zedrzyć z ciebie łachy, żeby się upewnić? A może sam powiesz, gdzie jej
należy szukać?

- Za pasem - wystękał tamten.

Connor przytknął mu pistolet do ucha i rozchylił jego płaszcz. Znalazł pod nim długi nóż
i cisnął go na bok.

- Dziękuję. Teraz musisz mi zdradzić, gdzie mogę znaleźć Jej Wysokość.

- To ona nas znajdzie! To znaczy wysłała po nas Hutchinsa. Uch, londyńska swołocz! My
z Edgarem wolimy prowincję. Mniejsza tu konkurencja!

Edgar jęknął i zaczął się poruszać.

- Nie martw się pan, trzymam go na muszce - odezwał się Chester Sharp z kozła,
obserwując wypadki z żywym zaciekawieniem. Potem wymierzył z muszkietu w Edgara.

- Serdecznie panu dziękuję - rzekł z uznaniem Connor i zwrócił się do pierwszego
zbojcy: - Chyba mi się pan nie przedstawił, sir?

Leżący jęknął. Connor raz jeszcze przydeptał mu nadgarstek.

- Ajaj! - zawył zbójca. - Na imię mi John!

- Wracajcie obydwaj jak najszybciej do Londynu, chcę mieć pewność, że na tej drodze
już więcej się nie pojawicie. Najpierw jednak wezmę sobie to - podniósł nóż i pistolet - a
także broń twojego kamrata. - Podeszedł do leżącego na ziemi pistoletu Edgara, który
wracał właśnie do przytomności i próbował usiąść, wciąż przyciskając ramię dłonią.
Connor wahał się przez moment, walcząc z wyrzutami sumienia. - Zdaje się, że pana
trafiłem?

- To tylko draśnięcie. Nie taki znów z pana strzelec.

Connor ukląkł przy Edgarcie i ściągnął mu chustkę z twarzy. Nie była znajoma.

- Proszę mi oddać resztę broni.

- W lewym bucie - wymamrotał Edgar.

Connor przytknął mu pistolet do skroni, sięgnął energicznie za cholewę i znalazł, czego szukał.

- Londyn jest tam - zwrócił się do Johna. - Powiedz to swemu kompanowi. Życzę miłego spaceru. Możecie ruszać!

John tylko łypnął na niego okiem i wstał. Pomógł podnieść się Edgarowi i obydwaj pokuśtykali w mrok.

Connor odetchnął głęboko. Dopiero teraz zauważył, że lekko drży.

- Może chce pan pistolet? - spytał Sharp. - Mam ich sporo.

- Daj mi jeden! - zawołał głos z wnętrza powozu i w drzwiczkach ukazała się twarz Rebeki. Już z daleka Connor dostrzegł, że jej oczy błyszczą podnieceniem.

- Oj, co to był za widok - stęknął Sharp. - W życiu czegoś takiego nie oglądałem! Jak na lorda, umiesz się pan nieźle sprawić!

- Co pan mówi? — spytał Connor ostro.

- Nie chciałem pana urazić, sir.

- Czemu nazwał mnie pan lordem?

- Bo mówiłeś do nich niczym jakiś zakichany książę Marlborough! - Rebeka nie potrafiła ukryć zdumienia. - U licha gdzie się, tego nauczyłeś?

- Proszę o wybaczenie, Wasza Lordowska Mość, ale sam król angielski lepiej by nie potrafił - zawtórował jej Sharp.

- Nasz król to nadęty głupiec. Nie próbuj mnie z nim porównywać! Ned, wsiadaj zaraz do środka i nie mów „zakichany”, bo nie dam ci pistoletu!

- Och, daj go dziewczynie - poparł ją Sharp - choć nie wiem, czy damie wolno strzelać do rozbójników!

- Chłopcu - poprawił go sucho Connor. - Ned jest chłopcem.

- Tak czy owak - zaśmiał się Sharp - niech mi Wasza Lordowska Mość rzuci ten pistolet, bo różne rzeczy się jeszcze mogą zdarzyć. Niezadługo będziemy w Sheep's Haven, a jakbyś pan chciał się tam zatrzymać w porządnym zajezdzie, to...

Connor rzucił mu pistolet Edgara i wsiadł do powozu, gdzie z miejsca chwycił w ramiona Rebekę.

- Nic ci nie jest?

Rebeka patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami. Wyciągnęła ręce, jakby go chciała objąć, lecz zaraz je opuściła.

- Wszystko słyszałam. Nie zdążyłam się nawet przestraszyć, bo cały czas cię podziwiałam. Gdzie... gdzie się tego nauczyłeś?

Connor puścił ją i wsparł się plecami o ściankę powozu. Rebeka po uścisku Connora rozcierała sobie ramię.

Milczał przez chwilę, dysząc ciężko. W końcu zdobył się na słaby uśmiech.

- Hm, sam nie wiedziałem, czy dam radę, ale jakoś sobie poradziłem.

- Przecież strzelałeś tak, jakbyś całe życie ćwiczył u Mantona. To było nadzwyczajne! I miałeś taki piękny pistolet. Godny dzentelmena.

- Nauczyłem się strzelać w wojsku. A skąd wiesz o Mantonie?

- Od Robbiego Denslowe'a.

Connor się uśmiechnął. Większość kobiet w takich okolicznościach płakałaby lub dostała ataku nerwowego. Rebeka pytała dalej:

- I także w wojsku nauczyłeś się mówić jak wielki pan?

- Może - odparł niedbale, choć jej pytania go zdenerwowały. A już myślał, że udawanie Irlandczyka weszło mu w krew! Lecz to właśnie Connor Riordan, który nie istniał przed Waterloo, zwyciężył dziś rozbójników. Ta świadomość burzyła jego równowagę, ale też i radowała. Wołał jednak zmienić temat.

- Rebeko, oni nie grali komedii dla twojej przyjemności. Poderżnęliby mi gardło bez wahania, a z tobą też by się dobrze nie obeszlą. Powinnaś się trochę więcej bać.

- Przykro mi, Connor - odparła, udając skrucę - jakoś nigdy nie potrafiłam robić tego, co powinnam. Na przyszły raz postaram się piszczeć ze strachu, jak należy.

Connor parsknął śmiechem.

- Widziałam, że najwyraźniej dobrze się tym wszystkim bawiłeś.

Connor znów się roześmiał.

- Tylko jedna rzecz mnie niepokoi - dodała z wahaniem. Connora w tej chwili niepokoiło dużo więcej spraw. Zwłaszcza nie dawała mu spokoju myśl, że bandyci najwyraźniej czyhali właśnie na nich.

- Co takiego, Rebeko?

- Oni mówili o medalionie. Z tego wszystkiego zapomniałam ci o czymś wspomnieć. Tak się przejęłam przygotowaniami do podróży, że obszukałam kieszenie płaszcza papy przed naszą ucieczką. .. i znalazłam tam...

Urwała i wsunęła rękę w zanadrze. Connor w napięciu patrzył, jak powoli wyciąga coś spod koszuli.

- ...to.

Na jej dłoni leżał złoty medalion.

8

"Wyblakły szyld gospody Pod Ciernistą Różą kiwał się smętnie w podmuchach wiatru, z wnętrza dobiegał gwar. Nagle drzwi się otworzyły i buchnęło z nich światło. Mężczyzna, który chwiejnie się stamtąd wytoczył, zrobił obrót dokoła własnej osi, niczym koło od wozu, i padł bezwładnie na ziemię.

- Naprawdę chcesz pan zatrzymać się akurat tutaj? - spytał Chester Sharp z powątpiewaniem.

Jednak nie nazwał go już jego lordowską mością, za co Connor był mu szczerze wdzięczny, gdyż w przeciwnym razie każdy z bywalców tej gospody bez wątpienia miałby chęć obrabować go i zadźgać jeszcze przed świtem.

- Właśnie Tu. Dziękuję za fatygę, panie Sharp.

- Nie trzeba! Jeszczem się nigdy tak nie ubawił w całym moim życiu. Odprowadzę do stajni te nowe konie.

Obydwa wierzchowce bandytów - osiodłane, lecz bez jeźdźców- spokojnie pozwoliły się przywiązać za powozem. Po przeprawie z napastnikami wróciły, a potem przebyły razem z podróżnymi resztę drogi. Connor był z tego bardzo zadowolony, bo pieniędzy mu brakowało, a dysponując parą koni, nie musiał już wynajmować powozu na dalszą drogę do Szkocji.

- Na pewno się panu przyda. - Connor uściśnął dłoń Sharpa, a gdy ten ją cofnął, była pełna monet. Spojrzał na nie ze zdumieniem.

- Aż tyle? - spytał zaskoczony. - To nie był kurs do Londynu i z powrotem! Tylko pana trochę podwiozłem.

- Na pewno tyle. Może się jeszcze spotkamy, a chciałbym, żeby mnie pan mile wspominał.

- Stokrotne dzięki, Wasza Lordowska Mość. - Sharp jednak przy tych słowach ściszył głos. - A nie martw się pan, bo ja potrafię trzymać język za zębami. - I kierując się do stajni, puścił do niego oko.

Connor westchnął, niemal żałując tego, co zrobił. Sheep's Haven leżało na obrzeżu posiadłości Dunbrooke'ow, naszły go więc wspomnienia. Zielone łąki, zapach owczego runa, liści dębów i osik... Piekło i raj jednocześnie. Każdemu miłemu wydarzeniu dawnego życia towarzyszyło jednak jakieś inne, ponure.

Mimo wszystko zdołał stamtąd uciec. Nigdy nie był dumny ze sposobu, w jaki tego dokonał, ale teraz czuł triumf i ulgę. Jeśli nawet coś go ciągnęło do Keighley Park, było to jedynie drobną cząstką jego jestestwa. Wciąż jeszcze obecny w nim mały chłopiec tęsknił za czymś, czego nigdy nie było i nie będzie. Wkrótce jednak Connor znajdzie się daleko stąd, na innym kontynencie, a przeszłość wreszcie przestanie dla niego istnieć.

- Nie dasz mi broni?

Drgnął. Nie słyszał, jak Rebeka wysiada z powozu Sharpa. Właściwie odczytała wyraz jego twarzy.

- Spodnie to wspaniałe wynalazek, można w nich wsiadać i wysiadać z pojazdu bez niczyjej pomocy. Nic dziwnego, że mężczyźni rezerwują ten strój tylko dla siebie! A teraz proszę o pistolet.

Wprawdzie wiedział, że Rebeka umie trafić w jabłko z odległości pięćdziesięciu kroków, lecz strzelanie po nocy do bandytów to jednak trochę co innego. Ale zdawał sobie sprawę, że jeśli przytrafi mu się coś złego, Rebeka powinna mieć choćby najmniejszą szansę zastrzelenia sprawcy.

- Ned, czy obiecujesz, że jeśli ci go dam, nie zastrzelisz mnie ani siebie?

Rebeka wyciągnęła rękę po pistolet. Wiedziała już, że odniosła zwycięstwo. Connor uśmiechnął się, widząc, jak fachowo wsuwa go za cholewkę.

- Czy zatrzymamy się w prawdziwej gospodzie? - spytała podniecona. - Jeszcze nigdy w żadnej nie byłam. Co się dzieje w takim miejscu?

- Ciszej, Ned. Pamiętaj, jesteś nieśmiały!

Podał Rebecę węzełek z jej rzeczami, a sam - dźwigając własny bagaż - pchnął drzwi zajazdu Pod Ciernistą Różą.

Znaleźli się wśród hałasu, dymu i smrodu wilgotnych belek, mocnego piwa oraz potu. Rebeka zaniósła się kaszlem. Connor dostrzegł, że jej oczy zasły łzami.

- Osłoń nos chustką i zostań tutaj - mruknął.

W głównym pomieszczeniu tłoczyli się stali bywalcy tego lokalu. Niektórzy spoglądali na nowo przybyłych z niechęcią, inni może przystaliby na kufelek piwa i pogawędkę. Dwóch mężczyzn o odpychającym wyglądzie śledziło ich wyjątkowo nieprzyjaznym spojrzeniem, ale najwidoczniej tutaj nikogo to nie dziwiło. Chociaż w gruncie rzeczy nie miało to żadnego znaczenia.

Tęgi mężczyzna z łysiną lśniącą jak porcelanowa filiżanka pospieszył ku nim, wycierając ręce w fartuch. Małe kose oczka przyjrzały im się pilnie i oszacowały.

- Czym mogę panom służyć?

- Izba, zacny człowieku, dla mnie i mego bratanka. Na jeden wieczór. A także owsem dla koni. - Angielszczyzna Connora, choć staranna, była jednak o wiele mniej wytworna niż ta, którą się posługiwał podczas napadu.

Twarz oberżysty rozjaśniła się i złagodniała na widok monety. Zapewne sporo „lepszych gości”, jak się domyślał Connor, umykało stąd bez płacenia.

- Na piętrze i po prawej, szanowny panie. Chce pan zjeść kolację? Może piwa? Annie się panami zajmie.

Annie najwyraźniej zajęła się już Rebeką.

- Nie trzeba ci towarzystwa na wieczór? Ładny z ciebie chłopak. Jak masz na imię?

Rebeka z fascynacją patrzyła na potężny biust dziewczyny, który zdawał się kipieć ze stanika. Już miała uprzejmie odmówić i zastanawiała się właśnie, jakich słów powinna użyć, gdy poczuła, że Connor ściskają za łokieć.

- Dziękuję, sir - zwrócił się do oberżysty - zejdziemy na kolację, gdy tylko trochę otrzepiemy się z kurzu. Chodź, Ned - mruknął dość cierpko i niezbyt delikatnie popchnął Rebeke ku schodom.

Gdy tylko znaleźli się w izbie, Connor zamknął za sobą drzwi i natychmiast zapalił świecę.

- Medalion! - zażądał.

Rebeka podała mu złote cacko. Przyjrzał się dokładnie gładkiej powierzchni i obrócił go w dłoni. Potem, według jej wskazówki, powiódł kciukiem ku spojeniu. Zesztywniał cały, gdy wieczko odskoczyło.

- Connor, co ci jest? - spytała z niepokojem.

Connor znieruchomiał wpatrywał się w medalion bez słowa.

- Co ci jest? - powtórzyła. Serce nagle zaczęło jej bić jak młotem. Dotknęła ręki Connora.

- Patrz, tutaj jest napis - odezwał się wreszcie schrypniętym głosem. - Nie widziałaś przedtem?

Zajrzała mu przez ramię. Przeczytał głośno:

- Memu najdroższemu Roarke'owi Blackburnowi od Marianne Bell z okazji roli lady Makbet, 1813.

- Marianne Bell - powtórzyła za nim.

Znów poczuła się niedojrzała i niepewna. Coś ją nieprzyjemnie zakłuło w głębi serca i zrozumiała, że to zazdrość.

- Jaka piękna - szepnęła z wahaniem. - Czy wiesz, kim ona może być?

- Tak... znałem ją. Była... aktorką. W Londynie.

- Och... - Wyczuła rezerwę w jego głosie.

Aktorka, o czym dobrze wiedziała, znaczyła tyle, co ladacznica. Rebeka zdołała jakoś przełknąć tę zadziwiającą informację.

Connor powoli podszedł i usiadł na brzegu łóżka, wciąż wpatrzony w medalion. Trzymał go w dłoni tak ostrożnie, jakby przy gwałtownym ruchu miniatura mogła mu zrobić krzywdę.

- Mówisz, że był w płaszczu ojca?

- Znalazłam go w płaszczu pozostawionym w bibliotece. Całkiem przypadkowo - dodała pospiesznie, widząc jego zdumienie. - Gilroy mnie zaskoczył i nie miałam wyboru... musiałam... wsunąć go do kieszeni.

- Czego, u licha, szukałaś po kieszeniach czyjegoś płaszcza? Connor miał taki wyraz twarzy, jakby koniecznie chciał, by znalazła przekonujące usprawiedliwienie kradzieży.

- Pieniądzy... - wybąkała po chwili.

- Ach, tak?

- Wiesz przecież, że sama ich nie miałam, a chciałam...

- Obiecuj mi, że teraz pozostawisz troskę o te rzeczy wyłącznie mnie i nie będziesz więcej szperać w czyichś płaszczech.

- Obiecuję.

- Czy to na pewno był płaszcz twojego ojca? Zdaje mi się, że ta rzecz mogła należeć raczej do Edelstona.

- Przecież napis mówi o jakimś Blackburnie. Kim on był, jak myślisz? Jej kochankiem? - spytała, zbierając się na odwagę.

Connor uniósł wzrok znad medalionu.

- Jestem prawie pewien, że tak. Ale jak coś podobnego mogło się znaleźć w płaszczu twojego ojca czy też może Edelstona?

Rebeka ostrożnie usiadła obok Connora. Na ten widok matka umarłaby chyba ze zgrozy. Córka ziemianina, bez przyzwoitki, siada na łóżku obok stajennego! Rebeka chciała jednak spojrzeć jeszcze raz na portret w medalionie. Przesunęła, nie myśląc wiele, palcem po napisie i nagle obydwójce drgnęli zaskoczeni, bo wewnętrzne wieczko, na którym widniała dedykacja, uniosło się nagle, odsłaniając drugi wizerunek Marianne Bell, leżącej na wznak nago, z głową opartą na ramieniu.

Rebeka oniemiała. Rzecz jasna, widywała już podobizny nagich ciał w atlasie anatomicznym ojca, ale nie było wśród nich niczego w tym rodzaju, i to w dodatku z imieniem i nazwiskiem przedstawianej tam osoby. Marianne widniała na miniaturze w całej okazałości. Miała jasną karnację, różowe wargi i koniuszki piersi, kręte pasma czarnych włosów spływały jej na ramiona, a między nogami rysował się ciemny zakątek tej samej barwy, w kształcie litery „V”. Artysta najwyraźniej lubował się w swojej robocie.

- Och!-wyszeptała Rebeka. Connor nagle wstał.

- Pójdę napić się piwa. Przyniosę ci kolację na górę. Rzucił medalion na łóżko i wyszedł. Rebeka chwyciła go natychmiast i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w miniaturę. Co prawda nigdy nie odważyła się oglądać własnego, nagiego ciała w lustrze, lecz ukradkiem spoglądała od czasu do czasu na własne zaokrąglające się kształty, co sprawiało jej pewną przyjemność. Jednak nigdy sobie nie wyobrażała, że nagie ciało kobiece można ukazywać tak ostentacyjnie, jak to robiła Marianne Bell. Nie pojmowała też, jak jego widok może sprawić, że ktoś, kto służył w wojsku i dopiero co w pojedynkę pokonał dwóch uzbrojonych zbirów, może rzucić taki obrazek na łóżko, jakby parzył mu palce, i gwałtownie opuścić pokój.

Spojrzała na drzwi. Jeśli Connor rzeczywiście chciał napić się piwa, to go przez jakiś czas tutaj nie będzie. Ona zaś nagle nabrała chęci, żeby dokonać pewnego eksperymentu. Obserwując bez przerwy drzwi, ostrożnie wyciągnęła swój pistolet zza cholewki, ściągnęła z nóg buty, a potem rozebrała się szybko i stanęła nago wśród sterty ubrania. Potem wyciągnęła się na łóżku w niemal tak samo wymyślnej pozie jak tamta, a przynajmniej tak sobie wyobraziła. Szorstka kołdra drapała ją w plecy, co jednak nie było całkiem nieprzyjemne. Założyła ręce pod głowę, lekko wygięła się w biodrach i spojrzała

w sufit z miną - jak uważała - roztargnioną, sprytną i jednocześnie zachęcającą. Z miną osoby doświadczonej, jaką miała Marianne Bell.

Bardzo pragnęła czuć to samo, co czuła Marianne, pozując do miniatury. Chciała się przekonać, czy przybranie podobnej pozy sprawi, że poczuje się bardziej doświadczona, światowa, kobieca i dorosła. Wyobrażała sobie, jaką minę zrobiłby Connor na jej widok. A gdyby tak wszedł tu nagle albo...

A wtedy kątem oka dostrzegła, że klamka się porusza.

Z krzykiem zeskoczyła z łóżka i padła na podłogę na zdjęte wcześniej ubrania.

W drzwiach stanął Connor, niosąc dwie miski pełne dymiącego mięsiwa. Zapadła chwila ciszy.

- Rebeko... - odezwał się wreszcie.

- Chyba za szybko wróciłeś! - zawołała zza łóżka nieco zduszonym głosem - i... przestraszyłeś mnie... a ja się chciałam zdrzemnąć.

- Widzę - odparł, mimo że przestach Rebeki wydał mu się czymś dosyć dziwnym u dziewczyny, która znakomicie zniosła napad dwóch bandytów. Z zaciekawieniem nad słuchiwał szmerów po drugiej stronie łóżka. - Może coś sobie złamałaś przy tym upadku? - spytał uprzejmie.

- Niezupełnie! - fuknęła w odpowiedzi, usiłując się wyprostować. Przez nierówno zapiętą koszulę gdzieś przesuwały się ciało. Connor wzniósł oczy w górę, dopiero potem spojrzał na Rebeke.

- Nie jesteś głodna? - Wolał nie zadawać innych pytań. Już dawno opróżnili do czysta piknikowy koszyk pani Hackette.

Rebeka rozejrzała się po izbie, jakby szukając najlepszego miejsca do jedzenia.

Odruchowo zdjęła czapkę, jej włosy opadły na ramiona. Connor, który ujrzał, jak odbija się w nich blask świecy, przez moment poczuł się szczęśliwy.

Rebeka w końcu usiadła na łóżku i wyciągnęła ręce po swoją miskę.

- Dlaczego uważasz, że bandyci chcieli nam odebrać akurat ten medalion? - spytała pomiędzy dwoma łykami.

Medalion zawiesiła sobie z powrotem na szyi.

- Właśnie tego nie rozumiem. - Connor skupił uwagę na jedzeniu.

- Może ten jej kochanek chciał go odzyskać?

- Może. - Connor dołożył starań, żeby zabrzmiało to możliwie wymijająco.

Z zadowoleniem zauważył, że przy słowie „kochanek” lekko się zarumieniła. Ubawiło go, że miała dość odwagi, żeby się nim posłużyć, ale też była na tyle skromna, żeby ją samą nieco zaszokowało.

- Roarke Blackburn - powiedziała z rozmarzeniem. - To brzmi bardzo romantycznie, nie uważasz? Całkiem jak imię pirata.

Connor o mało nie udławił się kawałkiem mięsa.

- O, tak. Bardzo romantycznie - zgodził się.

- Nie wiedziałam, że umiesz czytać.

Och, ależ była bystra! Niewielu stajennych umiało. Connor poczuł zaniepokojenie. Ze też musiał odczytać tę przeklętą dedykację na głos! Uniósł głowę znad miski.

- Umie. Ojciec kazał mi się uczyć. - Przynajmniej teraz nie skłamał.

- Jaki on był?

Connor znów na nią spojrzał. Miska Rebeki była jak wylizana do czysta, a jej oczy barwy morza o poranku patrzyły na niego z zaciekawieniem.

- Czy musisz mnie ciągle o coś pytać, nawet teraz, kiedy się najadłaś?

- Ano muszę - odparła, jakby go przedrzeźniając.

Connor się zaśmiał. Rebeka zasługiwała na uczciwe wyjaśnienie. Namyślał się jednak długo, nim odpowiedział ostrożnie:

- Mój ojciec był wiecznie zły, Rebeko. Zły i bardzo zarozumiały.

- Musiał być w takim razie bardzo nieszczęśliwy.

Zbiła go z tropu. Nigdy się nie zastanawiał, czy jego ojciec był nieszczęśliwy. Wciąż jeszcze śniło mu się po nocach, że jest przez niego bity. Skóra go wtedy piekła, a serce łomotało z przerażenia. Narastało w nim upokorzenie: oto ktoś, kto go spłodził, miał prawo tak go traktować! Rosła również rozpacz, bo mógł się bronić jedynie cierpliwością i własną zaciętą dumą. Dumą Dunbrooke'ow.

Wszystko mogło wzbudzić w jego ojcu wściekły gniew. Wystarczyło odezwać się nie w porę, wziąć własnego konia bez jego pozwolenia, niezupełnie dobrze odrobić lekcję.

Richardowi, jego bratu, także nie szczędzono razów. A matki, która zmarła w rok po jego urodzeniu, wydając na świat Richarda, nie było i nikt nie mógł utemperować złości ojca. Życie nie oszczędzało go widocznie, skoro tak łatwo dawał się ponieść wściekłości. Czy on również uważał ród, tytuł, ziemię i dom za okowy, przeciw którym się buntował? Czy żał skrywany po stracie żony podsycił jego gniew? Connor nigdy się tego nie dowie.

Ojciec już nie żył.

- Pewnie masz rację, Rebeko. Myślę, że może był nieszczęśliwy, ale ja potrafiłem się go jedynie bać. Opuściłem dom najszybciej, jak tylko mogłem.

Zakiełkowało w nim teraz jakieś współczucie, które szybko zmieniłoby się w przebaczenie, gdyby go w sobie zaraz nie zdusił. Kim by się stał, gdyby tam został?

Usiłował odepchnąć od siebie tę myśl. Nie, nie mógł tego dłużej znieść.

- A co potem zrobiłeś?

- Uznałem, że jak postrzelam sobie do Francuzów, to mi ulży. I zostałem ranny. Mam wielką bliznę o, tu. - Nie oparł się niechlubnej chęci zrobienia na Rebecę wrażenia.

Wargi jej ułożyły się w literę „O” z podziwu i niezdrowej fascynacji. Dokładnie tak, jak się spodziewał. Przysiadła na brzeжку łóżka i pilnie patrzyła, jak zdejmuje but i podwija nogawkę. Pod spodem, w miejscu, gdzie trafiła go w łydkę kula z muszkietu, widniał pas nierównej, stwardniałej, lśniącej skóry.

Rebeka bez słowa wpatrywała się w połyskującą bliznę. A potem, ponieważ zawsze kierowała nią ciekawość, powiodła wzrokiem po całej łydce, której zarys odznaczał się nieoczekiwanym i niemal brutalnym pięknem, schodząc ukośną linią ku wąskiej, białej stopie. Resztę przesłaniała podwinięta nogawka, można się było jednak domyślać, że inne części ciała Connora są równie pięknie ukształtowane. Zapragnęła je zobaczyć.

Nagle zdała sobie sprawę, że od dawna nie powiedziała ani słowa, i zmusiła się wreszcie, żeby spojrzeć mu w twarz. Nie była teraz zadowolona ze swojej delikatnej jasnej cery, bo wiedziała, że na jej policzkach płoną rumieńce.

Connor patrzył na nią z nieodgadnioną miną. Wreszcie odetchnął głęboko i spuścił nogawkę, nie odrywając oczu od Rebeki.

- Musimy się wyspać, Ned, bo wstajemy bardzo wcześnie. Połóż się na łóżku, mnie wystarczy podłoga. - Powiedział to obojętnym tonem, lecz coś w jego głosie świadczyło o napięciu.

Rebeka czuła, że jej protest zamieniłby się w rozmowę o tym, co jest przyzwoite, a co nie, i zacząłby wkrótce przypominać ich utarczkę sprzed kilku dni, tylko że roiłaby się ona teraz od ukrytych znaczeń.

- Nie będzie ci zimno?

- Pamiętaj, że służyłem w wojsku. Takim jak my ziemia wydaje się puchową kołdrą. Oczywiście nie była to prawda, lecz Rebeka parsknęła śmiechem, a napięcie między nimi osłabło.

- Może użyjesz mojego płaszcza jako poduszki? - spytała wielkodusznie.

- Dziękuję, piękna damo, ale mogę zrobić ją z własnego, a zabraliśmy też ze sobą koce. Spij teraz i nie zleć drugi raz z łóżka w środku nocy, bo nie mam ochoty być przygnieciony.

Rebeka nigdy jeszcze nie spała w spodniach i długiej bluzie. Z tęsknotą pomyślała o nocnej koszuli z miękkiej bawełny, którą zapakowała razem z innymi rzeczami, lecz skoro Connor nie miał nic przeciw spaniu w odzieży, postanowiła zrobić tak samo. Wsunęła się pod kołdrę, która - mimo że szorstka - była dosyć czysta, lecz wątpiła, czy zdoła zasnąć.

Z izby na parterze dobiegały głosy - nie rodziców czy służby, ale gromady prostaków, którzy rechotali lub kłócili się po wypiciu wielu kufli piwa. Od czasu do czasu słyszała nawet pobrząkiwanie szkła i szurgot krzesel. Była przecież w zajeździe! Uśmiechnęła się chytrze. Lorelei chyba zemdlałaby ze strachu. Szkoda, że nie będzie mogła siostrze o wszystkim opowiedzieć.

Zatęskniła nagle za domem, za Lorelei i rodzicami. Sąsiadka Tremaine'ow, Bessie Hardsmith, mająca już wielu wnuków, nigdy nie wysunęła nosa poza St. Eccles. Rebeka zaczęła rozumieć. Tremaine House był dotąd dla niej całym światem. Jak mały byłby jej świat, gdyby tam została! Gdyby nie Connor, spędzałaby odtąd wszystkie noce w małżeńskim łóżu, obok okropnego Anthony'ego Edelstona. Z błogosławieństwem rodziców. Leżała tak cicho, że słyszała oddech Connora. Wezbrały w niej uczucia. Wyobraziła go sobie jako chłopca pełnego lęku przed ojcem, a na myśl, że ktoś mógł go traktować inaczej niż z serdecznością, jej dłonie zacisnęły się odruchowo w pięści. Ostatnio zrozumiała, czym jest niesprawiedliwość i nieoczekiwane odmiany losu, które mogą całkowicie człowieka zmienić.

Ostrożnie przesunęła się na sam skraj łóżka i spojrzała na Connora, którego pierś unosiła się w regularnym rytmie. Na podbródku, zwykle czysto wygolonym, pojawił się cień zarostu. Janet Gilhooody ujęła jego twarz w dłonie i dotykała jej tak swobodnie, jakby miała do tego prawo. Jakby to robiła już wiele razy. Pewnie też dotykała go gdzie indziej - nie tylko łydek, ale ciała okrytego ubraniem. I na tę myśl Rebeka cała się zjeżyła, choć była także Janet w jakiś sposób wdzięczna. Za to, że mogła Connorowi Riordanowi zapewnić pociechę.

Lecz teraz Connor należał do niej. Sama go wybrała. A gdy tak na niego patrzyła, zapragnęła go dotknąć.

Connor, owinięty w koc, szybko sobie przypomniał, czym jest spanie na twardym podłożu. Sen wciąż nie nadchodził. Rankiem mięśnie długo będą mu boleśnie dokuczać. Czemu akurat teraz, kiedy udało mu się zostawić za sobą całą przeszłość, powróciła w postaci medalionu? Zaczął myśleć o czymś, co dotąd tkwiło w nim jakby podświadomie. O Mariannę Bell.

Dla niego była przede wszystkim zdobyczą. Wiele lat temu pewnego wieczoru zaszedł z nudów do marnego teatryku na East Endzie. Nazywał się Słodkie Jabłuszko i wcale nie przypominał eleganckich teatrów, w jakich bywali widzowie zamożni. Publiczność składała się raczej z motłochu.

Ale właśnie tam po raz pierwszy ujrzał Marianne.

Rola, jaką grała, ograniczała się w gruncie rzeczy do chodzenia tam i z powrotem po scenie, ale coś w jej sposobie poruszania się przykuło jego uwagę. Kiedy udało mu się w końcu dojrzeć jej twarz, uroda Marianne wręcz go poraziła. Przyglądał się kolejno różnym szczegółom, od delikatnych czarnych brwi do pełnej dolnej wargi i błękitnych oczu. Zapragnął zatopić się w nich, mieć je na własność.

Potem co wieczór wracał do teatryku. Chciał zdobyć względy aktorki kosztownymi prezentami. Najpierw uprzejmie odmawiała ich przyjęcia, lecz w końcu Connor był dziedzicem najbogatszego księcia w całej Anglii i prawie zawsze zdobywał wszystko, czego zapragnął, wliczając w to, rzecz jasna, Marianne. W końcu skapitulowała.

Umieścił ją w dyskretnym apartamencie, płacił jej hojnie i cieszył się swoją zdobyczą. Była ostrożna - chłodna, dumna i czujna, ale też bystra, co go niekiedy zaskakiwało. Nie był jej pierwszym kochankiem, ale w duchu dziękował swoim poprzednikom, bo współżycie z nią przypominało nurzanie się w fizycznej rozkoszy. Zawsze jednak było w niej coś nieuchwytnego, co mu umykało. Czasami go zaskakiwała szczerym śmiechem, raz czy dwa dostrzegł w jej oczach dziki, tęskny, bolesny wyraz. Znikał on wszakże tak szybko, że uznał go za własną fantazję.

Napis na medalionie głosił: „Z okazji roli Makbet”. Z przykrością przypomniał sobie noc, kiedy ją rzucił. Przyszedł do niej wtedy pełen tłumionej z trudem wściekłości, bo wcześniej widział się z ojcem.

- Kiedy wreszcie spełnisz swoją powinność, Roarke, i wybierzesz sobie odpowiednią żonę? Już czas, żebyś przestał trwonić moje pieniądze na tę dziwkę i pomyślał o spłodzeniu następcy - powiedział ojciec, kiedy Connor opuszczał jego londyńską rezydencję.

Od dawna nauczył się obojętnie przyjmować ojcowskie wyrzuty, a nawet cenić niechęć, jaką w nim wzbudzały. Potrafił też uwalniać się od nich dzięki strzelaniu do celu - wyobrażał sobie wtedy, że mierzy w ojcowską głowę - i dzięki boksowi. Wtedy wyobrażał sobie, że przeciwnik ma twarz ojca. W rezultacie stał się znakomitym strzelcem i pięściarzem.

Czuł się wówczas znużony, bo poprzedniej nocy wypił nieco więcej niż zwykle. A może stało się to dlatego, że wciąż był młody i nie zmienił się jeszcze w zgorzkniałego zobojętniałego człowieka, który mógłby dorównać ojcu w jadowitych szyderstwach. Słowa wyrwały mu się jednak, nim zdążył się opanować.

- Żonę?! - wrzasnął. - Żeby zrobić jej dziecko, a potem patrzeć, jak umiera w połogu niczym moja zmarnowana przez ciebie matka?!

Pięść dosięgła go, nim zdołał się uchylić. Był tym zaskoczony. Od czasu studiów w Oksfordzie ojciec już go nie bił, a jeśli czasem to robił, to posługiwał się dłonią, nie pięścią. Upadł, a ojciec zaczął go kopać raz za razem w żebra.

Connor, zdolny pokonać każdego w walce na pięści, nie zdobył się na to, by go uderzyć. Wstał, wziął płaszcz, kapelusz i bez słowa opuścił rezydencję. Poszedł do Marianne, wciąż jednak nurtowała go myśl o odwecie, najwłaściwszym, długo hamowanym odwecie, a nie o na wpół nagiej lubieżnej kobiecie.

Przypomniawszy sobie teraz, że zapytała, czy jego zdaniem mogłaby zagrać lady Makbet.
- Właściciel teatru pragnie wystawić coś nowego. Chce przyciągnąć inną publiczność, może nawet twoich zamożnych przyjaciół.

- Przecież Makbet nie jest niczym nowym - mruknął zaskoczony.

Czy właściciel ma zamiar wstawić wyuzdane tańce pomiędzy kwestie aktorskie? Tańce takie były bowiem specjalnością Słodkiego Jabłuszka.

- Roarke, mówię serio. Poprosił mnie, żebym zagrała lady Makbet. Wyobrażasz sobie? Z początku zamierzał się temu sprzeciwić. Nie miał ochoty, żeby jego kochanka popisywała się przez większą część dnia przed publicznością, która by ją zapewne wygwizdała, ale nie chciał też robić jej przykrości. Dzień czy dwa wcześniej mogłoby to spowodować między nimi ostrą kłótnię, lecz teraz myślał tylko o jednym: o odwecie na ojcu. Zgodził się więc, żeby wzięła tę rolę.

Następnego dnia wstąpił do wojska i już nigdy więcej nie zobaczył Marianne.

O tak, Marianne była dla niego zdobyczą, wyzwaniem i zagadką - ale nigdy człowiekiem, co musiał przyznać ze wstydem. Nie zdołała trafić do jego serca. Może w niej było coś, co to uniemożliwiało, a może on był wtedy za młody; w każdym razie nie dokonała tego. Rzucił ją więc, niewiele myśląc, i niezbyt swego postępuku żałował, a z biegiem czasu myślał o niej coraz rzadziej.

Medalion wydał mu się żenujący w swojej dosłowności. Zapewne zapłaciła za niego, a także za portrety w środku - och, jakże ten wizerunek Marianne rozciągniętej na szezlongu umiliłby mu długie tygodnie spędzone pod dowództwem Wellingtona - pieniędzmi zarobionymi przez nią w teatrze, a nie tymi, które dostawała od niego. Nazwała go „najdroższym”. Wiedział, że nie przyszło jej to z łatwością. Była przecież dumna. Rozumiał też, jak bardzo ją wtedy zranił.

Mimo to pewnie będzie musiał sprzedać medalion, żeby kupić żywność, nim znów ruszą w drogę. Nie miał zbyt wiele pieniędzy. Nadal nie rozumiał, w jaki sposób to cacko znalazło się w płaszczu u Tremaine'ow, ale wydało mu się czymś nieuchronnym, że musiało w końcu dotrzeć do niego. Chciał uciec od przeszłości, ale zdołał się tylko uwolnić na jakiś czas. Gdy zrezygnował ze

go życia w stajniach sir Henry'ego, ponownie go dopadła.. Gdy zrezygnował ze spokojnego życia w stajniach sir Henry'ego, ponownie go dopadła.

I wystawiła mu rachunek. Tak przynajmniej sądził.

Wiedział czemu nie chce zdradzić Rebecę, kim naprawdę jest. Bał się ze przestanie go szanować, bo uciekł od własnych zobowiązań. Na razie widziała w nim bohatera. Nie chciał jej rozczarować. Jednak ciążył mu splendor związany z tytułem i bogactwem, niedorzeczna i niesprawiedliwa władza, potężne domostwa pełne pełne złocen i marmurów, a także beznadziejnie płytka londyńska socjeta. Nie potrzebował tego wszystkiego. Pragnął żyć na własny rachunek.

Chciał pojechać do Ameryki.

Zamknął oczy i udawał, że równo oddycha. Słyszał oddech Rebeki

Jak potrafiła przywiązać go do siebie! Dostrzegała wszystko, rozumiała wszystko bez pytania, a jej naturalność i świeżość zapierały mu dech.

Co za nonsens. Co za głupiec z niego! Z trudem sobie uświadomił, że pomógł jej w ucieczce, bo nie mógł znieść myśli, by należała do innego.

W tej samej chwili końce jej palców musnęły jego twarz. Serce podeszło mu do gardła.

Przez moment spoczywały na jego policzku z nieznacznym naciskiem. Z ogromnym wysiłkiem nadal udawał śpiącego odychając równo i powoli. Czy Rebeka uwierzy, że on śpi. A może właśnie wcale w to nie wierzy? Powiodła palcem po jego podbródku, lekko, delikatnie. Nie był w stanie miarowo oddychać. Wraz z ruchami jej palców rosło w nim napięcie. Jak powinien się zachować?

Palec Rebeki okrążył jego podbródek i jakby się zawahał. Gdyby Connor odwrócił teraz choć trochę głowę, dotknęłaby jego warg. Rebeka cofnęła rękę.

O mało nie jęknął na głos- Leżał tak cicho, jak tylko mógł, i udawał, że śpi.

Krew tętniła mu w uszach. Wreszcie - a miał wrażenie, że minęła już cała a wieczność - równy oddech Rebeki zdradził mu, że zasnęła.

Wmawiał sobie, że z jej strony była to tylko ciekawość. Po prostu Rebeka to Rebeka. I tyle. Nadal trwał jednak w napięciu. Zakrył ręką oczy, jakby w ten sposób mógł uwolnić się od irytujących myśli. Liczył do stu i z powrotem.

Wciąż czuł na sobie ciepły, delikatny dotyk, który jakby przylgął do jego skóry.

9

Wyściełany brokatem fotel ze złotymi nogami był tak ozdobny, że wydawał się raczej klejnotem niż sprzętem. Cordelię niemal oczy bolały od patrzenia na niego. Wybrała go jednak, choć skądinąd wołała proste, lecz eleganckie meble podkreślające niczym oprawa jubilerska jej własny, żywy koloryt. Na tym fotelu siadywał niegdyś sam Ludwik XIV! Cordelia kazała przenieść fotel z letniej siedziby Dunbrooke'ow do ich londyńskiej rezydencji właśnie z tego powodu. Odgrywał w jej życiu rolę talizmanu i umacniał jej poczucie prawowitości, gdy tylko zaczynało słabnąć.

Niegdyś foteli takich była para, lecz jej zmarły mąż - mężczyzna skądinąd tak przystojny, że gdy wchodził do salonu, ludzie milkli i przerywali rozmowy, posiadacz jednego z najstarszych tytułów i największej fortuny w całej Anglii - po nocy spędzonej na pijaństwie pomylił go pewnego razu z nocnikiem. Służący pospiesznie usunęli potem mebel z pokoju. Nie wiedziała, co się z nim stało.

W zamian za wytrwanie w małżeństwie z Richardem Blackburnem, który zaczynał pić zaraz po śniadaniu, a nade wszystko lubił zadawać (i otrzymywać) razy, Cordelia Blackburn, księżna Dunbrooke, stała się najbardziej wpływową kobietą w całym londyńskim dobrym towarzystwie. Arystokratyczne maniery podkreślały niepokojącą urodę, a jedno i drugie, jak powszechnie sądzono, było rezultatem domieszki jakiejś starodawnej, nieistniejącej już linii królewskiego rodu, zapewne francuskiej. Jako księżna Dunbrooke prowadziła ożywione życie towarzyskie i spełniała swoje obowiązki z wdziękiem oraz bystrością, ale też i ostentacyjną skromnością, a także powściągliwością. Zyskiwało to jej życzliwość wszystkich dam z tych kręgów i zdawało się upewniać, że żadna nie potrzebuje się obawiać o swego męża. W rzeczywistości dobrze wiedziała, że każdego łatwo mogłaby oszołomić jednym spojrzeniem rzuconym spod ciemnych rzęs. Było to jednak czymś tak łatwym, że Cordelia odwoływała się do podobnych pociągnięć jedynie podczas najnudniejszych wieczorów.

Jako księżna Dunbrooke wypracowała sobie styl życia tak mistrzowsko złożony i precyzyjnie skonstruowany, jak najlepszy utwór Bacha.

Małżeństwo jej skończyło się wcześniej, niż mogła przypuszczać. Dwa lata temu po śmierci starego księcia jakiś rozbójnik poderżnął jej mężowi gardło. Dzięki Hutchinsowi przeszkoda na drodze Cordelii do szczęścia w bardzo dogodny sposób przestała istnieć. „Pragnęłabym śmierci Richarda!”, życzenie wyszeptane ledwo dosłyszalnie, stało się - rzecz ciekawa - faktem. Uznała, że mądrzej będzie nie dociekać, w jaki sposób. W końcu dzięki temu żyło się jej teraz wygodniej i, być może, bezpieczniej. Odziedziczyła całą bajeczną wręcz fortunę Dunbrooke'ów, bo Richard nie miał innych spadkobierców, nawet odległych kuzynów; w tym pokoleniu Blackburnów jakoś nie rodziło się za wiele dzieci.

Raz jeden w życiu była naprawdę zakochana i, jak na ironię, stało się to właśnie dzięki Anthony'emu Edelstonowi przyczyną jej kłopotów. Nie potrafiła go jednak za to znienawidzić i wiele razy dawała dyskretnie do zrozumienia Hutchinsowi, że mimo wszystko woli darować szantażyście życie. Chociaż na pierwszy rzut oka Tony nie różnił się niczym od każdego innego zepsutego do szpiku kości lorda z dobrego towarzystwa, Cordelia wiedziała, że Edelston - chociaż hulał więcej może od innych - był w jakiś sposób niepozabawiony przyzwoitości. Mimo że skradł jej ze szkatułki na biżuterię medalion, kiedy odsypiała noc pełną wina i miłości, i tym samym wszedł w posiadanie sekretu. A sekret ów - raz puszczonej w obieg — mógł stać się pożywką sensacji, jaką dobre towarzystwo z pewnością delectowałoby się przez długie lata.

Polegał on zaś na tym, że Cordelia Blackburn była zapewne najbezcześniejszą oszustką, jaka zdołała się wśliznąć pomiędzy członków londyńskiej elity.

Ręka, w której trzymała filiżankę i spodek, zaczęła jej drżeć. Postawiła je ostrożnie na stojącym tuż obok filigranowym stoliczku, nie chcąc zniszczyć drugiego z foteli Ludwika XIV, i złożyła dłonie na kolanach.

Rozległo się stukanie.

- Proszę wejść! - zawołała.

W drzwiach stanął Hutchins i, jak zwykle, złożył Cordelii głęboki ukłon. Księżna poweselała. Była to zapewne jedyna osoba na świecie, którą mógł rozweselić widok Hutchinsa, niekoniecznie zresztą z powodu groteskowej powierzchowności sługi, bo choć był niski i niezgrabny, to w końcu podobnie wyglądała większość mieszkańców Londynu. Już raczej powodowały to jego oczy - ogromne, czarne, głęboko osadzone i dziwnie posępne, niczym dwa świeżo wykopane groby. Jego spojrzenie przejmowało dreszczem, sam zaś zdawał się o tym wiedzieć, toteż zawsze gdy go do siebie wzywała, chylił czołobitnie głowę. Zdawało się, że wraz z nim pojawiał się w pokoju jakiś tylko jemu właściwy półmrok, w którym on sam zdawał się niknąć. Cordelia uważała, że to bardzo użyteczne.

Hutchins znał chyba niemal wszystkich zbrodniarzy i wyrzutków społeczeństwa, opryszków, rzezimieszków czy oszustów karcianych w promieniu pięćdziesięciu mil wokół Londynu. Cordelia wołała nic nie wiedzieć o jego przeszłości. Wiedziała tylko o jego słabości do teatru i ceniła dar strategii, dwie cechy, które już od lat świetnie uzupełniały jej talenty i ambicje. Hutchins, ze znanego tylko jemu powodu, dawno uznał, że warto służyć Cordelii. Od piętnastu lat traktował ją jak cesarżową.

- Wasza Wysokość, przyszedłem zdać raport.

Ręce miał puste, a więc medalionu nie zdołano odzyskać. Cordelia uniosła filiżankę do warg i wypila spory łyk herbaty w nadziei, że uspokoi tym nerwy.

- Możesz usiąść, Hutchins. - Innego sługi nie zachęcałaby do tego, lecz wiedziała, że w wilgotne deszczowe dni dokuczają mu bóle w biodrach, czyli prawie każdego dnia w Londynie.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. - Hutchins ostrożnie siadł w fotelu wybitym różowym atłasem. - Dwaj nasi... pomocnicy nie dostrzegli na drodze do South Greeley żadnego pojazdu, ale dwaj inni stoczyli niezwykłą wręcz potyczkę z pasażerem miejskiej dorożki jadącej do St. Eccles.

- Cóż się tam stało?

- Mówią, że zatrzymali ten powóz i zażądali oddania medalionu, ale jakiś, jak mówili, „przekłety narwaniec” postrzelił jednego z nich. Rana nie była groźna, lecz spowodowała krwotok. Osobnik ten powalił ich na ziemię i rozbroił, a konie spłoszyły się i uciekły.

- Powalił ich? - powtórzyła Cordelia. - Tak ci powiedzieli?

- To ich własne słowa, Wasza Wysokość.

- Czy nie zmyślają? Jeden podróżny miałby pokonać dwóch uzbrojonych mężczyzn? Cóż on robił w dorożce? A czy jechała z nim dziewczyna?

- Mówią, że był wysoki, ciemnowłosy, wysławiał się jak Anglik wysokiego rodu i doskonale strzelał. Szybko im dał radę, madame. Podobno wyskoczył z powozu, kopał, strzelał i robił rzeczy wręcz nie do uwierzenia, tak mi powiedzieli. Musiałem im zapłacić za utratę koni, Wasza Wysokość. Możemy jeszcze potrzebować ich usług w przyszłości. Cordelia z roztargnieniem skinęła głową.

- W każdym razie nie trafili na Irlandczyka z rudowłosą dziewczyną?

- Nie widzieli dziewczyny, a ten narwaniec mówił, że żadnej w środku nie ma. Ale jeden z nich - imieniem Edgar - zaklina się że kiedy tamten wręczał jeden z ich pistoletów woźnicy, jakiś cienki głos zawołał: „Daj mi go!”

Cordelia zamilkła. Z tego, co zdążyła usłyszeć, takie słowa dobrze pasowały do Rebeki Tremaine. Nagle doszła do wniosku, że relacja zbirów przynajmniej częściowo odpowiada prawdzie.

- Mówisz, że powóz jechał na północ?

- Tak, Wasza Wysokość. Może do Szkocji. Trudno rozstrzygnąć.

- Hutchins, czy twoi pomocnicy mogliby śledzić tego narwańca? Rebeki Tremaine nie znaleziono nigdzie w okolicy, a w tej całej historii coś mnie zaciekawia.

- Postaram się, Wasza Wysokość.

- Będę ci wdzięczna.

- Nowy radca prawny czeka tu w pokoju obok. Czy mam po niego posłać, czy też Wasza Wysokość wyjdzie do niego?

Cordelia westchnęła. Poprzedni radca Dunbrooke'ow, zacny i odpowiedzialny Melbers, który pracował dla nich od przeszło trzydziestu lat, przed miesiącem zmarł we własnej bibliotece.

Zatrudniła więc Matthew Greena, poleconego jej przez wicehrabiego Graysona. Nowy radca potrzebował nieco czasu, by zapoznać się ze sprawami rodziny i majątku, nim złoży sprawozdanie. Całkiem zapomniała o umówionym spotkaniu.

- Poproś go tutaj i każ służącej przynieść herbatę.

- Oczywiście. Co jeszcze, Wasza Wysokość?...

- Musimy odnaleźć medalion.

- Znajdziemy go - mruknął.

Cordelia spojrzała na niego zimno i skinęła głową. Hutchins zrobił to samo i wycofał się ku drzwiom.

Chwilę później służąca wniosła tacę z herbatą. Tuż za nią wszedł Matthew Green.

Wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać radca prawny: szczupły, szpakowaty, w okularach, kompetentny, lecz skromny, pełen szacunku, lecz nie służalczy.

- Zechce pan usiąść. Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku? - spytała, nalewając herbaty do dwóch filiżanek.

- Owszem, Wasza Wysokość. Dobrze znałem Melbersa, człowieka najlepszego w swoim fachu, jeśli mogę się tak wyrazić.

Cordelia uśmiechnęła się uprzejmie. W końcu była księżną Dunbrooke, zatrudniała więc, rzecz jasna, najlepszych fachowców.

- Znalazłem tylko jedną drobną, lecz zastanawiającą rzecz, którą być może zechce mi Wasza Wysokość wyjaśnić - ciągnął Green.

- Chodzi o pewną regularną, coroczną wypłatę wysyłaną komuś, czyje nazwisko nie należy do żadnej z osób zatrudnianych przez Waszą Wysokość. Być może chodzi tu - Green zniżył głos przepraszająco - o jakiś dług karciany. Ale pieniądze są wysyłane zawsze w tym samym terminie, co odnotowywano w odrębnym rejestrze.

Cordelia się skrzywiła. Niemożliwe, czyżby Richard okazał się na tyle honorowy, że wypłacał pensję jakiejś swojej kochance? Cóż, nigdy nie wiadomo...

- Jak brzmi nazwisko tej osoby?

- Connor Riordan, Wasza Wysokość.

Cordelia upuściła filiżankę, płamiąc - zapewne w sposób nieodwracalny - drugi z foteli Ludwika XIV

- Ach, Wasza Wysokość! - Green zerwał się na równe nogi.

- Czy mam zawołać służącą?

- Proszę mi wybaczyć - wychrypiała Cordelia, ze zgrozą stwierdzając, że ledwie może mówić. Odchrząknęła, usiłując odzyskać głos. - Chyba bardzo się zmęczyłam i stąd ta niezręczność. Czy moglibyśmy się zobaczyć później?

Green, nieco zaskoczony tą nagłą zmianą nastroju, wymruczał pospiesznie, że się zgadza, i zaraz odszedł.

W głowie Cordelii wirowało od przeróżnych możliwości. Oczekała aż do momentu, gdy nabrała pełnej pewności, że kamerdyner wyprowadził już Greena z domu, a potem niemal biegiem popędziła do dawnego gabinetu starego księcia. Był to zatęchły pokój, którego nie używano od jego śmierci. Cordelia zamierzała spalić wszystkie papierzyska i urządzić tam bawialnię. Mogła sobie teraz pogratulować, że tego nie zrobiła.

Wyciągnęła wszystkie szuflady w biurku i gorączkowo szperała wśród zbutwiałych dokumentów, odkładając je po przejrzeniu.

Spieszyła się tak bardzo, że od potu zwilgotniał jej stanik sukni i włosy. Sama nie była pewna, czego właściwie szuka, lecz...

Wpadł jej w ręce pierwszy testament księcia, sporządzony jeszcze przed śmiercią jego dziedzica pod Waterloo.

„Mojemu najstarszemu synowi, Roarke'owi Connorowi Riordanowi Blackburnowi...”

Osunęła się na kolana. A więc te wszystkie przekłete imiona należały do człowieka, którego znała tylko z pierwszego i ostatniego! Kiedyś go kochała. Teraz zaś żaden inny człowiek nie stanowił dla niej tak wielkiego zagrożenia.

Pułkownik William Pierce nie pamiętał dokładnie, kiedy właściwie kupił sobie abonament do Almacka. Grano tam w karty, tańczono, orkiestra sprawnie wykonywała wdzięczne kadryle, a młode świeże dziewczęta w pięknych, barwnych sukniach sunęły po posadzce w ramionach mężczyzn, którzy na ogół ani młodzi, ani świeży nie byli. W tym świecie panowała jednak reguła, że kiedy pragnęli poślubić dobrze ułożoną młodą pannę, liczyła się nie młodość i uroda, lecz wyłącznie fortuna. Pod ścianami siedziały obwieszane klejnotami matrony w turbanach, na których chwiały się pióra, i śledziły tancerzy, szacując ich trzeźwym okiem. Pod osłoną wachlarzy zawierano układy i zarzucano sieci.

Pierce czuł się tam trochę nieswojo. Nie szukał dla siebie żony. Jego zmarła dwa lata temu. Gra też wcale go nie kusila, żadna damska twarz również. Kobiety wydawały się tu pięknymi ozdobami. Wszystkie uśmiechały się i spoglądały promiennie przed siebie, lecz żadna nie zdradzała szczególnych zalet charakteru. Pierce wprawdzie uznał to spostrzeżenie za nieładne, lecz szybko się z niego rozgrzeszył. Myślami był daleko, przy swojej wiejskiej posiadłości, gdzie tego roku świetnie się polowało, i przy swoim młodym synu, Nicholasie, którego generał-major Munson poradził mu zabrać na londyński sezon. Właśnie rozważał, jakby tu wymknąć się do White'a, żeby się odprężyć przy kieliszku oraz rzucić okiem na gazety, gdy nagle natknął się na sir Henry'ego Tremaine'a.

Było to miłe i całkiem niespodziewane spotkanie. Sir Henry także wyglądał na kogoś, kto z trudem mógł wytrzymać u Almacka i nawet nie potrafił tego ukryć. Pułkownik wiedział, że mógł on opuścić swoją wygodną siedzibę jedynie z powodu córki na wydaniu. Przyjrzał się towarzyszącej mu grupce osób.

Ze zdziwieniem dostrzegł w ich gronie księżnę Dunbrooke zatopioną w rozmowie z przystojną, miłą zaokrągloną niewiastą w purpurowym turbanie. Pierce wiedział, że to żona Tremaine'a. Ciekawe! Cordelia Blackburn była wdową po ostatnim księciu Dunbrooke, Richardzie Blackburnie, hulace, którego spotkał szokujący, choć nie całkiem niespodziewany kres. Był jednak bratem Roarke'a Blackburna, a tego pułkownik niegdyś lubił. Roarke, młodzieniec bystry i prawy, okazał się zręcznym, odważnym żołnierzem, mimo że jego decyzja o wstąpieniu do piechoty była trochę zbyt pochopna. Zginął, jak tyłu innych, pod Waterloo. Pułkownik Pierce szczerze go żałował.

Poczuł, że znudzenie gdzieś znika, a jego miejsce zajmuje pewien rodzaj entuzjazmu. Prawdę mówiąc, bardzo by go ucieszyła pogawędka z sir Henrym. Ruszył więc ku niemu z uśmiechem zadowolenia.

- Och, to ty, Pierce! - stwierdził sir Henry z ulgą i satysfakcją. - Co za miła niespodzianka! Pamiętasz moją żonę? Chciałbym ci też przedstawić księżnę Dunbrooke i moją córkę, Lorelei.

Pułkownik złożył niski ukłon, a wszystkie trzy damy dygnęły uprzejmie. A gdy zwróciły ku niemu twarze, Pierce zakochał się w Lorelei Tremaine od pierwszego wejrzenia. Patrząc jedynie na śmietankową karnację Lorelei, można było stać się poetą czy filozofem. Sznur pereł wydawał się czymś zbędnym i niepotrzebnie przesłaniał jej skórę. Suknia barwy najbledszego błękitu była przetykana srebrną nicią niczym w księżycową zimową noc pełnia, co jedynie podkreślało połysk włosów i oczu. Pierce dostrzegł jednak w spojrzeniu Lorelei cień niepokoju. Coś najwyraźniej martwiło pannę Tremaine i choć mogły to być jedynie zbyt ciasne pantofelki, Pierce uznał ów cień za bardziej interesujący

niż pogodne spojrzenia reszty dziewcząt. A jeszcze bardziej intrygujące było to, że Cordelia Blackburn, czołowa piękność socjety, pojawiła się u boku młodej debutantki.

- Może pan zatańczy z moją córką, pułkowniku? - spytał sir Henry, uwalniając go w ten sposób od konieczności zabrania głosu.

- A potem odprowadzi ją z powrotem do nas.

Gdy Pierce ujął obciążoną rękawiczką dłoń Lorelei, jej matka nieznacznie zmarszczyła brwi. Rozbawiła go ta dezaprobata. Skoro już lady Tremaine miała szczęście wydać na świat taki cud natury, to - rzecz jasna - czuła się w obowiązku wyszukać jej jak najlepszego męża!

Przez chwilę podziwiał z zachwytem pastelowy koloryt panny, która w jego mocnych, żołnierskich ramionach poddała się rytmowi tańca.

- Co panią dzisiejszego wieczoru trapi, panno Tremaine? Drgnęła przestraszona.

- Sądziłam, że pochwali pan najpierw moją suknię, pułkowniku - odparła poważnie, nim się zdążyła zastanowić nad stosowniejszą repliką.

- Cóż by wtedy zostało dla innych młodych dam, które teraz śledzą nas wzrokiem? Pozostawmy im ocenę pani stroju, bo inaczej pod koniec wieczoru będzie pani miała dość takich zachwyków.

Lorelei uśmiechnęła się do niego niepewnie. Pułkownik miał rudawe włosy, lekko posiwiałe na skroniach, a gdy się uśmiechał, w kącikach jego orzechowo-zielonych oczu rysowały się nieznaczne zmarszczki. Choć znacznie młodszy od jej ojca, nie był już młodzieńcem i wcale nie pragnął za niego uchodzić. Matka nie uznałaby go za odpowiedniego konkurenta, Lorelei osądziła więc, że może z nim rozmawiać nieco swobodniej. Zawahała się, lecz potem, mimo że zabroniono jej wspominać o tym komukolwiek choćby słowem (a zakaz ten ciążył jej ogromnie) i ponieważ orzechowe oczy Pierce'a spoglądały na nią tak miło, odparła odruchowo:

- Martwię się losem mojej siostry Rebeki! -

Za nimi jakiś młodzik, wirujący z inną panią po parkiecie, rzucił przypadkowo okiem na Lorelei, wskutek czego nastąpił swej partnerce na nogę, oddał obrąbek sukni i para z trzaskiem wylądowała na ziemi.

Pierce zręcznie odciągnął Lorelei na bok, ale ona wydawała się tak pogrążona w myślach, że niczego nie spostrzegła.

- Pani siostry? - Dobry Boże, czyżby u Tremaine'ow istniała jeszcze jedna tak zjawiskowa piękność?

- Ona... - ciągnęła Lorelei - jest niedysponowana. - I w tej chwili zacisnęła różowe wargi, jakby nie chciała powiedzieć nic więcej, a w błękitnych oczach znów pojawił się niepokój.

Pierce wyobraził sobie najrozmaitsze kłopoty, jakie mogły trapić młodą dziewczynę - od kataru po niechcianą ciążę - i zmusić ją do pozostania w domu. Usiłował jednak ukryć swoją ciekawość.

- A pani nie chce o tym mówić? - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- A ja nie chcę o tym mówić - zgodziła się z nim Lorelei.

- Znalazła się tu pani, żeby wyjść za księcia czy hrabiego... -I znów było to raczej stwierdzenie.

- Albo wicehrabiego - dodała Lorelei - jeśli znajdę jakiegoś.

- Zrobię wszystko, by pani w tym pomóc - odparł z całą powagą, lecz i z błyskiem w oku
- jeżeli choć trochę ulży to pani strapieniu. W tym sezonie mamy tu wspaniały wybór hrabiów i wicehrabiów.

Lorelei odruchowo roześmiała się, przy czym jej oczy rozbłysły jak dwie wielkie błękitne lampy, co zachwyciło pułkownika i z nawiązką wynagrodziło mu brak doskonałych polowań, za którymi tak tęsknił.

10

Connor z wielkim zadowoleniem stwierdził, że lombard Augustusa Mereditha dzieli od zajazdu Pod Ciernistą Różą najwyżej pięćdziesiąt kroków - było to jedyne miejsce w mieście, gdzie można było szukać ratunku po przeputaniu w karty miesięcznego wynagrodzenia. W takiej sytuacji niefortunny gracz wymieniał tam na garść monet najlepszą zastawę żony albo niedzielny płaszcz lub też - jeśli znalazł się w naprawdę rozpaczliwym położeniu ~ koński rząd. Connor przypominał sobie, że wieśniacy z okolic Keighley Park często mówili o właścicielu lombardu z mieszaniną wdzięczności i niechęci.

Było jeszcze bardzo wcześnie, ale Meredith otworzył już swój zakład. Na wystawie leżały różne przedmioty: talerze i porcelanowe kubki otaczały kręgiem spory kociołek, kilka książek położono na solidnym krześle, a podniszczony, ale zdolny do użytku muszkiet stał oparty o ścianę. Dobrze byłoby nabyć tę broń w rozsądnej cenie. Mógłby wówczas upolować coś na obiad, kiedy już znajdą się w Szkocji. Pistolet był w takim przypadku bezużyteczny. Connor uśmiechnął się lekko, gdy dostrzegł, że jedną z książek jest bardzo znany Zielnik doktora Mayalla - ilustrowany rycinami różnych leczniczych roślin i zawierający wiele pożytecznych recept. Znalazł dokładnie to, czego szukał. Na progu jednak się zawahał. Przekonał Reбекę, żeby pospała nieco dłużej. Wręczyła mu medalion z dziwną niechęcią, choć upomniął ją łagodnie, że skradła ten przedmiot, by mieli za co kupić sobie żywność. W końcu zdołał ją przekonać, że najlepiej postąpi, jeśli mu go odda.

Jednak z wielu powodów Connor czuł się teraz jak ostatni nędznik. Dokuczała mu zwłaszcza świadomość, że Marianne Bell pośrednio pomaga „najdroższemu Roarke'owi" uciec z inną dziewczyną. Stanowczo poczuł się dużo pewniej, gdy wreszcie medalion znalazł się w jego kieszeni. Zamierzał rozpocząć nowe życie, a ten klejnot mu w tym zawadzał.

Augustus Meredith parzył sobie na zapleczu poranną herbatę. Wyrzwał stamtąd pospiesznie na dźwięk dzwonka i natychmiast przybrał stosowny dla właściciela lombardu wyraz twarzy, na wpół życzliwy, na wpół protekcyjny. Już otwierał usta, by pozdrowić gościa, lecz najpierw rzucił na niego okiem. Natychmiast wyprostował się i wypiął pierś.

- Dzień dobry. Czym mogę panu pomóc, sir? Zaskoczyło to Connora. W lombardzie rzadko można było spotkać się z uprzejmością.

- Dzień dobry. Zapewne mówię z panem Meredithem?

- We własnej osobie - wycedził dość wyniośle jego rozmówca.

- Naprawdę może mi pan pomóc. - Connor nawiązał do jego powitania. - Chciałem wymienić to - wyciągnął dłoń, ukazując medalion - na coś innego. Na przykład na ten

muszkiet i trochę garnków. Jadę do ciotki w Szkocji, a obiecałem bratankowi, że się po drodze gdzieś zatrzymamy, żeby zapolować. Niestety wziąłem ze sobą niewiele pieniędzy. Mam nadzieję, że mogę sobie wybrać parę rzeczy w zamian, co by mi pozwoliło zbilansować rachunki.

Meredithowi niemal oczy wyszły z głowy na widok medalionu. Odchrząknął.

- Jest ze złota?

- Oczywiście - odparł chłodno Connor. - Chce mu się pan przyjrzeć?

Meredith skwapliwie sięgnął po błyszczące cacko i fachowym ruchem przesunął palcem po brzegu, żeby je otworzyć. Przyglądał się przez chwilę miniaturze z dyskretnym uśmiechem.

- Och, jakże ta dama jest podobna do księżnej Dunbrooke, nie sądzi pan?

Connor spozjrzał na niego ze zdumieniem. Księżna Dunbrooke? Ostatnią, o jakiej słyszał, była jego matka.

- Przepraszam... do kogo?

- Do księżnej Dunbrooke - powtórzył Meredith z pewnością siebie. - Och, to na pewno ona. Piękna jak królowa wróżek! Była tutaj z księciem przeszło rok temu i dobrze się jej wtedy przyjrzałem, moja żona także. Mówiono, że przyjechali wizytować posiadłość, a był najwyższy czas, bo strasznie ją zaniedbano. A księżę nędznie potem zginął, nie ma co. Podobno zbójcy go napadli i zamordowali.

Connor poczuł niemiły zawrót głowy.

- Zamor... o czym pan...

- O, proszę spojrzeć, tu jest jakiś napis. Niech no tylko włożę okulary...

Connor niemal wyrwał mu z ręki medalion i natychmiast go zatrzasnął. Meredith spozjrzał na niego zaskoczony, mrużąc oczy. Właściciel lombardu spostrzegł, że Connor zbladł. Jego pucołowata twarz złagodniała.

- Zmienił pan zdanie, sir? Nie mam pretensji. To pewnie rodzinna pamiątka?

Connor gorączkowo szukał odpowiedzi, lecz z jego ust wydobyło się tylko głuche stęknienie.

- Podobny pan z postawy do starego księcia. Tak samo był wysoki, czarnowłosy i z kanciastym podbródkiem. Pewnie pan jest zubożałym kuzynem, prawda?

Connor odetchnął głęboko.

- Tak, zmieniłem zamiar - odparł, odzyskując głos. - Zapłacę gotówką. Zaczniemy od tego Zielnika z wystawy.

Meredith był nieco zaskoczony przemianą miłej pogawędki w chłodną transakcję, lecz spełnił jego prośbę.

Gdy Connor jakieś pół godziny później wyszedł stamtąd z naręczem różnych rzeczy i niemal pustymi kieszeniami, zaśmiał się nerwowo.

Marianne Bell, jego kochanka, została księżną Dunbrooke! Jak to możliwe? A Richard, młodszy brat, rywal i sprzymierzeniec w jednej osobie, niewinny chłopiec, który później przeobraził się w hulakę z piekła rodem, padł ofiarą mordu.

Był tak pochłonięty własnymi myślami, że nie usłyszał kroków za sobą.

- Nic się nie zmieniło łobuzie jeden, ale miło mi cię widzieć. Myślałem, żeś kitę odwalił!

Connor odwrócił się gwałtownie. Za nim stał mężczyzna o śniadej cerze, zielonych oczach i potężnym; bulwiastym nosie. W jego spojrzeniu malowała się zarówno serdeczność, jak i radość ze spotkania. Z jego ramienia zwisał parciany worek.

- Raphael Heron! - zawołał radośnie Connor. - Na psa urok! Kogo ja widzę!

Raphael Heron wybuchnął śmiechem i porwał go w ramiona. Wewnątrz worka coś brzęknęło. Gdy Raphael wypuścił go z uścisku, który o mało nie pogruchotał mu żeber, Connor spojrzął na worek z rozbawieniem. Raphael był Cyganem, naczelnikiem niezbyt licznego taboru, który w czasach jego dzieciństwa często obozował na skraju ziem Dunbrooke'ow, i kierował się tylko jedną moralną wskazówką: dla dobra współplemieńców wszystko było właściwe, łącznie z kłamstwem, kradzieżą i oszustwem. W rezultacie i Raphael, i członkowie taboru łgali jak z nut, kradli i nabierali ludzi, ile się dało. W worku z pewnością znajdowały się jakieś zwędzone przez nich lichtarze i srebrne talerze, które Raphael zamierzał spieniężyć u Mereditha.

W jakiś dziwny, osobliwy sposób prostota cygańskiej moralności sprawiła, że Connor począł uważać Raphaela za najuczciwszego ze znanych mu ludzi. Raphael zaś rewanżował mu się niezachwianą lojalnością, odkąd Connor, przyłapawszy go z zajęciem upolowanym w ojcowskich włościach, obiecał, że nie doniesie o tym nikomu, jeśli Cygan nauczy go, w jaki sposób złapać zająca za pomocą dwóch psów i sieci. Z początku uważał ich znajomość za rodzaj cichego buntu przeciw ojcu. Potem uznał, że cierpki humor Raphaela, ukryta mądrość, a nawet drobne kradzieże mają nieodparty urok. I nieoczekiwanie zostali najlepszymi przyjaciółmi.

- Pewnie masz co opowiadać - zaczął Raphael - bo słyszałem, że nie żyjesz!

- Owszem, mam, ale tylko jedna osoba wie, że Roarke Blackburn nie zginął pod Waterloo. I wolę, żeby tak zostało.

Raphael uniósł brwi i przypatrywał mu się uważnie przez dłuższą chwilę. W końcu doszedł do jakiegoś jemu tylko znanego wniosku i z uznaniem kiwnął głową.

- Roarke Blackburn? Znałem kogoś takiego, ale zginął pod Waterloo. Niech mu ziemia lekka będzie - odparł, dając do zrozumienia, że akceptuje jego fortel.⁶³

- Właśnie. - Connorowi ulżyło, choć i tak wiedział, że może Cyganowi ufać. - Szkoda go. Raphael uśmiechnął się kątem warg.

- Masz rację, skoro tak powiadasz. Powiedz mi tylko, jak się teraz nazywasz i czy chcesz obgadać wszystko przy kufelku?

- Na imię mi Connor. Nic by mnie bardziej nie ucieszyło od pogawędki, ale teraz podróżuję z kimś i nie mogę tu dłużej zostać.

- Dobrze. Opowiesz kiedy indziej. Skądinąd nigdy nie wyglądałeś lepiej, choć i tak z twarzy przypominasz psa!

Connor i Raphael zawsze lubili docinać sobie wzajemnie żartem, jak ludzie, którzy się naprawdę lubią.

- Dziwne, ale z ust mi to wyjąłeś, Raphaelu. A poza tym... nigdy nie byłem szczęśliwszy. Connor nagle zdał sobie sprawę, że mówi szczerą prawdę. Jak to możliwe? Napadli go zbójcy, była kochanka wyszła za jego brata, którego zamordowano, miał pustki w kieszeni...

- A, rozumiem - stwierdził Raphael. - To z powodu kobiety.

- Nie chodzi o żadną kobietę - sarknął z irytacją Connor.

- A z kim podróżujesz? - Raphael uśmiechnął się porozumiewawczo.

Connor szybko zmienił temat.

- Rozmawiałeś może z wieśniakami? Z Pickeringami, Brownami?

Raphael zeszytywniał nagle i spojrzął na niego podejrzliwie, całkiem jakby żałował, że Connor go o coś takiego pyta.

- Ach, odkąd twój brat zmarł, a prawdę mówiąc jeszcze wcześniej, majątek podupadł. Nikt o niego nie dba. Ludzie biedują. Młodego Pickeringa powiesili za kradzież świni. Jego rodzina nie miała co do gęby włożyć.

Connor spurpurowiał. Były to ostrożnie, dyplomatycznie dobrane słowa, lecz przygnębiły go mimo wszystko. A co więcej, Raphael dobrze wiedział, że sprawią mu przykrość, odwrócił więc wzrok, chcąc oszczędzić jego dumę. Domyślał się, że będzie mu wstyd. Connor milczał przez chwilę. Wieśniacy życzliwie go traktowali, gdy jako młody panicz jeździł po wsi na koniu wartym więcej pieniędzy, niż widzieli w całym swoim życiu. Kołysał ich dzieci na kolanach, jadał razem z nimi, rozmawiał o hodowli owiec, o nawadnianiu gruntów. To nie moja wina, powtarzał sobie, że Richard okazał się do niczego jako dziedzic. To nie moja wina, że zginął. To nie moja wina, że młodego Pickeringa spotkał nędzny koniec. Kiedy popłynę do Ameryki, wszystko to stanie się wkrótce tylko złym wspomnieniem.

Jednak w wyobraźni ujrzał wielki domostwo rozsypujące się w gruzy po utracie zwornika w sklepieniu. Przecież tak niewiele tu znaczyłem, pomyślał znowu. Odchrząknął, przerywając ciszę, jaka zaległa między nimi.

- Co masz w worku? - spytał. Wiedział, że to tylko marny wykręt, lecz jego duma zwyciężyła.

Raphael potrząsnął brzęczącą zawartością.

- Och, trochę tego i owego - odparł bez troski. - Nikt tych rzeczy nie pilnował, więc pewnie nie były potrzebne.

Connora zdumiewał brak najślabszych choćby wyrzutów sumienia.

- Możesz za nie sporo dostać. Meredith zna się na handlu. Spójrz tylko, jaki wspaniały Zielnik mi sprzedał. - I pokazał Cyganowi książkę.

Raphael zaśmiał się i po raz wtóry zamknął go w potężnym uścisku, tym razem na pożegnanie.

- Jakbyś podczas podróży znalazł się w potrzebie, to mnie znajdź. Wiesz chyba, jak? Znaczymy naszą drogę kamieniami i gałęziami. Niedługo wybierzemy się na koński targ w Cambridge. Będziemy tam sprzedawać konie, wróżyć i tak dalej.

- Dziękuję, przyjacielu. Z Bogiem. I nie przejmuj się tym, że masz taki ogromny nos! Raphael obejrzał się za nim z uśmiechem, wchodząc do lombardu. Zawartość worka jeszcze raz brzęknęła, jakby wtórując słowom Connora.

Pola pachniały świeżością w popołudniowym słońcu, które grzało Rebekę w plecy. Czowała, jakby między jej łopatkami spoczywała jakaś dobrotliwa wielka dłoń. Z oddali stada owiec przypominały białe grzywiaste fale na szmaragdowym morzu. Wśród liści głośno świergotał jakiś ptak.

Niemal uśpił ją regularny tętent obydwu koni, jej i Connora. Mimo że była pokryta pyłem (mycie w oberży niewiele pomogło) i przeszkadzały jej włosy, niewygodnie upchane pod czapką, a także nękało zmęczenie, nie przypominała sobie, by kiedykolwiek była szczęśliwsza. Jechała w piękny czerwcowy dzień na gniadej klaczy z białą gwiazdką między oczami (nieważne, że przedtem należała do rozbójników), a obok niej klusował Connor Riordan.

Connor wrócił do oberży Pod Ciernistą Różą z medalionem i prezentem dla Rebeki, którym okazał się Zielnik. Wręczył jej książkę uroczyście i trochę nieśmiało, lecz gdy na nią patrzył, w jego oczach tańczyły wesołe iskierki.

Rebeka oniemiała. A więc pamiętał o jej osiemnastych urodzinach! Jeszcze nigdy dotąd nie dostała prezentu, który tak bardzo pasowałby do jej upodobań, a nawet wręcz je podkreślał. Prezenty od rodziców zawsze kryły w sobie lekki wyrzut: były to nici do haftu lub zbiór reguł dobrego wychowania, w ten sposób wyraźnie dawali do zrozumienia, czego się po niej spodziewają.

Gdy wzięła do ręki książkę, coś ścisnęło ją w gardle. Objęła Connora, mając nadzieję, że nie zauważy jej wzruszenia. Zawahał się na chwilę przed uściskiem, który - co również zauważyła - trwał nieco dłużej niż poprzedni. Kiedy ją w końcu puścił, nie patrzył jej w oczy.

O tak, dzisiaj życie wydawało się jej cudowne, ponadto czuła się zbyt zmęczona - a także zbyt spokojna - by nękały ją wyrzuty sumienia. Nie tęskniła za rodzicami, którzy nie wahali się skazać ją na okropne małżeństwo z Edelstonem.

Natomiast Connor, wpatrzony w smukłą sylwetkę Rebeki na koniu, podróżował w znacznie gorszym nastroju. Z powodu gorąca podwinął rękawy koszuli, lecz na drodze nie było nikogo, kto zgorszyłby się tym uchybieniem wobec etykiety.

Trzymał na kolanach na wpół odbezpieczony nowy muszkiet. Wciąż jeszcze znajdowali się w granicach posiadłości Dunbrooke'ów, toteż wołał być czujny. Czuł się jak ktoś, kto zbliża się ukradkiem do otwartych drzwi więzienia, licząc, że nikt go nie zauważy. Przydrożne drzewa wydawały mu się prętami klatki.

Thukły mu się po głowie jeszcze inne, niepokojące myśli.

Jeśli gadatliwy Augustus Meredith mówił prawdę, to Richarda zamordowano, a była kochanka Connora jest obecnie owdowiałą księżną Dunbrooke i jedyną dziedziczką rodowej fortuny. Niewątpliwie o niej właśnie wspominali obydwaj bandyci. Jeśli było się kiedyś aktorką imieniem Marianne Bell, z pewnością należało dołożyć wszelkich starań, by ukryć przed socjetą świadectwo kłopotliwej tożsamości, czyli medalion. Wszystko to w sposób przerażający pasowało do siebie, chociaż pozostawało zagadką, skąd Marianne Bell się dowiedziała, że właśnie Rebeka Tremaine skradła to cacko. Bez wątpienia trop wiódł do Edelstona.

Jeśli rację miał Raphael Heron, wieśniacy z okolic Keighley Park ucierpieli dotkliwie wskutek tego, że księżną Dunbrooke została Marianne. Connor sam nie wiedział, co powinien zrobić, jednakże wcale mu się to nie podobało, a nawet go dotkliwie nękało. Była też taka możliwość, że odkąd opuścili oberżę Pod Ciernistą Różą, ktoś ich ściga. Dwa obłoczki kurzu wzniecone przez końskie kopyta nietrudno dostrzec. Przypomnił sobie tęgich prostaków, którzy podejrzliwie mierzyli go wzrokiem, kiedy wczoraj wieczorem wszedł do oberży. Nie mógł być pewien, że nie mają wobec nich złych zamiarów.

Ponadto szczerze pragnąłby w tej chwili ściągnąć Rebeke z konia, zamknąć ją w uścisku, zerwać jej czapkę, zanurzyć palce w rudych włosach i...

- Znów się spotykamy!

Niech to diabli! Obydwaj opryszkowie, z jakimi już zetknął się poprzedniej nocy, wyjechali nagle na koniach zza drzew, wymierzając po dwa pistolety w niego i w Rebeke. Nie mieli teraz chustek na twarzach, Connor i tak widział ich w świetle księżyca. Zaklął w duchu i rozejrzał się naokoło. Napastnicy czatowali wcześniej za gęstą kępą brzoź. Nic im teraz nie mógł zrobić, co tylko zwiększyło jego wściekłość. Zgubiła go arogancja. Nie przypuszczał, że ośmielią się ponownie zaatakować po upokorzeniu, ja-

kiego doznali. Zasłużyłem, żeby mnie powieszono na suchej gałęzi, pomyślał, za to, że pozwoliłem im zagrozić pistoletem Rebecce.

- Ned! - zawołał.

Zrozumiała: ma się nie ruszać i milczeć. Usłyszała go, z rękami na łąku siodła.

- Ładne koniki - zauważył John z odcieniem irytacji w głosie - ale niedługo będziecie się nimi cieszyli. A jeśli sięgniesz po muszkiet albo wyciągniesz z buta pistolet, zastrzelimy ciebie i chłopaka. Może jego najpierw, a ciebie potem. Jesteśmy wam coś dłużni, Edgar i ja. A teraz łapy do góry, obydwaj!

Connor powoli i niechętnie uniół ręce, patrząc z gniewem, lecz bez słowa, jak Rebeka robi to samo. Dosłyszał jednak zbliżający się tętent koni, ktoś pędził ku nim galopem. Chwilę później zrównali się z nimi dwaj jeźdźcy. Ci również, co nikogo nie zdziwiło, byli uzbrojeni w pistolety. Bandyci spojrzeli na nich ze zdumieniem, nie wiedząc, w kogo najpierw mają celować.

- Kim, u diabła, jesteście? - spytał w końcu z jawnym zgorznięciem John.

- To nasze konie! - wrzasnął jeden z przybyszów, wskazując na wierzchowca Connora, który rozpoznał w nim jednego z prostaków przyglądających się im w oberży.

Ciastowatą gębę okalały niechlujne bokobrody, tłuste włosy spadały na ramiona. Jego kompan wyglądał podobnie. Connor przezwiał ich w duchu braćmi smoluchami.

- Oddajcie konie, które nam ukradliście! - ryknął pierwszy, celując w Connora, który w odpowiedzi chwycił za muszkiet.

John i Edgar cofnęli się nieco i z kolei wymierzili w niego broń z jeszcze większą zaciekłością, jeśli to było w ogóle możliwe.

Niechlujny grubas, czując, że wypadł z gry, wycelował w Rebeckę, której dłonie były puste. I tym razem nie miała czym odeprzeć ataku.

Przez chwilę trwała cisza, póki koń Connora nie parsknął donośnie, jakby z obrzydzeniem. John i Edgar porozumieli się wzrokiem. Connor z pewnym rozbawieniem pojął, że bandyci zwędzili poprzednio konie obydwu prostakom, którzy - jak podejrzewał - ukradli je też komuś innemu. Rzadko się zdarza, by jeden przestępca chciał wymierzać sprawiedliwość drugiemu.

Pierwszy odezwał się John, bardziej wygadany z bandytów.

- Rozumiemy waszą urazę, panowie - zwrócił się do grubego smolucha, który ciągle nie mógł podjąć decyzji, kogo ma wziąć na muszkę - i chcielibyśmy się z wami ułożyć.

Mamy interes do tych...- urwał, głowiąc się nad odpowiednim epitetem, który pasowałby i do Connora, i do Rebeci, lecz że nie znalazł żadnego, ciągnął dalej: - ...typków, co nie zajmie nam wiele czasu. Bylibyśmy radzi, gdybyście mieli ich na oku, kiedy... będziemy robić swoje. Potem będziecie mogli wziąć sobie ich konie. Obiecuję. W porządku?

Prostacy naradzali się szeptem między sobą, wreszcie pierwszy z nich przemówił:

- Zgoda. Załatwcie to szybko.

Po tych słowach wszystkie lufy zwróciły się ku Connorowi i Rebecce.

- Tylko się rusz - rzekł John z uśmiechem, który odsłonił szczerbę w jego przednich zębach - a Ned padnie trupem.

Connor uśmiechnął się półgębkiem. W duchu układał sobie plan działania.

- Uważajcie na niego, to diabeł wcielony - ostrzegł John prostaków. - A teraz, Ned - zwrócił się do Rebeci - złaż z kradzionego konika i pozwól Edgarowi zajrzeć do twoich klarnetów. Jeśli niczego tam nie znajdziemy, obszukamy ciebie. Chyba że nam od razu oddasz medalion i będzie po wszystkim.

Rebeka spojrzała na Connora. Widząc broń skierowaną na nich, skinął głową, zsunęła się więc z konia. John zatknął jeden z pistoletów za pas i podszedł, przystawiając drugi, trzymany w owłosionej łapie, do jej skroni. Na ten widok Connorowi zaszumiało w uszach.

Edgar również zsiadł z konia, zmierzając ku tobołkowi przytroczonemu do grzbietu klaczy Rebeki. Connor patrzył jednak na Johna, który jakby nieuważnie przesunął rękę po stroju Rebeki. Dostrzegł nagłą zmianę w wyrazie na jego twarzy: zaskoczenie, zdumienie, a wreszcie lubieżną uciechę. Była to reakcja mężczyzny, który nagle i niespodziewanie natrafił na kobiece piersi.

- Oj, masz tu coś dziwnego, chłopcze - wycedził. Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu. - Hejże, coś mi się zdaje, że Ned ma cycki. To nie chłopak, to dziewczyna! Ręka Johna przesunęła się po ciele Rebeki, wreszcie triumfalnie zatrzymała się na gorsie. Dłoń, w której trzymał pistolet, musnęła jej czapkę.

Włosy Rebeki rozsypały się na ramiona nieoczekiwanie, lśniące w popołudniowym słońcu. Zapadła cisza. Wszyscy mężczyźni, jak zaczarowani, gapili się na nią.

Gruby smoluch podjechał do Connora.

- Ja bym się z nią zabawił - mruknął do Johna. - A potem wy po kolei, rzecz jasna. Gniew targnął Connorem. W tej jednej sekundzie z przeraźliwą wyrazistością widział twarze mężczyzn, lufy pistoletów i włosy Rebeki lekko poruszone wiatrem. Twarz dziewczyny pobladła, jej oczy błyszczały. Napotkała wzrok Connora - wściekłość malująca się w jego spojrzeniu złączyła się z jej wściekłością - i zrozumiała polecenie.

- A teraz - wycedził John - skoro mogłeś nas ocyganić co do dziewczyny, to pewnie łągałeś też, że nie masz medalionu. Zajrzę ci teraz pod koszulę... Ned.

Wsunął łapsko między jej piersi i drgnął zaskoczony, natrafiając na metal.

- Hej, to chyba...

Rebeka nagle osunęła się na niego, udając zemdlenie, a Connor uderzył muszkietem w głowę grubego smolucha, który spadł z konia bez przytomności, zawisając na uprzęży.

Rebeka z przysiadu rąbnęła z całej siły Johna w szczękę, a kiedy w szoku rozluźnił chwyt, wyrwała mu się i pięścią zadała cios prosto w pachwinę. Connor, w przyływie nadludzkich sił, jakie wzbudziła w nim furia, zrzucił z konia drugiego prostaka.

Koń niespiesznie przebierał nogami, podrzucając zadem, jakby chciał strząsnąć z siebie gza. Prostak nie ruszał się, lecz Connor zdawał sobie sprawę, że lada chwila może oprzytomnieć. Uniósł muszkiet, który na szczęście nie ucierpiał, i zwrócił go ku Edgarowi; ten, zdezorientowany ogólnym chaosem, nie mógł się zdecydować, do kogo ma strzelać.

Rebeka podniosła z ziemi pistolet upuszczony przez Johna, który - zgięty w pół - rzeził chrapliwie, i postanowiła skończyć z całym tym kramem, kopiąc go od tyłu pod kolanem.

John zwałił się na ziemię jak kłoda. Leżał skulony, z rękami między nogami, jęcząc przeraźliwie. Rebeka, marszcząc nos z obrzydzenia, wyszarpnęła mu drugi pistolet zza pasa.

- Czy mam go zabić? - spytał ją Connor. Udała, że się nad tym namyśla.

- Chyba jeszcze nie teraz.

- Och... dobry Boże... - wystękał John.

- Hej, Edgar - powiedział całkiem trzeźwo Connor - pamiętasz, że jestem dobrym strzelcem, prawda? Rzuć na ziemię pistolet i kopnij go do Neda.

Edgar zrobił, co mu kazano. Rebeka posłusznie podniosła broń.

- Jakby pan dał nam ten medalion... — stęknął z rozpaczą Edgar.

- Przecież już wam tłumaczyłem, że go nie mamy - odparł Connor z idealnym akcentem. Znów odezwał się w nim wielki pan.

- Oj, bratku, przedtem mówiłeś, że to nie dziewczyna, a John przed chwilą...

Connor uśmiechnął się i jak ostrzem szabli przeciął w pół to zdanie.

- Mów, kto was nastął.

Sądził, że jednak dobrze wie, o kogo tu chodzi. Była to niewątpliwie Marianne Bell, obecnie księżna Dunbrooke. Prędzej znajdzie się w piekle, nim położy swoją śliczną rączkę na kompromitującym przedmiocie!

Za nimi skrzypnęło siodło: to drugi z prostaków, ten, który zawisł na końskim rzędzie, wracał do przytomności. Po białej jak kreda twarzy Edgara spływał pot.

- Przecież już mówiliśmy. Jej Wysokość. Możesz mnie zastrzelić, nic więcej nie wiem.

Connor przez chwilę zwlekał z odpowiedzią, by Edgar mógł dobrze przyjrzeć się muszkietowi wymierzonemu prosto w jego głowę.

- A czemu Jej Wysokość chce mnie pozbawić życia?

- Wcale nie mieliśmy was zabijać, tylko odebrać medalion.

Rozciągnięty na ziemi John jęknął z rozpacz. Dreszcz przebiegł Connorowi po krzyżach. Och Matko Boża, pomyślał, choć wcale nie był katolikiem. Jaką farsą stało się jego życie! Marianne Bell zdołała się jakoś dowiedzieć, że Roarke Blackburn, znany również jako Connor Riordan, podróżował z dziewczyną, która skradła medalion. A co mieli robić bandyci po odzyskaniu medalionu? Bez wątplenia zamordować go, bo żywy Connor zagrażał wszystkiemu, co Marianne zdobyła podstępem. Widział to z przeraźliwą jasnością. Teraz zrozumiał, że śmierć Richarda nie była przypadkowa.

Szmer za plecami i skrzypienie skórzanego siodła oznajmiły mu, że drugi z prostaków zdołał podnieść się z ziemi, chwytając za uprzęż.

- Skacz na konia, Ned! - zawołał.

Rebeka zatknęła za pas jeden ze świeżo zdobytych pistoletów, a Connor omal się nie uśmiechnął, gdy schyliła się po pozostałe trzy, zastanawiając się, gdzie je schować.

Potem, dostrzegłszy ponaglenie w jego oczach, pospiesznie wcisnęła broń do tobołka na grzbiecie klaczy. Sięgnęła też po swoją czapkę i nałożyła ją na głowę, choć teraz włosy spływały spod niej, błyszczące i piękne.

- Następnym razem, panowie - rzekł Connor takim tonem, jakby zapraszał proboszcza na herbatkę - zabiję was; zadam wam śmierć tak powolną i bolesną, jak tylko zdołam. Mam dość tej zabawy. Zechciejcie przekazać moje pozdrowienia Jej Wysokości oraz Hutchinsowi i powiedzcie im, że radzę, by dali sobie spokój z pościgiem. Zegnam! I uchylił kapelusza. John zaczął niezdarnie pełznąć po ziemi, Edgar oblał się potem z przerażenia.

Connor zrównał się z wierzchowcem Rebeki.

- Musimy uciekać! - syknął jej do ucha.

Widział, że bladeść nie znikła z jej twarzy. Uśmiechnął się więc do niej uspokajająco.

Rebeka odwzajemniła mu radosnym uśmiechem, nie całkiem stosownym w tych okolicznościach.

- Teraz! - szepnął.

Energicznie uderzyli konie piętami i ruszyli w chwili, gdy pierwszy z prostaków zdołał wskoczyć na siodło. Jednak wkrótce usłyszeli za sobą tętent kopyt. Connor obejrzał się

przez ramię i zobaczył, że prostak pędzi za nimi, wymachując pistoletem. Słońce połyskiwało na lufie. Najwyraźniej ów gbur zapragnął zmyć krwią własne upokorzenie. Connor zaklął, zwalniając nieco, tak by Rebeka mogła wysunąć się naprzód. Nie miał wyboru: musiał strzelić. Uniósł muszkiet i wycelował.

Było jednak za późno. Poczul uderzenie w rękę, która zaraz zaczęła drętwieć. Schylił głowę i jak we śnie patrzył na krew przesiąkającą przez koszulę. Dostałem, pomyślał. Ten przeklęty smoluch mnie trafił!

Wypalił, a potem dostrzegł, niemal z rozpaczą, że prostak pochyla się w siodle z ręką przyciśniętą do piersi, zaś jego koń zatrzymuje się i rży. A już myślał, że nigdy więcej nikogo nie pozbawi życia! Przeklął swoje idealistyczne rojenia, wpatrzony w powiększający się czerwony krąg na ramieniu. Wkrótce nadejdzie ból. Wiedział o tym. Ale ten ból będzie oznaczał, że ma szczęście, bo wciąż jeszcze żyje.

Daleko za nimi na drodze rósł obłoczek kurzu. To ścigali ich pozostali. Ale Connor dobrze znał okolicę. Wiedział też, dokąd zmierza. Jeśli tylko nie straci przytomności, zdoła zapewnić Rebecę bezpieczeństwo, a tamci nigdy ich nie odnajdą.

- Rebeko! - krzyknął.

Obejrzała się przez ramię. Przepuściła go pierwszego, a Connor nagłym ruchem skręcił w prawo. Porzucili drogę i przesadzali teraz niskie płoty, zapuszczając się między gęste kępy drzew. Smagały ich gałęzie, konie spływały potem. Connor usiłował przypomnieć sobie, dokąd prowadzi ścieżka wijąca się przez porośniętą dzwonekami łąkę. Za łąką rozpościerała się wąska stroma dolina, która wiodła prosto w coraz mroczniejszy las.

Po chwili, która zdawała się wiecznością, dotarli do myśliwskiego domku. Ojciec rzadko robił użytek z tego szałasu ukrytego w głębi lasu. Connor był pewien, że przetrwał we względnie dobrym stanie. Osadził konia w miejscu. Zsiadł i zdjął bagaż, posługując się zdrową ręką. Przez moment patrzył błędnym wzrokiem na chatkę, jakby próbując sobie przypomnieć, gdzie się właściwie znalazł.

Rebeka zatrzymała klacz tuż przy nim i zeskoczyła na ziemię. Zachwiała się, lecz zaraz stanęła pewnie na nogach. Rozejrzała się naokoło i już chciała się uśmiechnąć, gdy coś w wyrazie twarzy Connora ją pohamowało.

- Co ci jest? - spytała zaniepokojona, a potem dojrzała zakrwawione ramię.

Zaszumiało mu w uszach. Położył dłoń na drzwiach i pchnął je. Spojrzał na Rebekę.

Światło lśniło na jej włosach, otaczając głowę miękką aureolą. Zgubiła czapkę.

- Rebeko... - Usiłował się odezwać, lecz nie usłyszał już własnego głosu. A potem zapadł w ciemność.

11

Rebeka, jakby to było zaklęcie, powtarzała nad nim szeptem: - O Boże, o Boże, o Boże... Głowa Connora spoczywała bezwładnie na deskach podłogi. Był nieprzytomny, lecz oddychał. Poczula, że ogarnia ją panika.

Niestosowna dla kobiety wiedza Rebeki o ranach postrzałowych i amputacjach była dość rozległa. Błądziły jej po głowie takie słowa, jak „bandaże”, „ropienie”, „przepełowanie” i „opium” wraz z innymi terminami zaczerpniętymi z ojcowskich pism. Usiłowała je jakoś uporządkować, bo ich potrzebowała.

Nabrała głęboko powietrza, żeby się uspokoić, i przycisnęła dwa palce do szyi Connora. Wyczuła puls, wprawdzie trochę za szybki, ale mocny i regularny. Przymknęła z ulgą oczy. Oznaczało to, że nie stracił zbyt dużo krwi. Słyszała własny, głośny i urywany oddech, gdy z wielkim trudem usiłowała rozpiąć jego koszulę. Jakże nedorzeczne wydały się jej te wszystkie guziki! W końcu poobrywała je, zamiast rozpiąć, tak że niczym szrapnele rozprysnęły się po całym pomieszczeniu.

Próbowała go trochę unieść, aby ściągnąć z niego koszulę, lecz nie zdołała tego zrobić: był niezwykle ciężki, a bezładność pogrążonego w nieświadomości ciała stawiała taki sam opór, jak jego waga. Poczowała, że ogarniają irracjonalna wściekłość. Szarpnięciem rozerwała szwy przy rękawach, po czym już mogła je szybko podwinąć. Była wzburzona tym, że przez całą drogę krwawił, byle tylko jej zapewnić bezpieczeństwo. Po raz pierwszy w życiu na własne oczy ujrzała ranę postrzałową - małą, ohydny, czerwony krater w gładkim, twardym mięśniu - która z miejsca stała się jej śmiertelnym wrogiem, nad jakim z całej siły pragnęła odnieść zwycięstwo. Krew przestawała się już sączyć i krzepła na powierzchni. Rebeka ostrożnie dotknęła brzegu rany. Wyczuła w środku kulę. Tkwiła tuż pod skórą, co oznaczało, że może uda się ją wyjąć.

Woda! Gdzie się podziała flaszka z wodą? Zaczęła szybko i metodycznie wyciągać z bagażu Connora różne rzeczy: mały nożyk w pochewce, igły, nici, kłębek sznurka, krzesiwo, świece, owinięte w tkaninę zgrzebło, a także pakunek, w który zawinięto kilka pasztetów z oberży Pod Ciernistą Różą. Wszystko to dowodziło, że Connor umiał przewidywać i planować, co zresztą było dla niej oczywiste. Nie znalazła jednak flaszki, jedynie starannie złożony piękny, brązowy surdut. Miała go właśnie wyciągnąć, gdy natrafiła na jakiś ciężki, twardy przedmiot. Och, gdyby to była flaszka!

Znalazła ją w kieszeni. Gdy ją wyjmowała razem z butelką, coś wypadło: miękki pukiel jej włosów. Zdumiała się przez moment, dziwnie wytrącona z równowagi. Wszystkie rzeczy leżały przed nią na podłodze, niby słowa w obcym języku, którego dopiero zaczynała się uczyć, a rudy kosmyk włosów kończył je niby kropka. Słowa układały się w historię, której część już знаła. Czuła, jak stają się coraz jaśniejsze i dobitniejsze. Nie miała jednak czasu na zastanawianie się. Chwyciła flaszkę. Whisky! Z braku wody będzie musiała jej wystarczyć.

Wylała nieco whisky na dłoń i potarła je mocno, a potem drugim, energiczniejszym chluśnięciem zmyła rozpuszczony przez alkohol brud. Jako tako oczyszczonymi rękami wyciągnęła ze spodni własną koszulę i zębami oddarła rąbek, aby uzyskać długi bandaż. Ścisnęła ostrożnie palcami brzegi rany, na przemian modląc się i siarczyście klnąc pod nosem. Poczowała, że kula się przesuwająca. Ścisnęła ranę ponownie, zaciskając zęby i dysząc głośno. Tym razem zakrwawiony pocisk wynurzył się całkowicie. Ze wstrętem wzięła go w dwa palce i obejrzała, a potem cisnęła na podłogę z głośnym przekleństwem.

Zwilżyła bandaż whisky i ostrożnie obmyła okolice rany, której brzegi na szczęście wyglądały względnie czysto. Nigdy się nie spodziewała, że dzięki ranie od kuli z muszkietu będzie odczuwać zadowolenie. Doprawdy, jej życie bardzo się zmieniło! Wiedziała, że przed obandażowaniem powinna przemyć ranę. Wstrzymała oddech, spryskując ją whisky. Connor jęknął głośno i się poruszył. Przeraziło ją to do głębi. Dobry Boże, wyszeptwała, nie potrafiła jednak przypomnieć sobie słów modlitwy. Mogła się kierować wyłącznie instynktem.

Obandażowała ranę dokładnie i z niezwykłą delikatnością, a potem przysiadła na piętach, przypatrując się Connorowi. Położyła mu rękę na sercu i upewniła się z ulgą, że bije

równy, a potem, nie mogąc się oprzeć, dotknęła kręconych włosów na jego piersi. Był bardzo przystojny! Linia szyi, kształt ramion, muskularne ciało - wszystko to przywiodło jej na myśl tajemniczą krainę rządzącą się własnymi prawami.

Zaciekawienie i satysfakcja zaczęły brać górę nad lękiem. Czowała bicie jego serca pod swoją dłonią. Położyła drugą na własnym, żeby je porównać.

- Czy to był Robbie Denslowe? Pospieszenie cofnęła rękę i się poderwała.

- Robbie Denslowe? - powtórzyła tępo.

- Kto... cię... nauczył, jak skutecznie powalić na ziemię mężczyznę?

Mówił bardzo cicho i z trudem, lecz dźwięk jego głosu sprawił, że przepełniło ją jakieś potężne, choć trudne do określenia uczucie.

- Tak - odparła niemal szeptem.

Widać było, że Connor cierpi, ale był też ubawiony i patrzył na nią z czułością.

Niepewnie ujęła jego dłoń, a on splótł jej palce ze swoimi.

- Powinien za to dostać tytuł szlachecki - wymamrotał.

Uśmiechnął się z wysiłkiem, potem zamknął oczy, a przyspieszony oddech i wykrzywione usta świadczyły, że zмага się z bólem. Na wpełni świadomie gładził kciukiem jej dłoń.

- A konie? - spytał po chwili.

- Zajmę się nimi - zapewniła go.

- Moje ramię...

- Krwawienie ustało. Wyjęłam kulę. W całości.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się ponownie z zamkniętymi oczami. - Prawdziwy z ciebie skarb, Rebeko.

- Skarb - powtórzyła cicho. I mimo że nie potrafiła wykrztusić nic więcej, było to w tej chwili najwłaściwsze słowo.

- Hm... - mruknął, uparcie usiłując się nie roześmiać. - Rebeko, chyba wkrótce muszę się solidnie upić. Weź ze sobą muszkiet i nóż, kiedy będziesz szła do koni. Niedaleko stąd płynie strumyk... znajdziesz go bez trudu, bo szumi. Z łaski swojej podaj mi tę flaszkę.

Ścisnęła jego rękę, po czym puściła. Odwrócił się od niej, chcąc ukryć grymas bólu.

Rebeka złożyła koc we czworo i podłożyła mu pod głowę. Przyjął to z wdzięcznością i bez słowa. Spojrzała na niego przelotnie jeszcze raz, a później podniosła i zabrała ze sobą zgrzebło oraz nóż w pochwie.

Konie skubały trawę przed wejściem.

- Chodźcie, moje kochane - przemówiła do nich cicho. - Niestety musieliśmy was zostawić na tak długo, ale mieliśmy coś ważnego do zrobienia.

Rozsiodłała je, a potem oczyściła zgrzebłem klacz, szepcząc jej do ucha pochwały za rączność, dzielność i urodę. Potem zajęła się siwkami Connora, rozwodząc się z kolei nad jego zaletami. Koń nadstawiał uszu, jakby cieszył się go jej pochwały.

- A teraz poszukamy strumyka.

Rebeka chwyciła obydwa wierzchowce za uzdy, zarzuciła na ramię muszkiet i zaczęła nadsluchiwać. Dosłyszała szmer wody poprzez szelest listowia i poprowadziła tam konie, co chwila robiąc nożem znaki na korze, aby mogła łatwo odnaleźć drogę.

Strumyczek pięknie lśnił w słońcu, płynąc wśród gęstwiny po wielkich, gładkich głazach. Gdy konie pochyliły szyje, Rebeka przetarła oczy palcami. Przyłgnęła do nich woń koni, Connora, krwi i whisky. Nie miała ochoty jej zmywać. Świadczyła o tym, jak ogromny dystans dzielił ją od jej dawnego życia.

Wsparała się o gniadą klacz, przymknęła oczy i pozwoliła sobie na łzy. Wróciło do niej wszystko, co tego dnia przeżyła, od prezentu, jakim był Zielnik, aż do kosmyka włosów w kieszeni Connora. Teraz była pewna, że dla niego mogłaby znieść nawet i tuzin wycelowanych w nią pistoletów.

Gdy obeschły łzy, ogarnęła ją nagle absurdalna, oszalamiająca wesołość. Ukłękła nad strumykiem, umyła ręce i twarz, jakby miał to być swoisty chrzest na początek nowego życia. Zdołała dziś wyjąć kulę z ciała Connora, a on ścisnął ją za rękę. Zwrócił się do niej z prośbą o pomoc i znalazł ją. Aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak gorąco pragnęła dać mu cokolwiek. Nagle zrozumiała, że nie trzeba pozować malarzowi nago na szezlongu, żeby dać wyraz swojej kobiecości.

Po raz pierwszy od wielu dni poczuła się pewnie. Odzyskała wreszcie równowagę. Wyprostowała się, unosząc gwałtownie w górę ręce, i przeciągnęła się z zadowoleniem. A potem odprowadziła konie do myśliwskiej chatki, nucąc pod nosem jakąś wymyśloną melodię.

12

Odniosła sukces, prawda? Diament pierwszej wody! - zwróciła się lady Tremaine do księżnej Dunbrooke.

Obie patrzyły, jak Lorelei tańczy w objęciach wicehrabiego Graysona, jednego z licznych utytułowanych dżentelmenów, którzy w tym sezonie chcieli znaleźć sobie żonę. Cordelia zdobyła się na uprzejmy, wyrozumiały, choć wymuszony uśmiech, jeden z wielu, jakie ukazywały się na jej twarzy podczas ostatnich kilku dni.

Lady Tremaine była, jej zdaniem, nową formą tortury, jakiej jeszcze do tej pory nie znała. Jako księżna Dunbrooke Cordelia nigdy nie musiała się przez dłuższy czas nudzić; jeżeli nieciekawe towarzystwo zaczynało jej ciążyć, podchodziła po prostu do innej grupy gości, siadała do kart, szła do bufetu lub na spacer. Posługiwała się zmianą miejsca podobnie jak wachlarzem: i jedno, i drugie miało ją chronić przed męczącym uczuciem duszności.

Teraz jednak musiała tolerować męczącą obecność lady Tremaine, która działała na nią niczym mierna sopranistka, wyśpiewująca wciąż tę samą wysoką nutę. Lorelei - jej uroda, wdzięk, sukces, wielbienie, widoki na przyszłość - była właśnie jedyną treścią tego śpiewu. Cordelię zaczęła od tego boleć głowa, jakby za chwilę miała pęknąć. Już chciała się wymówić tą dolegliwością, wrócić do domu, zamknąć we własnym pokoju, nareszcie w samotności, położyć do łóżka i zaciągnąć jego firanki, póki...

Póki medalion nie znajdzie się bezpiecznie w jej rękach. Pomocnicy Hutchinsa wzięli na spytki właściciela lombardu w Sheep's Haven, zakazanej dziurze w pobliżu Szkocji. Była to posiadłość Dunbrooke'ow, Keighley Park, gdzie wcale nie chciała znaleźć się po raz drugi. Gruby handlarz potwierdził, że jakiś młody człowiek z wyglądu podobny do księcia próbował mu go zaoferować, ale zmienił zamiar, właśnie wtedy, gdy właściciel lombardu podziwiał wspaniałą miniaturę z wizerunkiem księżnej Dunbrooke.

Gdy Cordelia usłyszała, że Roarke chciał wymienić jej podobiznę na garnki, muszkiet i na domiar wszystkiego jakiś Zielnik, serce jej ścisnęło się boleśnie. A myślała, że już nigdy czegoś takiego nie dozna. A przynajmniej, że ból nie będzie tak dotkliwy.

Przez całe pięć lat odgrywał rolę stajennego, co wymagało od niego wielkiej przytomności umysłu i zręczności, jeśli chciał ukryć swoje dobre maniere i udawać kogo innego. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę, sama przecież postępowała podobnie, tyle że jakby w odwrotnym kierunku - przez równie długi czas. A Melbers corocznie wysyłał mu pieniądze! Ten zaufany sługa okazał się zdrajcą! W jakiś dziwny, zagadkowy sposób Roarke musiał się widocznie z nim porozumieć po powrocie do Anglii spod Waterloo. Nie zwrócił się do niej. Nie do Marianne Bell.

Kim właściwie była dla niego Rebeka Tremaine? Czy jechali do Gretna Green? Czy Rebeka wiedziała, kim on jest naprawdę? Cordelię zaskoczyło to rzadko przez nią doznawane uczucie: zazdrość. Roarke ryzykował wszystko dla córki jakiegoś ziemianina, ją samą zaś rzucił, jak się wydawało, bez zastanowienia. Złość, na którą nie pozwolił sobie, kiedy ją zostawił, i broniła się przed jej odczuwaniem, gdy myślała, że on nie żyje, teraz napłynęła gwałtowną falą. Usiłowała powściągnąć to uczucie, co jej się udało. Uświadomiła sobie jak przez mgłę, że lord Lanford patrzy na nią łakomym wzrokiem. Inni mężczyźni, gdy ją mijali, też spoglądali na nią w ten sposób. Z roztargnieniem skinęła głową na powitanie i znów zwróciła twarz ku lady Tremaine. Cordelia uważała bowiem za rzecz oczywistą, że dzięki osiągniętej pozycji uroda jest dla niej tarczą, że ma mężczyznę onieśmielać, a nie zachęcać. Była sierotą, wiedziała, co to nędza. Kiedyś, dawniej, uroda stanowiła jedynie źródło władzy nad nimi. Nauczyła się zręcznie manipulować tym atutem, lecz mężczyźni zawsze okazywali się silniejsi. Gdy któryś miał dość jej słodkich, wykrętnych słówek, mógł ją bez ceremonii obezwładnić i wziąć siłą. Nim w jej życiu pojawił się Hutchins, musiała niemało wycierpieć z powodu swojej piękności.

Księżnej jednak nie można już obezwładnić i gwałcić - a raczej nie można tak postąpić z księżną wdową. Bo mąż, rzecz jasna, miał takie prawa. Cordelia postanowiła zatem pozostać niezamężna, nie rezygnując wcale z bycia księżną.

Zagroził temu fakt, że książę Dunbrooke wstał z martwych i wędrował gdzieś po angielskiej prowincji w towarzystwie rudowłosej dziewczyny. Co Roarke zamierzał? Pojawić się w Keighley Park niczym Łazarz, skrzyknąć służbę i wysadzić Cordelię z siodła? Czy on w ogóle wie, że wyszła za jego brata? A może dowiedział się tego od grubego właściciela lombardu i pomyślał sobie: „To żadna księżna Dunbrooke, tylko moja kochanka, ty stary ośle!”

Mogła to sobie wyobrazić bez trudu.

Wicehrabia Grayson odprowadził właśnie Lorelei ze stosownym ukłonem na miejsce, gdy nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się tam pułkownik Pierce i znów porwał ją do tańca. Cordelia ciekawa była, czy lady Tremaine zauważyła, jak szczęśliwa i ożywiona wydawała się Lorelei w jego ramionach. A tańczyła z nim także na poprzednim balu, dzień wcześniej, i to kilka razy z rzędu.

Ach, lady Tremaine najwyraźniej to zauważyła, bo patrzyła na nich czujnie, z półotwartymi ustami, jakby zaraz miała zamiar coś powiedzieć, lecz po chwili ponownie zasznurowała wargi.

Cordelia nie mogła się oprzeć chęci popełnienia drobnej złośliwości ukrytej pod pozorem życzliwej informacji.

- Pułkownik ma czterdzieści tysięcy funtów rocznego dochodu, chyba pani wie? - spytała.

Lady Tremaine natychmiast pogрузzyła się w najczarniejszych myślach. Cordelia bowiem znacząco i subtelnie zatrzepotała wachlarzem przy słowie „pułkownik”.

- Owszem, ale nie ma tytułu - odparła lady Tremaine. - Ojciec Lorelei może się pochwalić niemal równym dochodem, bo dobrze ulokował pieniądze.

Obie uśmiechnęły się promiennie, gdy dołączył do nich sir Henry Tremaine. Szepnął żonie na ucho jakąś plotkę o córce ich przyjaciela i znowu się oddalił.

Czterdzieści tysięcy funtów! Wielkie nieba! A więc Edelston wiedział, co robi, usiłując usidlić córkę Tremaine'ow. Cordelia była pewna, że fortuna wicehrabiego Graysona nie przewyższa nawet trzydziestu tysięcy.

Za to fortuna Dunbrooke'ow była o wiele znaczniejsza od czterdziestu tysięcy. W zręcznych rękach Melbersa, jedynej osoby, która zdawała się dbać o finanse Dunbrooke'ow i której Richard dał całkowicie wolną rękę, bogactwo rodu pomnożyło się niesłychanie mimo ogromnych wydatków.

Cordelia w roztargnieniu pogładziła fałdy swojej sukni, przyczyny jednego z tych ogromnych wydatków. Uszyta z szafirowego jedwabiu lamowanego lekką jak pajęczyna złotą koronką, haftowana w złote kwiatuszki i głęboko wydekoltowana, harmonizowała z ogromnym szafirem w kształcie łezki. Łańcuszek, na którym wisiał kamień, sięgał aż do rowka między jej piersiami, które przyciągały męskie spojrzenia jak magnes. Cordelia była tego świadoma. Nagle jednak ta świadomość wzbudziła jej rozdrażnienie. Chętnie zdarłaby ozdobę z szyi i cisnęła o świecznik. Tej szafirowej łezce daleko do złotego medalionu. Do tego przeklętego złotego medalionu!

Gdy Hutchins zdał jej tego popołudnia raport, spytał ją po prostu, bardzo spokojnie, co zamierza teraz zrobić. Zazwyczaj ten jego brak emocji uspokajał Cordelię, lecz dziś podzielał na nią jak zwiastun klęski. Mogła, co prawda, sprzedać klejnoty Dunbrooke'ow, skraćć sporą część ich fortuny i nie dbając o skandal, uciec na przykład do Włoch.

Europa była jednak dla Cordelii za mała. W końcu by ją odnaleziono.

Wśród tych rozmyślań dotknęła szafiru i powróciła do rzeczywistości, do sali balowej pełnej rozplotkowanymi matronami i zalecającymi się mężczyznami. Twardość klejnotu i jego trwałość pomogły otrząsnąć się z zadumy.

Wiele trudu włożyła w to, by zostać księżną Dunbrooke, i obawiała się, że nie starczyłoby jej sił na kolejne, podobne przedsięwzięcie. Nie chciała zaczynać od nowa.

- Potrzebuję trochę czasu. Muszę się zastanowić - odparła Hutchinsowi. - Odpowiem panu jeszcze dzisiaj.

A teraz znalazła rozwiązanie. Musi być trzeźwa, żadnych namiętności, żadnych sentymentów. Roarke Blackburn powinien zniknąć z jej życia. Raz na zawsze.

Czując na sobie czyjś wzrok, spojrziała w głąb sali balowej i zobaczyła Edelstona opierającego się o jeden z filarów. Oczy miał utkwione w jej szafirze. Na twarzy Cordelii, wraz z mimowolnym uśmiechem, pojawił się nieoczekiwany wyraz ulgi.

Pojęła, że Edelston ją rozumie, ale - ku jej wielkiemu zdziwieniu - nie potępia. Było to coś wspanialszego niż wszystkie suknie, klejnoty i londyńskie rezydencje. Z całej stołecznej elity tylko on nadawał się na przyjaciela. Nieważne, że wpatrywał się w nią tak natarczywie. Ucieszył ją jego widok.

Zręcznie dotknęła wachlarzem ramienia przechodzącej obok Charlotte, lady Caville, podobnej do tyczki przyozdobionej na szczycie pękiem piór.

- Lady Caville, czy mogłabym panią przedstawić mojej dobrej przyjaciółce, lady Tremaine? - spytała. Zapewniwszy matce Lorelei towarzystwo, mogła podejść do Edelstona.

- Tony, wszystkie dziewczęta będą mdlały z miłości do ciebie, jeśli nie przestaniesz obnosić się z tą romantyczną miną.

- Witaj, Cordelio. - Edelston złożył jej niski ukłon, który, o czym dobrze wiedziała, pozwolił mu lepiej się przyjrzeć szafirowi. - Obawiam się, że matki wszystkich młodych dam ostrzeżono przede mną jako łowcą posagu.

- W dodatku już zaręczonym.

- Właśnie. Zaręczonym - powtórzył z goryczą. - Nieważne. One wszystkie są nudne. Żadna nie umywa się do Rebeki.

- Nawet tamta? - Cordelia wskazała na drobną brunetkę z wielkimi czarnymi oczami, która rzuciła mu szelmowskie spojrzenie znad ramienia partnera. - Zapowiada się na niegorszą awanturnicę.

Musiała przyznać bezstronnie, że Edelston był mimo wszystko najprzystojniejszym mężczyzną w całej sali. Z pewnością nim bal się skończy, niejedna jeszcze spojrzy na niego łakomie.

Edelston z nieukrywaniem zainteresowaniem odprowadził brunetkę wzrokiem, lecz znów powtórzył:

- Jakie one wszystkie nudne!

Cordelia podejrzewała, że próbuje o tym przekonać samego siebie.

- Powiedz mi, Tony, czy tęsknisz za Rebeką, czy też tylko za jej wyobrażeniem?

Edelston spojrzał na nią zdumiony i zgorszony.

- Co właściwie przez to rozumiesz?

- Czy ona sama tak cię pociąga, czy też pociągałaby cię każda inna, która zdołałaby ci się wymknąć?

Edelston zmarszczył czoło.

- Ona sama.

- Mogę ci znaleźć inną bogatą dziedziczkę, niezależnie od tego, co wszystkie matki o tobie myślą. Wystarczy, że tego zechcesz.

- Chodzi mi tylko o nią - powtórzył z uporem, lecz już z nieco mniejszym przekonaniem.

Cordelia dobrze wiedziała, co myślał: z ulgą uwolniłby się od wierzyli i znów zaczął bujać swobodnie a beztrosko, jak przystało złotemu młodzieńcowi.

Cordelia, z nieodgadnioną miną, uśmiechnęła się lekko.

- Co ci jest? - spytał nagle Edelston. - Wyglądasz niby dobrze, ale jakoś blade.

Drgnęła. Dziwne, że to zauważył! Dżentelmenowi nigdy nie wypada dawać damie czegoś podobnego do zrozumienia, ale przyjacielowi wolno. Tak ją to zaskoczyło, że przez chwilę zwlekała z odpowiedzią. Czuliła, że słabnie chłodny ironiczny uśmiech, którym zawsze maskowała prawdziwe uczucia.

- Jestem trochę rozstrojona, ale czuję się nieźle. Dziękuję ci za troskę - odparła, odzyskując kontrolę nad sobą. Jakże mogła mu wyjawiać swój sekret związany z Roarkiem Blackburnem, gdyby nawet tego chciała, pośrodku zatłoczonej sali balowej? - A ty? Jakże się miewasz?

Edelston spojrzał przez ramię, nim odpowiedział, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje.

- Bez przerwy nachodzą mnie wierzyciele. Czatuja na schodach mojego domu i przy wejściu do klubu. Pewnie i tu któryś z nich czeka na mnie przed wejściem. A tymczasem narzeczona, która najwyraźniej mną gardzi, zniknęła gdzieś. - Tony przygnębiony wzruszył ramionami

Cordelia sama nie wiedziała dlaczego, szczerze zapagnęła dać Edelstonowi to, czego chciał najbardziej, choćby z tego względu, by z jego twarzy zniknął smutek.

- Tony, czy mogę ci zadać niedyskretne pytanie?

Edelston uśmiechnął się sarkastycznie, w przeszłości zadawali sobie nawzajem mnóstwo takich pytań. Żadne z nich nie grzeszyło dyskrecją.

- Pytaj.

- Musisz obiecać, że nie nazwiesz mnie potem osobą bez czci i wiary.

- Obiecuję.

- A gdyby tak Rebeka... straciła cześć z tym irlandzkim stajennym, Connorem Riordanem... czy nadal chciałbyś ją odzyskać?

Edelston cofnął się gwałtownie.

- Nie robi czegoś takiego.

- A gdyby tak uwiódł ją ktoś doświadczony... w końcu wszyscy jesteśmy ludźmi...

Był to zręczny cios i Cordelia o tym wiedziała. Rebeka stała się dla Edelstona ideałem, zupełnie niezwykłym.

- Słyszałaś o czymś takim? - spytał. - Czy ona... - Pokręcił głową. - Nawet wtedy chciałbym, żeby do mnie wróciła - powtórzył z uporem. - Nie mówmy o tym więcej.

Kim była więc Rebeka, skoro tak ją uwielbiał? Cordelia zignorowała ukłucie zazdrości. To uczucie ją osłabiało.

- Owszem, słyszałam. I zrobię wszystko, żeby ci ją zwrócić. Mam pomocników.

Edelston spojrzał na Cordelię. Oczy wciąż mu błyszczały, lecz jakby się trochę uspokoił, a teraz był wyraźnie zaciekawiony.

- Zrobisz to dla mnie? - spytał.

Łagodny ton ją zaskoczył. Spodziewała się entuzjazmu i pytań o Rebece.

- Ja... - Urwała.

- Nawet jeśli ukradła medalion? Cordelia poczuła, że pałają policzki.

- Doprawdy, Tony, nie ma w tym nic trudnego.

Edelston, upewniwszy się, że filar zasłania ich i goście nie ujrzą, co robi, powiódł palcem po jedwabistej skórze nad naszyjnikami, musnął jej piersi, lecz zaraz cofnął rękę.

- Trochę zmizerniałaś, Cordelio - wyszeptał. - Może wymówisz się bólem głowy?

Mógłbym cię wtedy odprowadzić do domu.

Cordelia miała na to wyraźną ochotę, a Rebeka Tremaine i Roarke Blackburn przestali się liczyć. Przynajmniej na resztę tego wieczoru.

- Wytłumaczę się jakoś przed Tremaine'ami - szepnęła. I tak też zrobiła.

Connor zbudził się nagle i uniósł głowę, czego zaraz pożałował. Bolała go prawie tak jak przestrelone ramię, a kiedy próbował się ruszyć, odnosił wrażenie, że wewnątrz jego czaszki turla się mnóstwo bilardowych kul. W pewnym sensie mógł to uznać niejako za polepszenie samopoczucia, bo ból w ramieniu zelżał, przynajmniej prawem kontrastu. Ogień trząsał wesoło na kominku, a jego blask i ciepło wydały mu się czymś cudownym. Powoli, ostrożnie zaczął wodzić po izbie oczami, zważając, by nie prowokować kul bilardowych. W końcu jego wzrok spoczął na Rebecce. Siedziała przy

prostym dębowym stole, niedaleko ognia. Włosy miała przewiązane czymś, co wyglądało na jego halsztuk. Koszula z białej zmieniła się w brudnoszarą, na lewym policzku dziewczyny widniała wielka, czarna smuga podobna z kształtu do Półwyspu Apenińskiego. Zdołała więc sama rozpaść ogień, lecz - jak mu się zdawało - nie bez trudu. Pochyliła nad czymś pilnie głowę. Patrząc na nią, uczył nagle taki spokój, że aż go to zdumiało.

A potem dojrzał, że Rebeka coś czyta.

- Nie! - zawołał, nim zdołał ugryźć się w język.

Rebeka uniosła szybko głowę znad Zielnika. Na jej twarzy dostrzegł najpierw troskę, a potem zadowolenie. Cieszyła się, że przeżył.

- Czego dotyczyło twoje „nie”? - spytała.

- Nie chcę pić żadnego z tych naparów!

- Twojej whisky nie starczy jednak na długo, a w lasach rośnie mnóstwo wspaniałych leków przeciwko bólowi. Gdybym tylko miała trochę czarnego lulka...

- Jeśli dasz mi o jedną szczyptę za wiele i zmienię się w żabę, zostaniesz sama!

Spojrzała na niego z takim politowaniem, że wybuchnął śmiechem.

- Tutaj dokładnie napisano, ile go należy wziąć, zależnie od wagi pacjenta. W jaki sposób doktor Mayall zdołałby sporządzić te wszystkie recepty, gdyby ich przedtem nie wypróbował?

- Był Anglikiem. Z pewnością robił doświadczenia na jeńcach. Rebeka przewróciła oczami, a potem odsunęła książkę i zaczęła mu się przyglądać.

- Źle wyglądasz. Czy masz gorączkę? Zrobię ci herbaty.

- Na pewno wyglądam gorzej, niż się czuję, Rebeko. Za to ty przypominasz teraz Kopciuszka.

Uśmiechnęła się radośnie, co sprawiło, że na jej policzkach ukazały się dołeczki. Connor, chcąc na niej zrobić wrażenie, spróbował wstać.

Poczuł jednak ciężar w żołądku, ziemia zakołysała mu się pod nogami, oblał go zimny pot. Położył się natychmiast, w przeciwnym razie zemdlaliby, osuwając się w ramiona Rebeki. Ułożył się na podłodze z największą ostrożnością i zamknął oczy, czekając, aż mu słabość przejdzie.

Gdy je znów otworzył, ujrzał, że Rebeka klęczy przy nim, pobladła i przerażona. Posłał jej słaby uśmiech. Jak pięknie wyglądała - nawet w tym brudnym odzieniu, gibka i cudownie rzeczywista! Wciągnął w nozdrza jej zapach, dziwną mieszaninę woni potu, sadzy i dziko rosnących ziół.

Ujęła go za rękę, chcąc zbadać tętno.

- Proszę cię, leż spokojnie. Potrzebujesz odpoczynku. Straciłeś dużo krwi.

- Za to mam w sobie sporo whisky;

Znowu przymknął oczy. Cieszył go dotyk jej palców przesuwających się po nadgarstku.

Co za wspaniała dziewczyna! Niczego się nie boi! Obydwoje milczeli przez jakiś czas.

Czul, jak puls bije pod jej palcami, którymi wczoraj, w nocy, usiłowała go dotknąć. Czy kryło się w tym coś erotycznego? Bynajmniej. Po prostu była Rebeką i tyle.

Co się z nim właściwie dzieje? Poruszył niecierpliwie stopami. Wreszcie Rebeka cofnęła rękę.

- Zrobię herbaty. Przydałby ci się bulion, ale mamy tylko kilka pasztetów. Skąd mogłabym wziąć świeżego mięsa na bulion?

- Wystaw za drzwi garnek, a może wpadnie do niego jakaś wiewiórka.

Rebeka spojrzała na niego z irytacją. Pożałował trochę swojego niemądrego żartu.

- Owszem, zostałem ranny, lecz jestem też trochę pod gazem, i to whisky, daję ci słowo, mówiła teraz przeze mnie. Wystarczy mi herbata. Muszę się tylko wyspać, tak żebyśmy rano mogli ruszyć w drogę.

- Nigdzie rano nie ruszymy - odparła stanowczo.

- Nie możemy tu zostać!

- Mówiłeś, że w tym domku nikt nas nie znajdzie.

- Nikt się nie ośmieli tutaj przyjść, bo oj... - Urwał w samą porę. - Powiadają, że tutejszy gajowy strzela do każdego intruza.

To są posiadłości Dunbrooke'ow, tyle że mocno zaniedbane. Może nawet gajowego już nie ma.

Przyjrzał się jej uważnie, ale nic nie wskazywało, by zauważyła jego lapsus i nabrała jakichś podejrzeń. Milczała jednak przez chwilę, lekko marszcząc czoło.

- Skąd tak dobrze znasz tereny Dunbrooke'ow? Są przecież jednymi z największych ziemskich posiadaczy.

- Za młodu żyłem niedaleko stąd.

- Przecież jesteś Irlandczykiem.

- Ale mój tato miał tutaj pracę - odparł szybko po chwili zwłoki, która, miał nadzieję, nie przeszła niezauważona. - Nie wiadomo, czy jesteśmy tu bezpieczni.

Uznał, że dość zręcznie się wykręcił. Przy tym jednak musiał pamiętać, że jego była kochanka, obecna księżna Dunbrooke, wcale nie czuła się bezpiecznie, skoro za wszelką cenę usiłowała urządzić na niego zasadzkę. Nie miał też pewności, czy Marianne nie wie o istnieniu myśliwskiego domku. W końcu była żoną jego brata.

- Connor, przecież w tym stanie nie możesz podróżować. Jeśli nadal masz zamiar jutro ruszać, to beze mnie. Musimy tu zostać dzień czy dwa.

- W takim razie zabiorę cię stąd siłą, panno Tremaine.

- I potem padniesz jak długi na drogę, zostawiając mnie bez pomocy.

Spojrzeli sobie w oczy.

- Przykro mi, że jestem do niczego - wystękał, odwracając wzrok.

- Jak możesz tak mówić?!

- Zostawiłem wszystko na twojej głowie. Konie, ogień...

- Przecież nie dałeś się postrzelić naumyślnie! Uśmiechnął się kwaśno.

- Tak czy owak chodziło im o medalion - ciągnęła - a to już moja wina.

Zaprzagnął powiedzieć, że nie, że to właśnie jego wina i że z tego powodu naraził ją na niebezpieczeństwo, chociaż chciał jedynie, by znalazła się gdzieś, gdzie nikt nie śmiałby wyrządzić jej krzywdy.

- Przestańmy się nawzajem oskarżać, Rebeko. Myślmy lepiej o przyszłości. Za dzień czy dwa z pewnością będziemy bezpieczni. - Nie był tego pewien, pragnął jednak, by z jej twarzy zniknęło napięcie. I udało mu się tego dopiąć.

- Czy mogę spojrzeć na twoją ranę? - spytała nieśmiało. Zgodził się. Uniósł się na łokciu i dopóty poruszał ramionami, dopóki koszula z nich nie opadła.

Opatrywanie Connora podczas utraty przytomności było czymś całkiem innym niż teraz. Rebeka usiłowała wcale nie patrzeć na jego ciało i skupić się wyłącznie na jak najostrożniejszym odwijaniu bandaża. Wszakże palce trochę jej przy tym drżały i czuła, że robi się cała czerwona.

Odetchnęła z ulgą, gdy się z tym uporała. Ujrzała jednak oczami wyobraźni, jak jej ręka sunie po jego przedramieniu, osuwa się na pierś i zdąża jeszcze niżej. Jakiś przewrotny głos szeptał wewnątrz niej: „Zrób to. Janet Gilhooody tak robiła”.

A jeśli Connor chwyci jej dłoń i spyta, co ona, u licha wyprawia? Chybaby umarła ze wstydu.

Co on w niej widzi? Dziecko? Przyjaciółkę? Kobietę? Przymknęła na chwilę oczy i zaraz je otworzyła. Musi się skoncentrować na swoim zadaniu.

Rana wyglądała wprost doskonale, jeśli można w tym wypadku użyć podobnego słowa, nie była zaogniona i nic się z niej nie sączyło. Mam z czego być dumna, pogratulowała sobie Rebeka.

- Powinienem ci podziękować.

Choć Connor powiedział to cichym głosem, Rebeka o mało nie podskoczyła. Leżał tak blisko niej, że słowa wydawały się płynąć gdzieś z jej ciała. Odsunęła się gwałtownie i zaczerpnęła powietrza.

- Powinnam ci dziękować ja, codziennie i do końca moich dni, a i tak nie byłoby dosyć - powiedziała.

Uśmiechnął się krzywo w odpowiedzi.

- Czy w jakiś sposób dałoby się naprawić moją koszulę?

Odeszła na bok i zaczęła dokładać do ognia w kominku, choć wcale nie było takiej potrzeby.

- Może kiedy wytrzeźwiejesz, najpierw poszukałbyś guzików? Connor zaśmiał się i oparł głowę na złożonym we czworo kocu.

- Może urządzimy zawody? Kto znajdzie więcej, ten wygra, "wyobraziła sobie, jak obydwójce pełzają przy tym na czworakach, co ją rozbawiło.

- Zamierzam wygrać!

- Przegrasz - mruknął Connor, lecz chwilę później zasnął, a odgłos jego chrapania wypełnił całą izbę.

Na pomysł kąpieli wpadł Connor.

- Czy dobrze pływasz, Rebeko? - spytał rano z uśmiechem, wchodząc do jej izby.

Senność ją z miejsca opuściła.

Domek myśliwski miał na szczęście dwa pomieszczenia: większe, z dwiema pryzkami i jednym łóżkiem, kominkiem, stołem, ławkami oraz jelenim porożem na ścianie. Druga izba była niewielka i najwyraźniej służyła jako komórka. Trzymano w niej takie użyteczne przedmioty, jak miotły, a także sidła i stare rogi na proch, ale stało tam również łóżko. Najwidoczniej poprzedni książęta Dunbrooke dbali o wygodę wszystkich uczestników polowań. Connor przespał cały poprzedni dzień, w tym czasie Rebeka trochę tam posprzątała, przepędzając miotłą pająki. Przejechała nią też solidnie po łóżku, żeby zmieść przynajmniej kurz. Na szczęście w materacach nie zagnieździły się myszy. Rebeka nie przejmowała się jednak niczym. Padła na łóżko tuż po zjedzeniu jednego pasztetu z oberży Pod Ciernistą Różą i spała jak zabita, mimo że Connor donośnie chrapał w sąsiedniej izbie.

Connor zrobił już herbatę i pokroił drugi pasztet. Rebeka, która nigdy nie narzekała na brak apetytu, niemal rzuciła się na swoją porcję.

- Czy pływam? - spytała między dwoma kęsami, lecz nagle przestała jeść. - Connor, podzieliłeś pasztet na dwie równe części, a przecież należy ci się większa!

- Dlaczego, Rebeko?

- Musisz się porządnie odżywiać, żeby wyzdrowieć.

Patrzył na nią przez chwilę w zdumieniu. Być rozpieszczanym to dziwne, lecz miłe uczucie!

- Dziękuję ci, ale Bóg chyba nie sprzyja samolubom. Rebeka przyjrzała mu się uważnie.

- Wyglądasz dzisiaj dużo lepiej, masz zdrowszą cerę.

- Miło mi to słyszeć. - Connor uśmiechnął się kątem ust. - Nie wiem tylko, w jaki sposób możesz dojrzeć moją cerę przez zarost.

- Co z twoim ramieniem?

- Boli, jakby miało odpaść.

Rebeka zbladła, więc dodał pospiesznie:

- Ale dziś rano jest jednak lepiej. Zapewniam ci, że wkrótce wydobrzeję. - I dodał, nie mogąc się oprzeć pokusie: - Przecież mam podobno zdrowszą cerę!

Rebeka się nadała.

W rzeczywistości ręka pulsowała uporczywym bólem. Znał jednak gorsze cierpienia.

- Złapię dziś w sidła zająca i obiecuję, że zjem większą część, jeśli sprawi to ci przyjemność. Możemy go nawet przyrządzić w sosie grzybowym, jeżeli znajdziemy tu jakieś jadalne.

- Mielibyśmy kłusować? - spytała ze zdumieniem i ze zgrozą. O mało się nie roześmiał. Miał sporo na sumieniu, lecz chyba nie jest przestępstwem łapanie w sidła zające w własnych włościach.

- Nikt nie zauważy zniknięcia jednego zająca, za to nam nie zabraknie kolacji.

- Pokażesz mi, jak się zastawia sidła?

- Czemu nie? Coraz lepszy robi się z ciebie chłopak, Rebeko. Nie tylko z powodu pistoletu i tych portek.

Rebeka jednak nie wybuchnęła śmiechem, jak się spodziewał, tylko poczerwieniła i spuściła głowę. Connor poczuł, że popełnił błąd, choć nie wiedział dokładnie jaki. Może właśnie dlatego usiłował żartem podkreślić jej przemianę w chłopca, że sam to pragnął sobie wmówić? Prawdę rzekłszy, lepiej gdyby znów włożyła suknię, wtedy przestałby zwracać uwagę, gdzie się właściwie kończą jej nogi.

Cóż za głupie myśli płaczą mu się po głowie! Próbował je od siebie odegnąć, lecz uniemożliwiały to zmęczenie oraz ich wzajemna bliskość. Odchrząknął.

- Pytałem, czy pływasz. Znam tu pewne miejsce dobre do kąpieli. Pewnie chciałabyś się umyć i przebrać w świeże odzienie.

Twarz Rebeki tak wyraźnie świadczyła o jej tęsknocie za czymś podobnym, że parsknęła śmiechem. Dziewczyna znów oblała się rumieńcem, ale tym razem i ona się zaśmiała.

- Zaraz sobie popływamy... Umiesz pływać, prawda?

- Tak. Robbie Denslowe mnie nauczył.

- Oczywiście. Ale zanim to zrobimy, trzeba schować medalion w jakimś bezpiecznym miejscu, żeby nie porwał go prąd. Masz go jeszcze na sobie?

Rebeka bez słowa sięgnęła pod koszulę i wyciągnęła błyskotkę na wierzch.

- Znam takie bardzo bezpieczne miejsce.

Connor wyciągnął dłoń, przebijając niecierpliwie palcami. Rebeka położyła na niej medalion.

Zdumiało go, że metal jest taki ciepły. Dopiero po chwili zrozumiał: rozgrzał się, bo spoczywał na jej skórze. A ściślej mówiąc, między piersiami. Spoglądał na medalion w

osłupieniu. Ciepło jednak szybko nikło. Nie miał już wrażenia, że dotyka piersi Rebeki. To chyba był rezultat choroby, zranienia i zmęczenia.

Im szybciej znajdą się w Szkocji, im prędzej on popłynie do Ameryki, tym lepiej będzie dla nich obojga. Lepiej i bezpieczniej.

Dopiero po chwili podniósł głowę. Nie był pewien, co Rebeka może dostrzec w jego oczach. Nim się odezwał, nabrał głęboko powietrza,

- Po prostu znakomite miejsce! - Podszedł do masywnych, drewnianych słupków po obu stronach kominka, odkręcił wierzchołek jednego z nich, włożył tam medalion i zakręcił schowek. - Odkryłem to ostatniej nocy - wyjaśnił, widząc jej zdumienie.

Kłamał. Wiedział o tej kryjówce od dziecka, jak zresztą wszyscy Dunbrooke'owie.

- Nikt, nie znajdzie go teraz, a zwłaszcza jakiś głupi bandyta.

- Czy możesz tam schować także mojego funta? - Rebeka wyciągnęła pieniądze ze spodni. Connor szybko wsadził funta do swojego buta.

- Tylko ktoś bardzo zuchwały albo przewrotny wpadnie na pomysł, żeby go tam szukać - mruknął z satysfakcją.

Po śniadaniu poszli zastawić sidła w nadziei, że w ten sposób złowią coś na obiad.

- Znałem kiedyś pewnego Cygana - powiedział Connor - który tak przyuczył swoje psy, by pomagały mu łapać zające w sieć. Jeden pies czekał na tym krańcu łąki, gdzie rozpinano sieć, drugi w tym czasie zapędzał do niej zająca z przeciwnego krańca. Zając nie miał szans na ucieczkę.

- A czy złapał coś w ten sposób? - spytała Rebeka, patrząc, jak Connor zręcznie manipuluje siłkami. - Mam na myśli Cygana.

- Owszem, i nawet go za to nie ukarano - odparł, domyślając się, że Rebeka chętnie poznałaby Raphaela.

Po zastawieniu siodeł załadowali na konie, które bardzo wygodnie spędziły noc w małej stajni za domkiem, muszkiet, zapas czystej odzieży i koce, a potem pojechali tam, gdzie koryto strumyka się rozszerzało, tworząc małą zatoczkę.

Pogoda była ładna, a drzewa po obu stronach wody tworzyły wdzięczny łuk, zapewniając zarówno światło, jak i osłonę.

- Zrobimy tak - wyjaśniał Connor - rozbierzesz się pod kocem i wskoczysz do wody. Ja w tym czasie zakryję głowę drugim, a potem będę miał oko na różnych grabieżców, rozbójników, wilki i tak dalej. Kiedy ty już się wykąpiesz, przyjdzie kolej na mnie. Rebeka poczerwieniała, lecz Connor, tylko nieco rozbawiony, rzucił jej mydło.

- A czy naprawdę są tu wilki? - mruknęła wreszcie szyderczo, łapiąc mydło. - Zakrywaj głowę!

Posłusznie zrobił, co mu kazała. Słyszał szelest zrzucanej odzieży, a potem plusk, gdy weszła do wody.

- Ach! - krzyknęła uradowana. - Tu jest cudownie! Poczul nagły zamęt w głowie.

- Connor! To wspaniałe!

Gdy wysunął się spod koca, zabrakło mu tchu.

Ciało Rebeki stanowiło jasną, połyskliwą plamę, ledwo widoczną pod powierzchnią, lecz po chwili wysunęła z wody białe, smukłe ramiona, żeby odgarnąć mokre włosy z twarzy, i uśmiechnęła się. Wyobraźnia dopowiedziała mu to, czego nie widział.

- Nie pamiętam lepszej kąpieli - oświadczyła, pluskając się w rozświetlonej słońcem rzeczce.

Connor mógł na nią tylko patrzeć. Nic więcej.

- Czy widzisz jakieś wilki? - zawołała.

Otworzył usta, lecz nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Connor!

- Nie, nie ma tu żadnych... - zdołał w końcu wykrztusić. Usiadł ciężko na brzegu, chwytając się oburącz za głowę. Co się z nim działo? Przecież kobiety nie były dla niego tajemnicą, a dzięki Janet Gilhoady nie musiał się całkiem bez nich obchodzić. Ale to było coś innego. Zupełnie jakby go poraziło. Nie potrafił tego określić ani nawet zrozumieć, czy to coś złego, czy dobrego, ale zaważnęło nim całkowicie i mógł się tylko kulić jak smarkacz na brzegu, skonfundowany i przepełniony pragnieniem tak silnym, że wydawało się wszechogarniające.

Poczuł w końcu złość, co sprawiło mu ulgę. Próbował ją na początku zdusić i walczyć z nią, lecz w końcu się z tym uczuciem oswoił.

- Czy masz zamiar siedzieć tam cały dzień? - Connor zdawał sobie sprawę, że w jego głosie brzmi rozdrażnienie, ale wcale nie dbał o to.

Brnęła przez wodę ku niemu z głową gładką jak u foki.

- Przepraszam cię, Connor. Nakryj się teraz! - zawołała wesoło. Schował się pod kocem, gdy wychodziła na brzeg. Domyślał się, co teraz robi: wyciera ciało, potrząsa głową, a mokre włosy lekko opadają na nagie plecy; wkłada ubranie. Nie ruszał się i milczał, bo uznał, że w jego sytuacji to najlepsze wyjście. W wodzie ochłonie i oprzytomnieje.

- Już po wszystkim! - zawołała.

Connor zsunął koc z głowy. Dostrzegł połyskliwe, gładkie pasma wilgotnych włosów, błyszczące oczy i brunatną muślinową suknię. Natychmiast opuścił koc na jej głowę. Błyskawicznie zrzucił z siebie ubranie i wskoczył do wody mimo upomnień Rebeki:

- Nie wzięłaś mydła! Uważaj na ramię!

Zupełnie o nim zapomniał! Ledwie zdążył unieść je ponad wodą, ratując bandaż przed zamoczeniem.

- Rzuć mi mydło! - zawołał i na szczęście zdołał je chwycić w locie, nim popłynęło z prądem.

Rebeka klasnęła w dłonie z uznaniem, a jemu od razu poprawił się nastrój.

Przez chwilę brodził w strumieniu, uważając, żeby trzymać zranione ramię wysoko nad powierzchnią. Tak, to było cudowne! Woda na wierzchu okazała się ciepła, lecz poniżej bioder ogarniał go aksamitny chłodek. Zanurzył głowę i wyciągnął ją, parszkając; namydlił włosy i twarz. Zanurzył się jeszcze raz, rozradowany niczym ptak w kałuży.

- Koc! - zawołał wreszcie, uszczęśliwiony. Rebeka posłusznie nakryła głowę.

Connor dobrnął do brzegu, otrząsnął się niczym mokry pies, wytarł energicznie ciało i pospiesznie włożył ubranie.

- Gotowe! - oznajmił.

Rebeka ściągnęła z głowy koc i uśmiechnęła się do Connora spod mokrych włosów, spadających jej na twarz.

A wtedy Connor, ponieważ nagle wydało mu się to najwłaściwsze, pocałował ją.

Obydwoje się zdumieili. Connor nie miał pojęcia, że ją całuje, póki nie było po wszystkim. Dziwnie swobodny i lekki, nachylił nad nią głowę, a ich usta się zetknęły. Rebeka zeszywniała ze zdumienia i zaczerpnęła gwałtownie tchu. Jakiś daleki, słaby, przerażony głosik wewnątrz niej powtarzał: „Na miłość boską, masz zaraz przestać!” Jednak było już za późno. Pocałunek stał się rzeczywistością.

Connor dotknął ustami dolnej wargi, a jej smak i dotyk okazały się zdumiewające; usta Rebeki były jedwabiste, upajająco słodkie, gorące. Jęknął cicho i ujął dłonią jej twarz, jakby to miało przywrócić mu równowagę. Jego usta spoczęły miękko na jej wargach, które drgnęły i rozwarły się zapraszająco. Spróbował wsunąć między nie język, a gdy odchyliła głowę, sięgnął nim głębiej.

- Rebeko - jęknął cicho.

Musnął dłonią jej twarz. Palce natrafiły na delikatną skórę podbródka. Wyczuł puls. Potem dotarł do smukłej szyi, do delikatnych kości obojczyka, a wreszcie niżej do piersi. Och Boże, jeszcze dwa czy trzy centymetry...

Rebeka, westchnęła. Był to najbardziej błogi dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał. Czuł, jak miękko przywarła do jego zeszywniałego, gorącego ciała. Ręce Rebeki uniosły się, żeby go dotknąć.

I to nagle go przeraziło.

Z największym wysiłkiem odsunął się od niej. Zachwiała się, zaskoczona.

A potem powoli, z wahaniem, podniosła na niego oczy pełne zdumienia. Dotknęła lekko swoich warg koniuszkami palców.

Connor patrzył na nią, dysząc jak podczas gwałtownego biegu, z rękami zaciśniętymi w pięści.

- Przepraszam cię. W końcu jestem tylko mężczyzną - stwierdził z gorzką ironią.

Rebeka patrzyła, jak Connor zbiera resztę odzieży kanciastymi, prawie gniewnymi ruchami, a potem energicznie dosiada konia.

Nie potrafiła nic powiedzieć, zresztą słowa wydawały się bez znaczenia wobec pocałunków, z których zdawał się teraz składać cały świat. Nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Chętnie pozostałaby tu na zawsze, jak przykuta do ziemi, żeby upamiętnić to, co się stało.

Wiedziała już, że to, co w niej pulsowało od jakiegoś czasu, było pożądaniem.

Connor, odjeżdżając, spojrział na nią jak na kogoś obcego, kogo należało się strzec. Nie umiała nazwać swoich odczuć słowami, lecz czuła się tak, jakby rozumiała wszystko i zarazem nic, rozdarła między tymi dwoma biegunami.

Otrząsnęła się z rojeń, a potem, ponieważ Connor najwyraźniej tego sobie życzył, wsiadła na gniadą klacz. Connor popędził swego konia. Nie patrzył na nią, nic nie mówił, a jego plecy, które widziała przed sobą, były niczym przegroda uniemożliwiająca wszelką rozmowę.

Wrócili do myśliwskiego domku, nie mówiąc do siebie słowa.

14

Po kilku dniach sypiania w chłopięcym ubraniu miękka nocna koszula wydała się Rebecce dekadentckim wręcz luksusem. Luźne fałdy w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób sprawiały, że coraz więcej uwagi zwracała teraz na kształt własnego ciała. Tkanina ześlizgiwała się po nim miękko i swobodnie falowała przy byle kasznięciu lub ruchu, w niezdrowy sposób kierując jej myśli ku doznaniem niedawno pocałunkowi, a także ku nagle sposępniałemu mężczyźnie w sąsiedniej izbie.

Sidla spełniły swoje zadanie, a upieczony zając był prawdziwym triumfem, lecz Connor przez większą część wieczoru odpowiadał Rebecce monosylabami, a próby nawiązania z

nim rozmowy wydały się jej samej tak niezręczne, że w końcu dała sobie spokój. Gdy spojrzała na niego przypadkiem, zobaczyła, że wpatruje się w nią uważnie, chociaż z zakłopotaniem i miną świadczącą o poczuciu winy. Connor unikał jej wzroku, co było dokuczliwe, bo Rebeka właśnie pragnęła patrzeć mu prosto w oczy, żeby wyczytać z nich odpowiedzi na pytania, których nie ośmielała się zadać.

Może zrobiła coś nie tak, jak trzeba? Może poczuł się rozczarowany? Nigdy się przedtem nie całowała, a to, czego doznała z Edelstonem w ogrodzie o północy, nie liczyło się wcale. Gdybyż mogła zyskać trochę wprawy.

Nadsłuchiwała, czy z sąsiedniej izby nie dobiega jego równy oddech, bo wiedziałyby wtedy, że zasnął, ale stamtąd słychać było tylko trzaskanie polan na kominku.

Wreszcie miała już tego wszystkiego dość, odrzuciła koc i z wolna przeszła do drugiego pokoju.

Connor siedział przy stole i patrzył w ogień. Drgnął na jej widok, a gdy stanęła przed kominkiem, przymknął oczy, jakby raził go blask.

- Connor...

- Wracaj do łóżka, proszę cię.

- Może dokucza ci ramię? Connor nadal miał zamknięte oczy.

- Nie.

Jedna krótka sylaba.

Ogień trzeszczał, iskry ulatywały w kominku. Żaden inny dźwięk nie rozlegał się w izbie i Rebeka nie była w stanie tego wytrzymać.

- Connor... czy ja... zrobiłam coś źle? Dopiero po dłuższej chwili odparł:

- Nie, Rebeko. - A potem, znów takim samym, gorzkim tonem powtórzył: - Ty niczego nie zrobiłaś źle.

Ogień szumiał i buzował, a chwile ciszy wydawały się przez to jeszcze dłuższe.

Zaczęła ponownie:

- Connor, dzisiejszego popołudnia... kiedy ty... kiedy ty... - Urwała niezręcznie, usiłując zebrać się na odwagę. - Kiedy mnie pocałowałeś...

Connor milczał.

- ...czymś cię chyba wyprowadziłam z równowagi. Albo nie zrobiłam czegoś, jak należy.

Nie mam wielkiego doświadczenia...

- Dobry Boże, Rebeko, tym się naprawdę nie musisz martwić. Całujesz po prostu... -

Głos mu się załamał. - Po prostu jak w bajce.

Serce Rebeki zaczęło bić gwałtownie.

- W takim razie powiedz mi, proszę, czy w tym było coś nie tak? Gniewny ton odpowiedzi przestraszył ją.

- Kiedy stoisz przed ogniem, widać całe twoje ciało przez nocną koszulę!

Rebeka zaczerwieniła się po same korzonki włosów. W głosie Connora zabrzmiało coś, co jej przypomniało małego, przestraszonego chłopca. Zrozumiała nagle, że jest tak samo zmieszany i przygnębiony jak ona, i ta świadomość jednocześnie przeraziła ją i ucieszyła.

- W porządku. Spójrz na mnie. Przecież chcesz tego, prawda? Connor zaśmiał się sarkastycznie.

- Rebeko, proszę cię... wracaj do łóżka. Może porozmawiamy jutro.

- Ja chcę, żebyś na mnie patrzył.

Connor milczał. Widziała, jak jego ramiona unoszą się i znów opadają w rytm przyspieszonego oddechu. Nabrała głęboko tchu.

- Chciałabym, żebyś to ze mną robił. Przecież sam chcesz. Zaśmiał się krótkim, urywanym śmiechem.

- Skąd, u licha, wiesz o tym?

I słowa, i ten śmiech zabolowały ją dotkliwie, jak użądlenie.

- Mam osiemnaście lat. Nie jestem dzieckiem - odparła, siląc się, żeby mówić płynnie i spokojnie. - Jestem kobietą. I widzę cię oczami kobiety. Może to sprawi, że już nie będziesz się bać, że jestem dzieckiem, i przestaniesz mnie tak traktować. Bo wiem - i to na pewno - że dla ciebie już nim nie jestem. Wiem, co to znaczy pragnąć kogoś. I nie boję się powiedzieć ci, że... że ja cię pragnę. A myślę, że ty mnie też.

Connor patrzył na nią bezradnie. Ogień oświetlał poprzez koszulę jej zapierające dech w piersiach kształty. Zaczęło go dławić w gardle.

- Nie wiesz, kim jestem... - Urwał znękany.

Nie wiedział, co ma powiedzieć, jakimi słowami dać wyraz swoim myślom, ale nie mógł oderwać od niej wzroku. Przez wiele dni trzymał na wodzy swoje odczucia, lecz i tak zawsze działała mu na zmysły - swoimi ruchami, zapachem, śmiechem, błyskami w oku, gdy zadawała mu różne pytania, pewna, że go rozbroi, rzuci wyzwanie albo go zachwyci. Dzisiejszy pocałunek wstrząsnął nim do głębi. Teraz wiedział już wszystko o uczuciach, które w nim wezbrały. Miał nadzieję, że nie przerazi jej wyraz jego twarzy.

Rebeka znowu zaczerpnęła powietrza, on zaś patrzył z fascynacją i zarazem z udręką, jak jej piersi unoszą się pod cienką tkaniną.

- Ja już wiem... - odezwała się - że ty jesteś kimś innym... kimś o wiele znaczniejszym, niż mówisz. W jednej chwili potrafisz być Irlandczykiem, a w drugiej Anglikiem tak bardzo angielskim, jak sam Wellington... Ale to się nie liczy. Myślę, że znam człowieka, którym jesteś, lepiej od wszystkich innych. Bo jesteś... - zawahała się na moment w nagłym przyplywie nieśmiałości i dokończyła: - bardzo mi drogi.

Był jej drogi. Miłe słowa, ale poczuł się po nich jak ktoś, kto balansuje na skraju przepaści, chociaż nadal nie pojmował dlaczego. Zasklepił się w milczeniu i rozdrażnieniu jak nieopierzony młodzieniaszek, podczas gdy Rebeka, z właściwą jej odwagą, trafiła w sedno.

Zrozumiał, że miała słuszość. Zawsze potrafiła przejrzeć go na wskroś. Może właśnie to najbardziej go przerażało.

- Connor... - szepnęła.

Zamknął na chwilę oczy, broniąc się przed naporem uczuć. Kimże by się stał, biorąc sobie na kochankę tę młodą i niedoświadczoną dziewczynę, która mu ufała, która mu zawierzyła swoje bezpieczeństwo? Młodą pannę, którą zamierzał pozostawić w Szkocji? Któż pozwoliłby takiej kobiecie, jak Rebeka, prosić o to, żeby mogła się z nim kochać? Jeśli nie będzie to on, kiedyś zrobi to ktoś inny, a tej myśli, jak się przekonał, nie był w stanie znieść.

- Rebeko, ja... - zaczął i nagle urwał, słysząc jakiś szelest.

To Rebeka odeszła od kominka i stanęła tuż przy nim, a jej bliskość pozwoliła wreszcie jego ciału pokonać opory umysłu. Ręce, jakby za ich wspólną zgodą, sięgnęły po nią i przygarnęły ją.

Przez chwilę obejmował ją tylko, niezbyt mocno, ale bez tchu. Obydwoje milczeli, pochłonięci zetknięciem się ciał, przyspieszonym oddechem. W izbie nadal słychać było tylko trzaskanie ognia. Rebeka zwróciła ku Connorowi twarz, jakby chcąc go o coś spytać, a on spojrzął jej w oczy.

Och, znał aż za dobrze zarys jej brwi, dołeczek w brodzie, łuk kości policzkowych. Wodził teraz po jej twarz palcem, najpierw po jednej brwi, potem po drugiej, po policzku, po podbródku, niczym rzeźbiarz. Rebeka zaglądała mu w oczy, zafascynowana czułością, jaką w nich ujrzała. Uniósł palce i ledwie wyczuwalnym ruchem przesunął kciukiem po wypukłości dolnej wargi. Na ustach Rebeki pojawił się nikły uśmiech, a Connor roześmiał się nerwowo: niby niedoświadczony chłopiec, nie miał dość odwagi, żeby spróbować wspaniałości, które na niego czekały.

- Ja też cię pragnę, Rebeko.

A potem ujął jej twarz w dłonie i nakrył jej wargi swoimi. Początkowo zamierzał ją pocałować całkiem zwyczajnie, lecz ona rozchyliła przed nim usta. Najpierw ostrożnie, a potem z coraz większym zapamiętaniem zanurzył w nich język. Później wsunął palce we włosy Rebeki, odchylił jej głowę ku tyłowi, przesunął wargami po szyi. Wyczuł na niej puls i przywarł do niego.

- Powiedz mi, żebym się teraz cofnął - szepnął. Nie miał pewności, czy tego chce naprawdę, lecz uważał, że powinien tak postąpić.

Nie odpowiedziała.

- Rebeko...

- Proszę cię, nie cofaj się. - Głos miała głuchy, stłumiony. Uśmiechnął się. Rebeka uniosła się nieco na jego kolanach.

- Uff. - stęknął.

- Och, czy taka jestem ciężka?

- Hm, spora z ciebie dziewczynka... przepraszam, spora kobieta. - Przesunął ręce niżej, ku jej ramionom.

Rebeka z uśmiechem ujęła jego twarz w dłonie.

- W niczym nie przypominasz Edelstona - mruknęła.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedział półgłosem.

Nie wiedział już, czy minęły całe wieki, czy też tylko chwile, lecz wreszcie zdołał odetchnąć. Pod jego rękami ciało Rebeki unosiło się i opadało w rytm urywanego oddechu.

- Co teraz nastąpi? - spytała szeptem.

Connor zwrócił ku niej twarz ze słabym uśmiechem. Zawsze musiała zadać zdumiewające pytanie, jak to ona!

- A czy jest coś więcej? - spytał, udając zdziwienie.

- Dobrze wiesz, że jest.

- To mi powiedz, co - zachęcił ją.

- W książce papy.

- Opowiedz mi to, nie wspominając o twoim papie.

- Myślę, że najpierw musimy położyć się do łóżka - odparła po namyśle.

Jeszcze jeden raz, być może setny z kolei, Rebeka Tremaine zdołała sprawić, że Connor Riordan zaniemówił.

Prawdę rzekłszy, sam nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, czy jest coś jeszcze, bo gdy trzymał ją w ramionach, wszystko wydawało mu się absolutnie nowe. Zdołał jedynie wychrypieć:

- Brzmi to całkiem rozsądnie, więc czemu mnie tam nie zaprowadzisz?

Zsunęła się z jego kolan, wstała i wyciągnęła ku niemu rękę, a on ją za nią posłusznie ujął. I poprowadziła go, jakby był dzieckiem, do łóżka, gdzie spał poprzedniej nocy. Uklękli na nim razem, zwróceniu do siebie twarzami.

- A, rzeczywiście, jest coś jeszcze. - Mówiąc te słowa, Connor sięgnął po tasiemkę, którą była związana pod szyją koszula Rebeki. - Całe mnóstwo rzeczy. - Miał nadzieję, że coś zdoła sobie przypomnieć.

Niby ktoś, kto odsłania niezwykły skarb, Connor nie spuszczał oczu z jej twarzy, bardzo powoli ściągał koszulę z jej ramion. Przerwał na chwilę tę czynność, aby ją delikatnie pocałować w szyję. Centymetr po centymetrze, drżącymi palcami, odsłaniał jej skórę. W blasku ognia lśniła bursztynowo i perłowo. Wreszcie tkanina zsunęła się, odsłaniając ciało Rebeki aż do talii.

Uniosła odruchowo ramiona, jakby chciała osłonić swoją nagość przed jego wzrokiem. Connor dojrzał pytanie, ale też i zrozumienie w jej szarzielonych oczach, które w swojej głębi nie skrywały niczego. A potem, jakby zbierając się na odwagę, nabrała tchu i z wolna opuściła ręce.

Connor cofnął się, jakby go coś poraziło.

Przez chwilę odniósł dziwne wrażenie, że wspaniałe, białoróżowe krągłe piersi nie należą do Rebeki, znanej mu przecież w końcu od lat. Do osoby, która potrafiła trafić strzałem w jabłko z odległości pięćdziesięciu kroków i bezustannie zasypywała go pytaniami.

Wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany tak długo, aż poczuł zakłopotanie. A potem, jakby z wysiłkiem, powoli, spozjrzał wyżej, w jej twarz.

We wzroku Rebeki zrozumienie ustąpiło miejsca rozbawieniu zabarwionemu szczyptą kobiecego triumfu. Zdumienie widoczne na jego twarzy po raz pierwszy dało jej odczuć siłę własnego uroku.

Trochę niezadarnymi ruchami, w pośpiechu, pełen napięcia, powiódł końcami palców po jej nagiej skórze. Poczuł, jak sprężyla się i zaparło jej dech, gdy ujął w dłoń atlasowo gładką, krągłą pierś. Gdy przymknęła oczy i bardzo cicho powiedziała „Och!”, poczuł się jak władca wszechświata.

- Connor... - Głos Rebeki docierał do niego z trudem, jakby z oddali.

- Co?

- Ja też chciałabym ciebie dotknąć.

- Nie mam nic przeciwko temu. -

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się sennie, a jego serce zaczęło gwałtownie łomotać.

- Powiesz mi, jak? - zapytała.

- Owszem - odparł zdławionym głosem. - Pokażę ci, jak.

- Ale czy twoje ramię...

- Nie martw się o nie.

Nachylił się i dotknął językiem sutka.

- Ach... - Było to raczej westchnienie niż słowo. Palce Rebeki wsunęły się we włosy Connora i przyciągnęły jego głowę do siebie.

Powolutku, najdelikatniej, jak mógł, przechylił jej ciało do tyłu, aż wreszcie leżała na łóżku. Wkrótce guziki jego koszuli, szarpane niecierpliwie przez Rebekę, po raz drugi rozsypały się na podłodze myśliwskiego domku. Rozległ się jej pełen ulgi śmiech, a potem nastąpiła pierwsza próba dotknięcia jego skóry. Connor, zgodnie z daną obietnicą, pokazywał, jak ma to robić. Po ucałowaniu wnętrza jej dłoni powiódł ją tam, gdzie pragnął. Potem wciągnął gwałtownie powietrze i chwycił ją za nadgarstek.

- Connor, czy to było może...

- ...zbyt dobre - szepnął głucho. - Wrócimy do tego później, dobrze?

Odgarnął do tyłu jej włosy i raz jeszcze pocałował ją w usta, a potem wodził drżącymi rękami po jej ciele - po piersiach, brzuchu, biodrach. Wszystko było zdumiewająco, jedwabście gładkie. Rebeka z zapartym tchem wyprężała się cała pod jego dotykiem, to przysmykając, to unosząc powieki. Connor na chwilę zamarł w bezruchu i wsparł się na łokciu, z ręką zwisającą nad jej łonem. Ogarnął ją całą wzrokiem.

- Boże, jaka jesteś piękna.

Uśmiechnęła się nieśmiało. Dotknął lekko wargami jej ust. Uniosła dłoń, chcąc dotknąć jego twarzy. Gładził jej pierś wierzchem dłoni, delektując się atlasową gładkością, a później jego ręka zaczęła przesuwać się niżej; końce palców odnalazły wnętrze ud.

- Connor... och... to jest cudowne!

- Co mi chcesz powiedzieć?

- Nic. - Próbowwała się zaśmiać, lecz jego palce sunęły coraz niżej, a śmiech Rebeki zamienił się w rozdzierające westchnienie.

- Dotknij mnie teraz.

To nie była prośba, tylko wypowiedziane schrypniętym głosem żądanie. Palce Rebeki błądziły po jego brzuchu, po ramionach i biodrach, czyniąc te same odkrycia, co przedtem jego ręce. Delikatnie wsunęły się we włosy na jego piersiach. Za palcami poszły wargi. Z gardła Connora wydobył się głuchy jęk. Zamknął oczy.

- A co ty teraz próbujesz mi powiedzieć? - zapytała.

Connor zaklął, na wpół ze śmiechem, a później chwycił ją za ramiona, przycisnął mocno do siebie i gwałtownie pocałował, szepcząc jej imię. W następnej chwili nakrył ją swoim ciałem, spojrzał jej prosto w oczy, uniósł się na rękach. Kolana Rebeki się rozchyliły

- Connor, ja chcę... proszę... Wiedział, że już nadszedł czas.

Wziął ją w ramiona, unosząc lekko jej ciało, tak że jej noga spoczęła na jego biodrze. Rebeka wydała z siebie jakiś niewyraźny pomruk i zaczęła poruszać biodrami, powtarzając raz po raz jego imię, aż wreszcie cała wygięła się w łuk. Cichy okrzyk powiedział mu o jej odprężeniu. Oddychała szybko i głośno.

Connor odgarnął jej zwilgotniałe włosy z czoła i założył je za uszy, a potem dotknął ustami warg.

- Connor... - Głos Rebeki był pełen uwielbienia.

- Słucham cię... - Ledwie mógł mówić, tak dusiło go w gardle. Czuł triumf. Zrobił to dla niej.

- A ty?...

Powtórnie uniósł się nad nią na tyle, na ile pozwalało zranione ramię.

- Już niedługo, Rebeko. Spojrzał w jej oczy, pełne ulgi.

- Może cię zboleć, ale tylko trochę. Boisz się?

- Wcale.

Uśmiechnął się lekko. Wyczuł, że nadrabia miną.

- A ja tak, choć nie za bardzo - zwierzył się jej.

- Dlaczego?

Nie potrafił jej wyjaśnić.

- Nic się nie bój, przecież jestem blisko przy tobie! - powiedziała półgłosem. Oplotła go rękami i nogami, przywierając do niego ciasno. A wtedy wreszcie wniknęła w nią, szepcząc jakieś zapewnienia, potem zaś tylko ochryple sylaby.

Wymówił jej imię, gdy nadeszła ekstaza.

Spali potem może jakąś godzinę ciasno spleceni. Connor zbudził się, czując jej poruszenie. Uśmiechnęła się do niego sennie. Ucałował ją w czubek głowy.

- Kocham cię - wymruczała.

- I ja ciebie - odparł, lecz te dwa poważne uroczyste słowa nie potrafiły oddać tego, co naprawdę czuł.

Rebeka raz jeszcze uśmiechnęła się do niego, zamknęła oczy i zaraz usnęła na nowo.

Zaprzagnął mieć ją przy sobie na zawsze. W jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób wiedział o tym od dawna. Może nawet od pierwszego dnia, gdy tylko ją zobaczył.

Wszystko teraz wydawało mu się proste, a medaliony, bandyci i podwójna tożsamość straciły wszelkie znaczenie. Był tylko i jedynie mężczyzną, który tulił śpiącą Rebeke.

Nikim innym.

15

A w wodach Georgii żyją wielkie, pokryte łuskami, zębate potwory, które jednym kłapięciem długiego pyska potrafią pozbawić życia sarnę.

- Kłamiesz!

- Ależ skąd! - zapewnił ją uroczyście. - Pływają w takich wodach, jak ta, tylko mniej przejrzystych, ale mogą też z nich wypelzać i wygrzewać się na słońcu, jak my teraz.

Obydwoje leżeli na kocu tuż nad brzegiem, całkiem nadzy, świecący jasną skórą w popołudniowym słońcu i pokryci kroplami wody. Rebeka chciała się jeszcze raz wykapać. Connor, z początku niezadowolony, bo - jak mówił - o tej porze powinni byli już wracać, ustąpił w końcu wobec argumentu, że mają ostatnią chyba sposobność, by się wesoło popluskać w wodzie. Jak sam przyznał, argumentu bardzo ważkiego.

A teraz opowiadał jej o Ameryce. - Czy te potwory mogą zjeść także człowieka? - spytała po chwili.

- Czasami tak. Zwą się aligatorami. Chciałabyś je kiedyś zobaczyć?

- Oczywiście - odparła, ale jakby z wahaniem i dopiero po chwili milczenia.

- Jesteś pewna? - W głosie Connora zabrzmiało tłumione rozbawienie.

- Owszem. Chciałabym ujrzeć takie ciekawe zwierzę - upierała się.

Spojrzała jednak na wodę nieufnie. Znowu zamilkli. A potem Connor złapał ją nagle za biodro i zawył głośno. Rebeka poderwała się gwałtownie i wydała z siebie serię dzikich wrzasków.

- Och, ty potworze! - krzyknęła i zaczęła tłuc go pięściami po piersi, podczas gdy on zaśmiewał się do rozpuku.

- Moje ramię! Uważaj na moje ramię! - wykrztusił wśród wybuchów śmiechu, usiłując chwycić ją za nadgarstki.

Rebeka z chichotem próbowała się wyswobodzić, lecz wkrótce Connor zdołał zyskać przewagę i runął na nią całym ciałem.

Przez chwilę leżeli bez ruchu, obezwładnieni bezbrzeżną radością, jaka malowała się w ich oczach.

- A to dopiero - odezwała się cicho Rebeka.

- A to dopiero - powtórzył Connor i zlizwał kropelkę wody z jej piersi.

Rebeka spojrzała w jego pociemniałe oczy w nagłym przyplywie uniesienia.

Connor uniósł jej ręce wysoko nad głowę i z przewrotnym uśmiechem przygwoździł ją do ziemi. Rebeka powoli powiodła stopą po jego łydce i oplótła go nogami. Wniknął w nią jednym długim, niespiesznym ruchem, a potem bardzo powoli kołysali się i delektowali wzajemnie swoimi ciałami, chłodnymi i śliskimi od wody, rozświetlonymi słońcem. Rebeka, z odchyłoną do tyłu głową, myślała tylko: „Coś cudownego!” Connor przesuwając zarośniętym policzkiem po jej gładkiej szyi i odnajdywał jej wargi tylko po to, by mu znów umykały, gdy odwracała głowę. A potem poczuła się tak, jakby jej skóra pękła na tysiące błyszczących, płomiennych gwiazdeczek i targnął ją dreszcz.

Connor opadł na nią, drżąc na całym ciele. Kołysała w dłoniach jego głowę, gładząc rozwichrzone czarne włosy i odgarniając uparty kosmyk znad czoła. Długo leżeli w milczeniu, aż wreszcie znów byli w stanie oddychać miarowo.

Connor zsunął się powoli z jej ciała, lecz zaraz potem wziął ją w ramiona. Trwali tak jakiś czas bez ruchu, póki Connor nie zaczął drzemać. Rebeka spojrzała w górę, na drzewa. Plamy błękitnego nieba prześwitywały przez listowie, zupełnie jakby nad nimi rozciągało się sklepienie z wielkim witrażem. Przeniosła wzrok na ramiona, które ją obejmowały, i delikatnie powiodła palcem wzdłuż błękitnych żył, bezgranicznie szczęśliwa, że wciąż pulsuje w nich życie.

Przejmowała ją zachwytem fizyczna strona miłości i to, że próby jej zaspokojenia tylko wzmagają bez końca to pragnienie, a także radosna i zarazem przerażająca chwila, kiedy nie wiedziała już sama, gdzie się kończy jej ciało, a zaczyna jego. Wszystko było cudowne: ciężar Connora, jaki na sobie czuła; ruch, którym wtulał twarz w zagłębienie między jej szyją a ramieniem i stłumionym głosem szeptał jej imię; spojrzenie, które stawało się palące i nieobecne, a jednak nadal spoczywało na jej twarzy; to, jak się w niej poruszał, nim doznał najwyższego uniesienia.

Nawet późniejsze znużenie ciała było czymś wspaniałym, bo świadczyła o tym, że posłużyło do celu, w którym zostało stworzone.

W jakiś dziwny, niewytłumaczony sposób wszystko to sprawiało, że gra na fortepianie wydawała się jej teraz czymś jeszcze bardziej beznadziejnym.

Och, jakże go kochała, ale też pragnęła wiedzieć o nim coś więcej. Irlandzki akcent mocno osłabł, odkąd Connor porzucił stajnie, i coraz wyraźniej uwydatniało się oraz dawało znać o sobie znamię czegoś innego. Dostrzegła, że w sposobie bycia, w głosie, w ruchach zaczęło się przejawiać coś, co do niego lepiej pasowało. Bił się z rozbójnikami, strzelał, mówił i nosił się jak dżentelmen. Lecz również coś innego, jakiś nieokreślony urok, bystrość, bogactwo wysłowienia, łatwość panowania nad sytuacją - wszystko to decydowało o zmianie. Chciała wiedzieć, skąd się to u niego bierze.

- Connor...

Otworzył jedno oko i spojrzał na nią.

- O co ci chodzi...

- Powiedz, kim jesteś naprawdę.

Doprawdy, miała niezwykle talent do zadawania wyjątkowo zaskakujących pytań w najbardziej nieoczekiwanej chwili. Connor usiadł, całkiem już rozbudzony, i nerwowo przejechał dłonią po włosach, lecz nic nie powiedział.

Ona zaś ciągnęła, trochę niepewnie:

- Pewnego dnia papa po kilku dniach ciągłych deszczów w ogrodzie z tyłu za domem zawadził o coś nogą. A kiedy ogrodnik Tom tę rzecz wykopał, okazało się, że to skrzynka pełna rzymskich monet. Bardzo ładnych i podobno niezwykle wartościowych.

Tylko że gdyby nie deszcz, skrzynka mogłaby tam tkwić nie wiadomo jak długo, a my nic byśmy o niej nie wiedzieli.

Connor uśmiechnął się smętnie.

- Ach, tak. Przypominam ci zatem coś, co było pogrzebane na wieki? - spytał ironicznie.

- Wiem, że powinienem się w końcu ogolić, ale chyba na takie porównanie nie zasługuję.

Patrzył jednak daleko przed siebie, na wodę, nie na nią.

Rebeka siedziała bez słowa, ciasno obejmując kolana rękami. Connor przeniósł spojrzenie na nią. Serce mu się ścisnęło, tak blada i pełna napięcia była jej twarz.

- Wybacz mi. Nie wiesz, co właściwie znajdziesz w tej skrzynce, kiedy już ją wykopujemy?

- Właśnie.

Raz jeszcze spojrzął na wodę.

- Czy... zrobiłeś może coś niezgodnego z prawem?

- Daję ci słowo, że nie, przynajmniej odkąd cię poznałem. Z tym, co było przedtem, to już inna historia.

Zdobyła się na blady uśmiech.

- Czy w takim razie jesteś... byłeś... kimś znacznym? Connor nadal nie patrzył jej w oczy, tylko na rzekę, która gdzieś poza zasięgiem jego wzroku wpadała do morza. A za morzem była Ameryka. Nowe życie. Oby tylko resztki starego nie przeszkodziły mu tam dotrzeć.

- Tak - przyznał w końcu.

Słowo to legło między nimi jak ciężki kamień.

Rebeka tylko kiwnęła głową, jakby usłyszała coś, o czym od dawna wiedziała.

Milczeli oboje w zamyśleniu. Connor wstał i przez dłuższą chwilę krążył po brzegu. A gdy się odezwał, słowa popłynęły z jego ust strumieniem.

- Rebeko, kiedy zostałem ranny, uznałem, że trafiła mi się szczęśliwa sposobność.

Nienawidziłem życia, które przedtem wiodłem i które czekało na mnie po powrocie z wojny. Pełnego zakazów, nakazów, dławiącego przymusu. Poszedłem się bić w gruncie rzeczy po to, żeby od niego uciec. I po prostu zostawiłem je za sobą. Daję ci słowo, że nie chodziło o żaden skandal. Nie miałem żony ani dziecka. Wszyscy, którzy mnie znali, myśleli, że zginąłem pod Waterloo, więc łatwo mi było rozpocząć nową egzystencję.

- Chyba powinnam była o tym wiedzieć.

- Dlaczego?

91- Bo stałeś się moim sercem. Powinnam wiedzieć, czy moje serce nie przestało bić.

Powiedziała to tak zwyczajnie, tak trzeźwo. Raz jeszcze Rebeka Tremaine zdołała sprawić, że zaniemówił.

Przestał krążyć w kółko. Zawsze udaje się jej sprawić, że nie wiem, co powiedzieć, pomyślał, i zawsze też pragnę mieć ją przy sobie. Spojrzął na Rebece. Patrzyła na niego błagalnie.

- Wszyscy uwierzyli w moją śmierć. Gdybyś się znalazła pod Waterloo, zrozumiałabyś, jak łatwo było w to uwierzyć. Porzuciłem ważne powinności i wielkie bogactwa. Nie powiem, abym był z tego dumny, ale nie chcę wracać do dawnego życia. Jestem teraz szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Proszę, nie gardź mną z tego powodu.

Rebeka spojrziała na niego z niedowierzaniem.

- Och, na miłość boską... - zaczęła.

- Co takiego? - spytał zaskoczony.

- ...przecież ja też porzuciłam swoje powinności jak ty. Powinnam była wyjść za Edelstona, grać na fortepianie, haftować... Zapewne pędziłabym później dość nudne życie gdzieś na wsi, podczas gdy mój mąż siedziałby w Londynie przy stoliku karcianym. Porzuciłeś swoje powinności podobnie jak ja. Nie mogłabym znieść życia, które mnie czekało, więc bez wahania wybrałam inne. Dzięki twojej pomocy. Jakże mogę tobą gardzić, kiedy właśnie ty, jeden ze wszystkich znanych mi ludzi, zawsze na swój sposób dbałeś o moje dobro? Nie mogę sobie wyobrazić, byś kiedykolwiek opuścił kogoś w potrzebie.

Była to prawda, tylko że Rebeka nie porzuciła miejsca, które jemu od setek lat przysługiwało w parlamencie. Nie opuściła ziemi, na której obydwójce teraz przebywali. Rodzina i przyjaciele nie muszą płakać nad jej śmiercią. Nie zerwała z kochanką bez słowa pożegnania.

O mało nie powiedział tego wszystkiego na głos.

- Rebeko, to nie takie łatwe. Mężczyźni mają inne obowiązki niż kobiety... - zaczął.

- Co za banialuki - przerwała mu. - Owszem, obydwójce byliśmy samolubni, ale nie dbam o to ani trochę, póki tylko mogę być z tobą.

Spojrzał na nią zaskoczony. Czy któregoś dnia Rebeka przestanie go wreszcie zdumiewać? Nie było w niej żadnych zahamowań, oddała się miłości z zapamiętaniem i z jakąś pokorną czułością.

Jednak niezależnie od tego, jak bardzo pochłonęła ich miłość, będzie musiał kiedyś zrobić porządek z resztą tamtego życia, lecz teraz obraz siebie samego, jaki ujrzał w jej oczach, zanadto mu pochlebiał. Connor zapragnął być samolubny i nie przejmować się tym. Po przemocy, jakiej doświadczył, i po udziale w wojnie miał, jego zdaniem, prawo do odrobiny egoizmu. Częścią zaś owego egoizmu było to, że wolał nie mówić Rebecce całej prawdy o sobie. Nie zrobi tego, póki ona nie będzie do niego należeć całkowicie i legalnie. Póki poznanie pełnej prawdy nie będzie groziło, że poczuje do niego niechęć i rozczarowanie.

Zwilgotniały mu dłonie. W jaki sposób mógł dożyć dwudziestego dziewiątego roku życia, nie myśląc o małżeństwie, mimo że odkąd skończył osiemnaście lat, arystokratyczne dziewczynki wprost go oblegały? Bale i przyjęcia roily się od panien na wydaniu, ale żadna z nich nie zdołała wzbudzić w nim zainteresowania na dłużej. Był rozgoryczony, pochłaniały go własne problemy i poddawanie stałej próbie granic ojcowskiej cierpliwości. Przedłużenie rodu wydawało mu się niemiłym obowiązkiem, którego należało dopełnić w jakiejś odległej przyszłości.

Odkąd jednak ocknął się w objęciach Rebeki, nie myślał o niczym innym. A co będzie, jeśli się jej oświadczy, ona zaś zacznie się wahać i trzeba będzie ją usilnie przekonywać? Wiedział, co by wtedy zrobił. Po raz pierwszy w życiu posunąłby się do próśb. Zaczęłyby jej nawet grozić, gdyby okazało się to konieczne. Straszylby ją, że mogła przecież zająć w ciąży. Na Boga! Małżeństwo z nią było jedynym prawdziwym pragnieniem, jakie żywił od bardzo dawna. A potem chciałby już tylko wynagrodzić jej to, czyniąc ją szczęśliwą na resztę życia.

- Connor, czy ty się dobrze czujesz? - spytała z niepokojem.

Connor nigdy jeszcze nie słyszał, by ktoś oświadczał się wybrance w stroju adamowym, nie dbał jednak o to, czy istniał wcześniej w tej dziedzinie jakiś precedens.

- Rebeko... - zdołał z trudem wychrypieć. Ładny początek!

- Connor, proszę cię, usiądź koło mnie. Wyglądasz, jakby ci się robiło słabo! Czy nie dokucza ci ramię? Mogę na nie spojrzeć?

- Nie! - burknął z irytacją. Rebeka drgnęła.

- Myślałam, że...

Chyba lepiej by wyglądało, gdyby przed nią ukląkł, lecz cofnęła się, nieco zaniepokojona. Z trudem pohamował wybuch histerycznego śmiechu. W jaki sposób zakochani mogą to zręcznie zrobić? Czy można w ogóle znieść coś takiego jak zaręczyny?!

- Connor...

- Bądźże cicho! - parsknął ostrzejszym tonem, niż zamierzał. - Próbuję poprosić cię o rękę!

Otworzyła ze zdumienia usta i spojrzała na niego oczami całkiem pozbawionymi wyrazu, a po chwili wybuchnęła chichotem. Connor popatrzył na nią ze złością.

- Och, tak, tak, tak! - wydusiła z siebie z trudem, nadal chichocząc. - Oczywiście! Ja... ja... strasznie cię przepraszam, ale to było... och, takie romantyczne!

Usta Connora zaczęły nagle drgać i w końcu on także zaśmiał się głośno i triumfalnie. Uznał za rzecz nieważną, że oświadczył się jej w najniezręczniejszy z możliwych sposób, skoro otrzymał akurat taką odpowiedź, jakiej sobie życzył. Co z tego, że przerywaną chichotem!

Rebeka rzuciła mu się w ramiona, a on objął ją mocnym uściskiem.

- Mam niewiele pieniędzy, Rebeko, lecz ciotka bez wątpienia nam pożycz, tak że będziemy mogli szybko pobrać się w Gretna Green. Musimy jednak wkrótce ruszyć w drogę, żeby tam dotrzeć. Popłyniesz ze mną do Ameryki, prawda? Może będziesz tam mogła leczyć ludzi... - mówił jak najęty, czując jednocześnie ulgę, nieopisane szczęście i strach na myśl o niesłychanej wadze kroku, na który przed chwilą się ważył.

- Tak - wyszeptła z głową wspartą o jego pierś. - Zgadzam się na wszystko, bylebyśmy tylko byli razem!

Connor objął ją i ukrył twarz w jej włosach, wdychając ich zapach. A jednak Marianne Bell, Richard, ojciec i młody Pickering tkwili gdzieś na skraju jego świadomości niby strzępy złego snu.

16

Domek myśliwski nie miał wprawdzie okien, lecz brzask przenikał przez szpary. Rebeka otworzyła oczy. Connor siedział na łóżku koło niej, obejmując kolana rękami i spoglądając ku drzwiom. Rebeka na wpół sennie uniosła się z pościeli i pocałowała go delikatnie w ramię. Uśmiechnął się lekko. Serce podskoczyło w niej gwałtownie, co zdarzało się często przez ostatnich kilka dni. Lubiła myśleć, że musi się w ten sposób rozciągnąć, by pomieścić w sobie więcej radości.

Connor zatopiony w swoich myślach, nic jednak nie mówił ani nie próbował jej objąć. Usiadła obok niego, jakby chcąc mu towarzyszyć w tym nastroju, i spojrzała w tym samym kierunku, co on, pragnąc się przekonać, czego wypatrywał.

Odezwał się dopiero po chwili.

- Rebeko, kiedy wyszedłem z lombardu...

- Tego, w którym kupiłeś mi Zielnik?

- Tak. - Uśmiechnął się. - Właśnie z tego. Spotkałem wtedy przyjaciela...

- To ty masz przyjaciół?

- Trochę za wcześnie na żarty, nie sądzisz? - Connor skrzywił się. - Owszem, mam przyjaciela... i to starego przyjaciela... więc pomyślałem, że może... powinniśmy mu dzisiaj złożyć wizytę. Jeżeli zdołamy go znaleźć.

- Dlaczego mamy go gdzieś szukać? - spytała zaskoczona. - A co z Gretna Green? Czemu mi dotąd nie wspominałeś o tym przyjacielu? Dlaczego mamy mu składać wizytę? Czy on mieszka w tych okolicach?

- W pewnym sensie.

- W pewnym sensie? Co to właściwie ma zna...

Connor nakrył jej usta swoimi, nie pozwalając dokończyć pytania. Łagodnym naciskiem zmusił ją, by rozchyliła wargi.

- Mmm... - westchnęła, poddając się jego zabiegom.

W końcu Connor uniósł głowę. Na wpół przymknięte oczy świadczyły o tym, że pocałunek sprawił mu niemałą satysfakcję.

- Podobało ci się?

- Podobało, nic na to nie poradzę. A więc ten twój przyjaciel...

Connor znów ją pocałował.

Resztki mgły snuły się jeszcze po lesie, a przez listowie przezierały wąskie wiązki promieni, sypiąc plamkami światła. Rebeka była jeszcze senna, jej nogi zwisały bezwładnie po obu stronach końskiego grzbietu. Chętnie dużo dłużej poleżałyby w łóżku. Connor był jednak nieubłagany, pozostało jej więc tylko dokładać wysiłków, by się utrzymać w siodle.

Ponieważ Connor nalegał, jechała za nim, a nie przed nim czy obok i znów miała na sobie brudny chłopięcy strój, od którego swędziała ją skóra. Connor był dziwnie roztargniony i poza paroma krótkimi zdaniem nic nie mówił, odkąd opuścili domek myśliwski. Widziała, że wodzi wzrokiem po leśnym poszyciu, jakby czegoś pilnie wypatrywał.

- Connor...

Spojrzenie, jakie jej posłał, wyraźnie mówiło, żeby dała mu spokój, bo jest bardzo zajęty. Rebeka westchnęła głośno, ale powstrzymała się od dalszych pytań. Coraz bardziej ją jednak niepokoiło, że jadą nie na północ, czyli ku Szkocji, jak poprzednio planowali, a więc nie do Gretna Green, gdzie mogliby się pobrać, lecz z powrotem, drogą, którą tu przybyli.

Connor nagle zatrzymał konia i przyglądał się uważnie ułamanej gałęzi, która wyglądała, jakby ją celowo położono na ziemi. Była rozwidlona, a dłuższy z jej końców zwracał się ku południowi. Connor uśmiechnął się pod nosem i wytarł ręce o spodnie, chcąc osuszyć spocone dłonie, a jego napięcie wyraźnie zelżało. W nieco lepszym nastroju zawrócił konia, jadąc w kierunku, który wskazywała gałąź. Rebeka podążyła za nim.

Uznała, że nadszedł chyba czas na kolejne pytanie.

- Connor, dokąd jedziemy? Gdzie mieszka ten twój przyjaciel?

Spojrzał na nią z ukosa.

- Zapewniam cię, że ci się tam spodoba.

- Pytałam o co innego.

- Wiem, ale tylko tyle mogę ci powiedzieć.

Uśmiechnął się do niej, a choć zwykle jego uśmiech uważała za promienny, tym razem poczuła szczerą chęć, żeby mu dać kopniaka.

Jechali tak jeszcze dość długo. Connor od czasu do czasu uważnie się przyglądał jakiemuś kopczykowi kamyków lub leżącym na ziemi gałęziom i za każdym razem zwracał konia w tym właśnie kierunku.

- Chcę, żebyś mi wreszcie powiedział, gdzie jedziemy!

- Szkoda, że nie jestem dobrą wróżką, która spełnia wszystkie życzenia.

Rebeka uznała, że ironia jest mimo wszystko lepsza od milczenia. I pojechali dalej.

Wreszcie usłyszała początkowo słabe, lecz przybierające na sile dźwięki, które nie były szumem lasu. Jakieś głosy mówiły coś w obcym języku, ktoś się śmiał, ktoś inny kaszłał. Konie rżały z cicha, coś podzwaniało, gotowano też jakąś potrawę o apetycznym zapachu, co sprawiło, że poczuła ssanie w żołądku.

Chwilę później znaleźli się na polanie, pośród mężczyzn, kobiet i dzieci o smagłych twarzach i błyszczących oczach. Rozmowy w dziwnym języku się urwały.

Pośrodku polany stał wysoki mężczyzna z jasnymi oczami i rękami opartymi na biodrach, nieustannie wodząc oczami od Connora do niej, tak że co chwila zwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę. I uśmiechał się szeroko.

- Za dużo tego dobrego dla ciebie, prawda? - spytał go Connor.

Raphael rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć w ten sposób: „A czy ja coś mówię?”

- Jak widzę, posłuchałeś mojej rady - stwierdził. Connor się skłonił.

- Raphaelu, to moja dobra znajoma, panna Rebeka Tre... - Tu urwał, uważając, że lepiej będzie nie wymieniać jej nazwiska. - Rebeko, to jest Raphael Heron.

Rebeka, z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia, skinęła Raphaelowi głową z wysokości końskiego grzbietu. Raphael zaś odwzajemnił jej ukłon z szerokim uśmiechem.

Connor zsiadł z wierzchowca i przytrzymał Rebecę strzemię, żeby mogła zrobić to samo.

- To Cyganie? - spytała go ledwo dosłyszalnym szeptem, niesłuchanie przejęta. Jej matka chwyciłaby się na ten widok za serce, a potem padła bez zmysłów na ziemię.

- Mówiłem, że ci się tu spodoba - odparł, również szeptem, z tak zadowoloną miną, jakby zafundował jej jakąś niesłuchaną atrakcję. - Ale oni wolą, żeby ich nazywać Romami.

- Czy to ten Cygan, który cię uczył łapać w sieć zająca?

- Właśnie on. A jeżeli mi nie wierzysz, chętnie to potwierdzi. Raphael Heron powiedział coś szybko do niego w swoim dziwnym języku, przypominającym szmer wody płynącej po kamieniach, melodyjnym i gardłowym jednocześnie. Ku jej zdumieniu Connor odpowiedział mu całkiem biegle w tej samej mowie. Raphael po namyśle kiwnął głową.

Rebeka rozejrzała się po polanie. Cyganie-przyglądali się im bez słowa. Jedna z dziewczyn wlepiła oczy w Connora, bynajmniej się z tym nie kryjąc.

- Leonoro, Marto, chodźcie tu - przemówił w końcu Raphael i dwie kobiety zwróciły twarze ku niemu, w tym dziewczyna zainteresowana Connorem.

- Czy ta młoda dama gadzio mogłaby odpocząć w waszym namiocie?

- Idź z Leonorą, Rebeko - odezwał się Connor przyciszonym głosem. - Muszę o czymś pomówić z Raphaelem.

Rebeka otworzyła usta, lecz szybko je zamknęła. Pragnęła czegoś więcej: przyjaznego dotknięcia, uspokojenia, wyjaśnienia, czemu akurat tutaj przybyli. Choć Connor patrzył na nią życzliwie, jasne było dla niej, że to stanowcze polecenie.

Kobieta zwana Leonorą uśmiechnęła się i wyciągnęła ku niej brunatną dłoń. Rebeka nie miała wyboru. Ujęła Leonorę za rękę, a Cyganka odprowadziła ją na bok.

O mało nie przegapiły bileciku, który trudno było zauważyć wśród innych kart i mnóstwa bukietów przysyłanych Lorelei, odkąd tylko rodzina Tremaine'ow zjechała do Londynu. Sądząc z tego, jak wyglądał teraz salon lady Kirkham, chyba wszystkie oranżerie Anglii opróżniono do czysta, by obsypać kwiatami debutantkę.

A jednak Lorelei szczerze zainteresowała tylko skromna wiązanka błękitnych dzwoneczków. Od czasu jej pierwszego balu u Almacka ten niewielki bukietek codziennie pojawiał się pod jej drzwiami tuż po śniadaniu. Bilecik zaś nieodmiennie głosił: „Mojemu dzwoneczkowi”. I nic więcej.

Matka uznała, że anonimowo przysyłane dzwoneczki są wprawdzie miłe, lecz naiwne w porównaniu z ekstrawaganckimi bukietami cieplarnianych kwiatów od wicehrabiego Graysona i hrabiego Pennyworth. Bez wątpienia dzwoneczki pochodziły od kogoś, kto nie miał szans, by liczyć na względy Lorelei.

Jednak prawda, którą знаła tylko dziewczyna, wyglądała całkiem inaczej.

Gdy rozanielona i rozgadana lady Tremaine uporządkowała bileciki i zaproszenia, przyjrzała się dokładniej listowi. Zaadresowano go, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, do sir Henry'ego, a nie do niej. Bez słowa podała go mężowi.

Brwi sir Henry'ego podjechały gwałtownie do góry. Nie lubił całego tego zawracania głowy, lecz list skierowany bezpośrednio do niego musiał być czymś ważnym, choć niekoniecznie przyjemnym.

Otworzył go i z mieszanymi uczuciami rozpoznał papeterię księżnej Dunbrooke. Jak na ironię, wspaniałomyślność księżnej stawiała Tremaine'ow w niełatwym położeniu.

Wieści o poszukiwaniu Rebeki sprawiały im kłopot, mimo że wyglądało to na niewdzięczność z ich strony, bo w końcu właśnie księżna wprowadziła Lorelei do Almacka, a w przyszłości mogła okazać się również użyteczna. Niepewność, brak wiadomości i niezdolność do zrobienia czegokolwiek w celu odnalezienia córki były dla nich udręką.

Sir Henry przeczytał liścik, a potem przymknął oczy i sapnął tak donośnie, jakby długo wstrzymywał dech.

- Henry, co to takiego? - spytała z niepokojem lady Tremaine. Bez słowa podał jej list, którego treść głosiła: „Widziano ją w Szkocji”.

Sir Henry spojrział na żonę. Dolna warga zaczęła się jej trząść.

- Niech to licho porwie! - Sir Henry zmiął karteczkę w dłoni.

- Szkocja? Czemu akurat Szkocja?

Sir Henry, lady Tremaine i Cordelia Blackburn siedzieli w salonie lady Kirkham przy herbacie. Lorelei w towarzystwie służącej wyprawiono na wieczorek towarzyski i kazano jej powiedzieć, że matka cierpi na ból głowy, więc dzisiaj nie składa żadnych wizyt.

- Nie mamy co do tego zupełnej pewności - rzekła Cordelia - ale wiemy, że nic się jej nie stało. Jak-można przypuszczać, w ucieczce pomógł jej ktoś z sąsiadów.

- Robbie Denslowe! Ten młody hultaj...

- Ależ, Henry - mitygowała go lady Tremaine - przecież Robbiego nie było w domu, kiedy Rebeka zniknęła. Nie mógł tego zrobić! Najważniejsze, że nic się jej nie stało!

- Sir Henry, muszę podkreślić, że nie wiadomo, jak zdołała tam dotrzeć, trudno zatem wyciągać jakieś wnioski - dodała Cordelia.

- Nie wiem nic poza tym, że widziano w Szkocji młodą dziewczynę o powierzchowności odpowiadającej opisowi Rebeki i że wyglądała na zdrową. Kazałam moim pomocnikom kontynuować poszukiwania. Bez wątpienia wkrótce ją znajdą.

- Czy była... sama? - Głos lady Tremaine zadrzał przy tych słowach.
- Nie wiem - przyznała Cordelia. - Powiedziałam państwu wszystko, co wiem.
- Pojadę tam i pomogę ją schwytać! - Zdaniem sir Henry'ego wyprawa do Szkocji w pogoni za jego pełną fantazji młodszą córką byłaby ucieczką od beznadziejnie nudnej karuzeli przyjęć i balów.
- Nie możesz tam jechać akurat teraz! -jęknęła lady Tremaine.
- Wicehrabia lada chwila oświadczy się Lorelei, jestem tego pewna. Chyba nie chcesz narażać jej przyszłości?
- Nie rozumiem, w jaki sposób poszukiwania Rebeki mogłyby zaszkodzić przyszłości Lorelei - odparł sir Henry ze źle skrywaną irytacją.
- Ludzie zaczęliby pytać, gdzie się podziewasz. Jeśli nagle znikniesz...
- Pozwólcie państwo, że się wtrączę...

Sir Henry i lady Tremaine zwrócili zdenerwowane twarze ku Cordelii.

- Sądzę, sir Henry - zaczęła z wolna - że w tej chwili słuszność jest po stronie lady Tremaine. Po cóż narażać przyszłość Lorelei, skoro - jak można się domyślić - Rebeka niedługo wróci do domu? Widziano ją, a moi pomocnicy niewątpliwie też ją wkrótce zobaczą. Lordowi Edelstonowi bardzo spieszo do poślubienia jej mimo tej... wycieczki. A on ma przecież całkiem przyzwoity tytuł i odziedziczy niemały ziemski majątek. Moi pomocnicy sprowadzą ją stamtąd, gdy tylko zyskają pewność, że nie przydarzyło się jej nic godnego pożałowania. Proszę pomyśleć, jakie to będzie wspaniałe: wyda pan za mąż obie córki podczas jednego sezonu! - Cordelia ozdobiła swoją przemowę zachęającym uśmiechem.

Rodzice Rebeki doskonale zrozumieli wszystko, co zostało przemilczane lub raczej dyskretnie zasugerowane w myśl reguł znanych od kołyski ludziom dobrze wychowanym. Lordowi było „spieszno do jej poślubienia”, chociaż to właśnie on skompromitował dziewczynę o północy w ogrodzie Tremaine'ow. Miał prócz tego „całkiem przyzwoity tytuł” i „odziedziczy niemały ziemski majątek”. Mogli się uważać za szczęśliwych, że jakkolwiek utytułowany dżentelmen w ogóle zainteresował się Rebeką. „Moi pomocnicy sprowadzą ją stamtąd, gdy tylko zyskają pewność, że nie przydarzyło się jej nic pożałowania godnego”, czyli gorszego niż to, co już się stało, głównie z winy samej Rebeki. Księżna miała zupełną rację.

Lady Tremaine popatrzyła błagalnie na sir Henry'ego, który odpowiedział jej spojrzeniem pełnym zgrzyoty, lecz jego opór osłabł. Ojciec Rebeki westchnął. Chcąc mieć święty spokój, zawsze spełniał w końcu życzenia żony. Pomocnicy księżnej, zapewne jacyś agenci z Bow Street, bez wątpienia wiedzieli lepiej, gdzie znaleźć jego córkę, niż on sam.

- Dobrze. Zostaję. Jesteśmy pani niesłychanie wdzięczni za wszystko, Wasza Wysokość. Lady Tremaine odetchnęła z ulgą.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła uprzejmie Cordelia.

Bardzo jej ulżyło, gdy sir Henry i jego żona tak łatwo dali się nabrać na bajeczkę o Szkocji. Obawiała się, że będą uparci i zechcą wziąć sprawy we własne ręce, jeśli nie podsunie im jakiejś informacji, nawet spreparowanej. W rzeczywistości od czasu ostatniej utarczki ze zbirami Hutchinsa zarówno Rebeka, jak i Roarke Blackburn podziewali się Bóg wie gdzie, znikając na szkockich rubieżach. Ale już ona ich znajdzie! A raczej jej pomocnicy. Hutchins wezwał z powrotem do Londynu parę zbirów dwukrotnie pokonanych przez Roarke'a Blackburna i zaangażował kilku innych. Wszystkim przyrzeczono sowitą zapłatę, jeśli przywiozą wieść o śmierci Blackburna.

Cordelia potrzebowała tylko trochę czasu. Chciała też, by Tremaine'owie nie zadawali jej różnych kłopotliwych pytań. Dotychczas zgadzali się potulnie na wszystko. Raz jeszcze tytuł księżnej, jaki nosiła, sprawił, że jej uwierzono. Cordelia zaś zamierzała bronić praw do niego za wszelką cenę.

17

Rebeka przypatrywała się z ciekawością otoczeniu. W namiocie Leonory stały rzędem skrzynki oraz derki zwinięte w ciasne rulony, jak gdyby mieszkańcy dopiero co tu przybyli lub też szykowali się właśnie do odjazdu. Na podłużnym kuferku wspartym o ściankę namiotu ujrzała wiele słoików i pudełek opatrzonych nalepkami z wypisanymi starannie czarnym atramentem nazwami. Niektóre zawierały coś, co wyglądało na suszone zioła i kwiaty. Inne, jeszcze bardziej intrygujące, pełne były płynów, w których pływały ciemne drobiny.

Rebeka zerknęła na gospodynię, zastanawiając się, czy mówi po angielsku i która z nich powinna odezwać się pierwsza. Szczupła, smągła, szpakowata brunetka spoglądała na nią życzliwie czarnymi oczami. Młodsza z Cyganek wyglądała tak, jakby cała się składała z krągłości: miała krótki, zadarty nosek, pełne różowe wargi, wydatny biust i kręcone włosy. Ona również przyglądała się Rebecce okrągłymi niczym księżyc w pełni, wielkimi oczami barwy bursztynu, lecz niezbyt przyjaźnie, a nawet badawczo, jakby ją całkiem otwarcie taksowała wzrokiem.

Może to jednak przypadek? Może Rebecce tylko się zdawało, że dziewczyna wlepiała wcześniej wzrok w Connora?

- Jestem Leonora Heron, a to Marta, moja córka - odezwała się wreszcie starsza z kobiet.

- Chcesz pewnie pić albo jeść?

- Leonoro... - zająknęła się Rebeka jakby nie dotarło do niej uprzejme pytanie Cyganki.

Gdy tylko weszła do namiotu, nabrała podejrzeń, że zdaniem Cyganki wydała się źle wychowana, toteż wolała nie odkładać pytania na później.

- O co chodzi? - Leonora najwyraźniej nie uznała Rebeki za źle wychowaną albo też wcale o to nie dbała.

- Co trzymasz w tych słojach?

- Zioła, Rebeko. Zajmuję się uzdrawianiem. Rebecce gwałtownie zabiło serce.

- Czy jesteś... lekarzem?

- Och! - parsknęła wzgardliwie Cyganka. - Jestem kimś dużo lepszym od lekarza. O uzdrawianiu wiem najwięcej ze wszystkich Romów.

Duma i absolutna pewność siebie w jej głosie przejęły Rebekę podziwem. Chociaż prawie każda wieśniaczka w Anglii znała jakiś przepis lub nawet kilka na wywar czy maść, a babki położne wciąż wzywano do rodzących co najmniej równie często, jak doktorów, Rebeka nie przypuszczała, by jakakolwiek Angielka była powszechnie podziwiana za tego rodzaju umiejętności. Kobiety nie uczęszczały na uczelnie medyczne. Mogły co najwyżej trzymać miskę, gdy chirurg puszczał krew komuś z rodziny, albo zmieniać zabrudzoną bieliznę na czystą.

- Jak się nazywają zioła w tych słojach? - Rebeka przygryzła wargę, ale nie potrafiła się powstrzymać od pytań.

- Tu jest babka - wyjaśniała Leonora - ziele dobre na rany. A tu podbiał, pomaga na przeziębienie. Przyspiesza także gojenie się ran. Tam znów złocien na uspokojenie i lulek czarny...

- Przeciw bólowi - dopowiedziała skwapliwie Rebeka.

- Tak, ale nie można go brać za wiele, wystarczy lekki napar, bo inaczej pacjent gotów już nigdy więcej nie poczuć żadnego bólu.

Zaśmiały się jednocześnie, co obie zaskoczyło.

Marta wreszcie odwróciła wzrok od Rebeki i błędziła obojętnie spojrzeniem po wnętrzu namiotu.

- A to... - Rebeka pragnęła zachęcić Leonorę do dalszych wyjaśnień, a Cyganka nie opierała się temu.

- A to... kora bzu czarnego, dobra na... - Jak nauczycielka czekała, by Rebeka skończyła za nią zdanie.

- .. reumatyzm - domyśliła się Rebeka.

- Tak, a także na czyraki i wiele innych chorób - powiedziała Leonora, nie kryjąc uznania. - A tu znów petunia...

- ...na ukąszenia i użądlenia. - Rebeka dowiedziała się tego z Zielnika. - Robi się z niej okłady.

- Owszem. Wywar pomaga także na wzdęcia i gazy - dodała Leonora.

Marta, jak zauważyła Rebeka, słuchała tego z niechęcią.

- Ciekawi cię może uzdrawianie, mała gadzio? - spytała Leonora.

- Och, tak - odparła Rebeka uprzejmym tonem. - Uważam, że to coś wspaniałego. -

Trudno jej było uwierzyć, że dorosła kobieta i czyjaś matka pytają o to na serio.

Leonora uśmiechnęła się, zadowolona z odpowiedzi.

- Ach, to istotnie piękne, malugadziol Chciałabym, żeby Marta tak kiedyś powiedziała, ale jej tylko młodzi Cyganie w głowie.

Rebeka zerknęła ukradkiem na dziewczynę i znów jej się wydało, że jednak bardziej ją ciekawił Connor.

Uwagę Marty przyciągnęło coś w górnej części namiotu. Rebeka poczuła lekkie współczucie: rozumiała, że w ten sposób okazuje lekceważenie wobec uwagi matki.

Gdyby „babranie się w stajni” i „fortepian” zamienić na „młodych Cyganów” i „uzdrawianie”, byłaby to w gruncie rzeczy taka sama rozmowa, jak te, które dziesiątki razy prowadziła z własną matką. Coś podobnego! Być zachęcaną do nauki leczenia i nie chcieć tego!

- Pewnie jesteś spragniona i głodna, Rebeko. Przyniosę ci coś na śniadanie. Może o uzdrawianiu porozmawiamy później. - Leonora z uśmiechem wyszła z namiotu.

Bursztynowe oczy Marty natychmiast zwróciły się ku Rebecce, która odwzajemniła spojrzenie.

- Aleś ty ruda - przemówiła wreszcie Marta takim tonem, jakby sprawiała jej przykrość myśl, że czyjeś włosy mogą być równie piękne jak jej własne. Owinęła sobie jeden z długich kędziorów wokół palca.

- Istotnie - zgodziła się z nią Rebeka. Trudno było przeczyć oczywistości.

- Cyganie takich nie miewają - ciągnęła z zalem Marta i żeby to podkreślić, pokręciła głową, a burza czarnych loków opadła na jej ramiona.

- Może to dlatego - Rebeka ważyła każde słowo, nie chcąc urazić dziewczyny - że nie jestem Cyganką.

Marta uśmiechnęła się lekko i przechyliła głowę na bok, patrząc na Rebekę jakby z lekkim zdziwieniem.

- Czy ten mężczyzna, z którym przyjechałaś, to twój brat?

- To znaczy... nie... - Rebeka poczuła, że się rumieni. Czyżby Marta była zgorzonna, że ona, kobieta niezamężna, podróżuje z młodym człowiekiem?

- Bo - ciągnęła tamta, jakby nie dosłyszała odpowiedzi Rebeki- patrzył na ciebie jak na siostrę.

Teraz zdziwiła się z kolei Rebeka.

Marta zaczęła patrzeć gdzie indziej z twarzą niemal pozbawioną wyrazu. Niemal, bo coś się jednak tliło w jej oczach.

- Ja... my... - Rebeka zająknęła się, lecz zaraz odparła z dumą:

- Connor to mój narzeczony. Wkrótce mamy się pobrać. Podobają mi się moje włosy. - Skarciła się w duchu za tę dziecinną uwagę, ale nie mogła się pohamować. Co za wstrętne dziewczyna!

- Och - na twarzy Marty pojawił się lekki niepokój. - Ha, może to i prawda.

- Coś ty powiedziała?...

Leonora wróciła do namiotu z miską dymiącego mięsa o wspaniałym zapachu i dużą butelką wody.

- Podjedz sobie, mała gadzio, a potem odpocznij, bo niedługo tabor ruszy w drogę.

- Gdzie jest Connor? - spytała Rebeka, przeszywając wzrokiem Martę. Brat, coś podobnego!

- Rozmawia z Raphaelem. Będziecie podróżować z nami. Rebeka nic na to nie odpowiedziała. Wolałaby usłyszeć te słowa od Connora. Czemu niczego nie chce jej zdradzić?

- Ach tak, oczywiście. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Dziękuję - dodała, biorąc od Leonory miskę i łyżkę. Smak potrawy był równie wspaniały jak jej zapach.

- Marto, pomóż mi pakować rzeczy. Niech main gadzio trochę się prześpi.

Rebeka już miała zaprotestować i powiedzieć, że wcale nie jest senna i że też chciałaby pomagać przy zwijaniu obozowiska, lecz po chwili uznała, iż byłoby to kłamstwem. Wczesnym rankiem wyruszyli w drogę i teraz po obfitym posiłku oczy się jej wręcz kleiły.

Leonora rozesłała dla niej jedną z derek i Rebeka legła na niej z zadowoleniem. Dojrzała jeszcze, jak gospodyni wychodzi z namiotu. Musiała przyznać, że była jej wdzięczna za zabranie ze sobą Marty, choćby nieobecność dziewczyny miała trwać bardzo krótko.

Connor opowiadał Raphaelowi wszystko, co się mu przydarzyło w ostatnich dniach. Od czasu do czasu Cygan wyglądał z namiotu, żeby wydać jakieś polecenia lub dopilnować załadunku wozów.

- Możecie z nami pojechać aż na koński targ w Cambridge- powiedział, gdy Connor skończył swoją opowieść. - Będziecie tu bezpieczniejsi, bo bosu dom engroes, po waszemu rozbójnicy, na pewno szukają dwóch jeźdźców.

- Dziękuję ci, Raphaelu.

W tej właśnie chwili przeszła koło nich młoda Cyganka. Connor zauważył jej krągłe kształty i bujne czarne włosy.

- A co zamierzacie zrobić, kiedy już dotrzemy do Cambridge?- spytał Raphael.

- Myślę, że pojedę do Londynu i spróbuję się zobaczyć z księżną za pośrednictwem Melbersa. To powinno ją przestraszyć. Przecież próbowała mnie zabić! Zagrozę jej

zdemaskowaniem, jeżeli natychmiast nie zniknie z Anglii, a jeśli okaże się to konieczne, gotów jestem sam odwieźć ją do portu. Potem dopilnuję, żeby Melbers dyskretnie wysłał parę tysięcy funtów wieśniakom z okolic Keighley Park, a sam wyjadę razem z Rebeką na zawsze. Popłyniemy do Ameryki i nikt się o niczym nie dowie. Fortuna Dunbrooke'ow wróci do Korony, skoro nie ma żadnych innych spadkobierców. Pozbędę się jej wreszcie i wcale nie będę za nią tęsknił. Niech tam król Jerzy robi sobie z nią, co mu się spodoba.

Raphael w zamyśleniu pokiwał głową, zupełnie jakby Connor mówił o zwykłej wycieczce nad morze. Cygańska dziewczyna znów przeszła koło nich, tym razem pojawiając się z przeciwnej strony.

- Dobrze to sobie przemyślałeś? - spytał w zadumie Raphael.

- Oczywiście. Bardzo dobrze.

- A czy ona o tym wie?

- Nie. Rebeka nie wie o niczym. Ani o tym, że księżna była moją kochanką, ani o tym, że jestem dziedzicem Dunbrooke'ow. Zresztą wcale nie chcę, żeby wiedziała. Co by sobie wtedy o mnie pomyślała? Powiedziałem jej tylko, że kiedyś wiodłem inne życie i chciałem od niego uciec.

- A nie będzie zdziwiona, że chcesz jechać do Londynu bez niej?

- Nie mogę jej tam ze sobą zabrać. Groziłoby to zbyt dużym niebezpieczeństwem, a nawet utratą życia, gdyby się wydało, kim jesteśmy. Za nic nie chciałbym jej po raz drugi narażać na podobne ryzyko. Rodzina Rebeki bez wątpienia przebywa teraz w stolicy i mogłaby nas zobaczyć. Nie, nie mogę zrobić czegoś takiego... Muszę sam się ze wszystkim uporać. W końcu sam za to odpowiadam. Miałem nadzieję, że będzie mogła z wami zostać, kiedy odjadę.

Raphael wzruszył ramionami.

- Chętnie się nią zaopiekujemy, ale powiedz, kiedy zamierzasz ją uprzedzić o twoim odjeździe?

Connor nagle poczuł się przyparty do muru.

- Ja... cóż... myślałem, że wcale jej tego nie powiem. Rebeka potrafi zadawać pytania, na które nie umiem odpowiedzieć, a nie chcę kłamać, jeśli mógłbym tego uniknąć. Po prostu pojadę, a potem wrócę. Nie odczuje mojej nieobecności.

Raphael pokiwał głową, tym razem jakby sceptycznie.

- Czy naprawdę jesteś pewien, że wszystko dobrze przemyślałeś?

Connor przytaknął, choć z pewnym wahaniem.

- Bo, widzisz, niełatwo jest trzeźwo myśleć, kiedy w grę wchodzi kobieta.

- Rebeka nie musi niczego wiedzieć o moim poprzednim życiu - obstawał przy swoim Connor. - Chcę się z nią ożenić, ale sumienie nie pozwala mi zacząć nowego życia bez skończenia z przeszłością.

Młoda Cyganka znów przeszła koło nich.

- Sumienie to nieznośna rzecz - mruknął Raphael.

- Skąd wiesz?

- Różne rzeczy już w życiu słyszałem. Connor się roześmiał.

- Marto - spytał zniecierpliwiony Raphael - czy nie masz nic do roboty? Przynieś naszemu gościowi trochę gulaszu.

Marta odwróciła się i zafurkotała spódnicami.

- Może i tobie spodobałoby się w Ameryce, Raphaelu? - spytał Connor.

- Ameryka to dziki kraj i pełno w nim różnych dzikusów. Marta wróciła z dymiącą miską, podała ją Connorowi z błogim uśmiechem. Connor wziął naczynie, prawie nie patrząc na dziewczynę, i skwapliwie zanurzył w nim łyżkę.

Uśmiech Marty nieco przygasł, lecz nadal stała uparcie przed Connorem.

- Dziki kraj, owszem, ale daje wiele możliwości - wyjaśniał Connor Raphaelowi pomiędzy dwoma kęsami.

- Marto, czemu gapisz się na gościa jak głupia? Idź pomóc Leonorze! - zirytował się Raphael, przepędzając ją machnięciem ręki.

Marta mocno zmarszczyła brwi, tak że ułożyły się na jej czole w kształt litery „V”. Spojrzała na Connora zajętego wyłącznie jedzeniem.

- No, rusz się! - fuknął gniewnie Raphael, a Marta raz jeszcze zafurkotała spódnicami, mamrocząc pod nosem coś, co było zapewne cygańskim przekleństwem.

Raphael pokiwał głową i wymruczał coś w swoim języku, co sprawiło, że tym razem unióśł brwi Connor. Cygan powrócił do rozmowy z przyjacielem.

- Może i tak, ale coś mi się zdaje, że w tym nowym i dzikim kraju niedużo by się znalazło srebrnych talerzy. Nie byłbym od tego, żeby pracować na siebie, ale nie ciężej niż to koniecznie. Nie chowałem się na farmera. - Uśmiechnął się do Connora, jakby wcale nie wstydił się swoich słów.

- A, więc jak przyjdzie co do czego, nie będziemy już żyli na tym samym kontynencie, Raphaelu.

- Sakramencki z ciebie drań.

Connor raz jeszcze się uśmiechnął. Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

- Miałem rację - mruknął Raphael. - Tu chodzi o kobietę.

- Czy mamy stąd odjechać? - spytał zaniepokojony Connor. Raphael zaśmiał się i klepnął go po plecach.

- Nie bierz sobie tego do serca! Przecież nie ciebie pierwszego to spotyka. Coś ci jednak powiem: póki u nas gościsz, nie możesz z nią spać w jednym namiocie, bo się jeszcze nie pobraliście. Dobrze wiesz, jak jest u Romów.

Connor zamarł bez ruchu.

- Nie mogliśmy udać, że o tym nie wiemy? Chociaż to skądinąd kłamstwo... - stwierdził przygnębiony.

- Owszem, czemu nie, ale Rebeka to uczciwa dziewczyna, więc to nie do przyjęcia: powiedziała Marcie, że jesteście narzeczonymi, nie małżeństwem, a ona powtórzyła tę wiadomość wszystkim kobietom w taborze. Ja zaś nie zgodzę się na żaden skandal.

Nawet przez wzgląd na ciebie, przyjacielu. Mam z Martą istne utrapienie, słuchać mnie nie chce. Będziesz spał w moim namiocie, Rebeka z Leonorą, a my...

Raphael zamilkł, widząc, że Connor na coś patrzy, i spojrzał w tym samym kierunku.

Rebeka mrużyła oczy w słońcu, stojąc u wejścia do namiotu Leonory. Miała na sobie sukienkę z brązowego muślinu i kapelusik. Connora rozbawił ten widok. Widać Leonora nakłoniła ją do zmiany stroju ze względu na przyzwyczajenie. Już tak się przyzwyczaił do widoku Rebeki z gołą głową albo w chłopięcej czapce, że kapelusik wydał mu się czymś niestosownym.

Raphael zauważył, jak Connor spogląda na Rebeke.

- Och, chłopie, co teraz z tobą będzie? - spytał, udając współczucie.

Connor zrewanżował mu się jakimś romskim przekleństwem i podszedł do Rebeki.

Dziwne, pomyślała Rebeka, że mogą stać tuż przy nim i nie dotykać go. To był jeden z luksusów ostatnich kilku dni: dotykała go, gdzie tylko chciała, a on ją również - i to tak często, że prawie cały czas mieli ręce zajęte. Odgarnięcie kosmyka włosów z policzka, muśnięcie palcami ramienia czy biodra, delikatne pocałunki, po których... Zaczerwieniła się na samą tę myśl.

Teraz jednak Connor trzymał ręce przy sobie, co wskazywało, że i ona musi robić tak samo. Bębnił palcami po biodrach, a potem bardzo uprzejmie spytał, czy dobrze spała.

- Dziękuję, dosyć dobrze - odparła zwięźle. W jej tonie coś go zaskoczyło. Zniżył głos.
- Co ci jest, Rebeko? Nie możesz spać, kiedy nie ma mnie przy tobie? Założę się, że po raz pierwszy od dwóch dni porządnie się wyspałaś.

I spojrzał na nią chytrze.

Rebeka wzniosła oczy do góry, a on stłumił śmiech.

- Connor, dokąd się udajemy i co będziemy robili? Czy wiedziałeś, że Leonora zajmuje się leczeniem? Czy jest żoną Raphaela?

- Na które pytanie mam najpierw odpowiedzieć?

- Na wszystkie po kolei i to jak najszybciej!

- Dobrze. Zanim ruszymy w drogę do Szkocji, muszę załatwić pewną sprawę. Będzie o wiele bezpieczniej podróżować przez kilka dni razem z Cyganami niż tylko we dwoje. Owszem, wiem, że Leonora umie leczyć, co - jak sądzę - spodobało ci się niezmiernie. Nie, Leonora i Raphael nie są małżeństwem, lecz kuzynami, oboje są wdowcami.

- A więc masz jeszcze jakieś... swoje interesy? - spytała powoli.

- Tak.

- Czy mają coś wspólnego... z twoją przeszłością?

- Tak - odparł spokojnie. - Jak również z naszą przyszłością. Zmierzyła go wzrokiem.

Wytrzymał to spojrzenie.

- Gdzie się teraz wybierasz i na jak długo?

- Nie będzie mnie tylko przez kilka dni, Rebeko. Pojedziemy teraz z Cyganami aż do hrabstwa Cambridge. A potem prosto do Szkocji, gdzie się pobierzemy.

Błagał ją bez słowa, samym tylko wzrokiem, żeby nie pytała go o nic więcej.

Rebeka przez dłuższą chwilę spoglądała gdzieś ponad obozowisko, jakby rozważała w myśli jego słowa. Wreszcie ponownie zwróciła na niego oczy.

- W porządku - odparła, choć bez entuzjazmu. Connor odetchnął z ulgą.

- Powiem ci jeszcze coś. Skoro podróżujemy z Cyganami, musimy przestrzegać ich... zasad moralnych, które, jak mi się wydaje, są bardzo podobne do tych, jakimi się kieruje twoja matka.

- To znaczy, że...

- Pojedziesz na jednym wozie z Leonorą, a ja, na koniu, razem z mężczyznami. Nocami będziesz spała w namiocie Leonory, a ja u Raphaela.

Poczuła się nieswojo. Zabrzmiały jej w uszach słowa Marty: „On patrzy na ciebie jak na siostrę”. Wiedziała, że to śmieszne. Żaden brat nie mógłby tak patrzeć na siostrę, jak Connor na nią w tej chwili. Niemal czuła ten wzrok na swojej skórze, prawie tak gorący, jak jego dłonie. Od początku ucieczki spędzała każdy dzień razem z nim. Mimo że teraz podczas podróży miało go dzielić od niej tylko kilka metrów, poczuła się opuszczona.

- Nie mogłabym jechać konno obok ciebie?

- Czy może chcesz wiedzieć, dlaczego nie powinnaś jechać na oklep wraz ze mną i hordą całkiem obcych mężczyzn? - spytał cierpliwie.

Rozumiała jego punkt widzenia, ale...

Connor na widok jej przygnębionej miny wydał z siebie osobliwy odgłos, coś między śmiechem a jękiem.

- Wierz mi, Rebeko, to będą dwa najdłuższe i najprzykrzejsze dni w moim życiu.

Uśmiechnęła się blado.

Connor miał szczerą chęć porwać Rebeke w ramiona, scałować nikły uśmiech z jej warg, a potem przyciągnąć ją mocno do siebie. Cyganie jednak co chwila spoglądali na niego, mimo że wszyscy zdawali się zaprzętnięci pakowaniem dobytku na wozy. Ponadto obiecał Raphaelowi, że nie dojdzie do żadnego skandalu.

Uśmiechnął się tylko, a choć jego uśmiech kiedy indziej otuliłby Rebeke jak miękki płaszcz, można było poznać z jej miny, że teraz to jej nie wystarcza.

Mała karawana składała się z pięciu wozów wypełnionych cygańskim dobytkiem. Z przodu i z tyłu taboru jechali konno Cyganie, a wśród nich Connor na swoim siwku. Mężczyźni przekrzykiwali się między sobą żartobliwie, białe zęby lśniły w ich śniadych twarzach.

Kobiety rozmawiały, przekomarzając się, wesoło pouczając nawzajem i uciszając dzieci, które z nudów wciąż naprzykrzały się matkom. Rebeka siedziała między Martą a Leonorą, która powoziła. Czuli się osamotniona wśród gwaru cygańskich rozmów. Z przeciwnej strony zbliżał się do nich wóz, na którym siedziała para, zapewne farmerskie małżeństwo, wystrojona w najlepsze ubrania. Rebeka pomyślała, że pewnie jadą w odwiedziny do krewnych albo na obiad do proboszcza. Już miała im się odruchowo skłonić, oczekując z ich strony podobnego gestu, a może też uchylenia czapki przez mężczyznę.

Jednakże kobieta wpatrywała się w drogę, zupełnie jakby cygańskie wozy były niewidzialne albo jakby nie chciała ich widzieć. Mężczyzna przyjrzał się przenikliwie Rebecce, której dreszcz przebiegł po plecach, tyle pogardy ujrzała w jego oczach. Czapka pozostała na jego głowie. Przez chwilę wzrok wieśniaka skrzyżował się ze spojrzeniem Rebeki. Potem farmer spuścił oczy i, mijając ich, splunął.

Oniemiała ze zdumienia Rebeka spojrzała na Leonorę, która w zamyśleniu patrzyła przed siebie.

- Widziałaś?!

- Co się stało, gadzio? - spytała chłodno Leonora.

- Zauważyłaś, jak na ciebie spojrzał? Leonora się zdziwiła.

- Oni nam... jak wy to nazywacie... zazdroszczą. Nie rozumieją naszego sposobu życia. Nie może im się w głowach pomieścić, że żyjemy, gdzie chcemy, i jedziemy, gdzie nam się spodoba. Wolą siedzieć w swoich wielkich domach. Nie pojmują nas i boją się naszego ludu, a ten strach sprawia, że nam nie ufają.

- Może dlatego, że Cyganie kradną - odparła odruchowo Rebeka i natychmiast pożałowała swoich słów. Szybko spojrzała na Leonorę, chcąc się przekonać, jak to przyjęła.

Leonora roześmiała się szczerze.

- Ach, według twoich pobratymców kradzież jest czymś złym, ale nie według nas. Skoro macie tyle rzeczy, że nie sposób ich upilnować przed kradzieżą, to może jest ich za wiele? Nie lepiej byłoby się podzielić? To jeszcze jedna różnica...

- ..w sposobie myślenia - dokończyła za nią Rebeka.

- Tak - odparła triumfalnie Leonora, przekonując się z pewną dozą uznania, że mała, dziwna gadzio rozumie co nieco z romskich obyczajów.

Rebekę zarówno zatrząsał, jak i zachwycił ten egzotyczny punkt widzenia. A gdyby tak powtórzyć słowa Leonory pastorowi?

Spojrzała za siebie, chcąc choćby przelotnie zobaczyć Connora. Jechał konno za wozem i śmiał się z głową odchylną do tyłu. Widocznie Raphael powiedział mu właśnie coś stosownego tylko dla męskich uszu.

On sobie jedzie w słońcu, pomyślała, i nie najgorzej się bawi, a ja muszę się tłuc na wozie...

Prawdę mówiąc, nie było jej jednak bardzo źle. Gdyby nie sowa córka Leonory Rebeka też nieźle by się bawiła. Leonora bardzo chętnie wysłuchiwała opowieści o ranie Connora i pochwaliła decyzję, żeby ją zabandażować, a nie zaszywać, co mogłoby spowodować zakażenie. Rebeka z zadowoleniem pławała się w niemal macierzyńskiej aprobacie Cyganki.

Przez resztę przedpołudnia rozprawiły o ranach i ziołach, co sprawiało, że Rebeka czuła się jak w raju. W całym swoim życiu nie zaznała jeszcze niczego podobnego, wyjąwszy chwile spędzane w ramionach Connora.

Nie była jednak w stanie nawiązać życzliwej znajomości z Martą. Gdy rozmawiała z Leonorą, Marta naprawiała odzież. Obok niej stał koszyk pełen koszul, spódnic i spodni. Mimo że wóz podskakiwał na wybojach, szła wręcz pokazowo, drobnymi, równymi ściegami. Wargi miała mocno zaciśnięte, a wbijała igłę w tkaninę tak zawzięcie, jakby raczej kłuła, niż szyla.

- Świetnie to robisz - powiedziała Rebeka w przypiływie wielkoduszności po pochwałach Leonory.

- Owszem - odparła Marta obojętnie. - Dobrze też śpiewam. A czytam losy najlepiej ze wszystkich.

Najwyraźniej cygańskie matki nie wpajały swoim córkom cnoty skromności.

- Czy umiesz grać na fortepianie? - Rebeka gotowa była kłamać, chętnie by nawet twierdziła, że jest wprost wirtuozem, byle tylko w jakiś sposób pognębić pewną siebie Martę.

Lecz młoda Cyganka jedynie przerwała na chwilę szycie i spojrzała na nią z politowaniem.

- A po cóż miałabym to robić?

Rebeka musiała przyznać jej rację, zwłaszcza że Romowie nie mieli salonów, gdzie można by zabawiać gości grą na tym instrumencie. Poczula, że się rumieni.

- Co to znaczy „czytać losy”? - spytała, zamiast odpowiedzieć Cygance.

- Wróżyć z ręki - odparła Marta. - Mogę ci później przepowiedzieć twoje przyszłe losy - dodała pojedynczym tonem, zupełnie jakby ofiarowywała prezent niemądrému dziecku. Rebeka ukradkiem spojrzała na swoją dłoń. Może krzyżujące się na niej linie były czymś w rodzaju cygańskich hieroglifów? Może ludzie naprawdę rodzą się z historią całego życia wypisaną na dłoniach. .. Czy było tam zapisane, że znajdzie się pewnego dnia na cygańskim wozie z nieznośną cygańską dziewczyną?

- Marta bardzo ładnie śpiewa - potwierdziła Leonora. Być może kazało jej to zrobić poczucie winy. Chwaliła przecież obcą młodą kobietę w obecności własnej córki. - Pewnie ją kiedyś usłyszysz.

- Będzie mi bardzo miło - skłamała Rebeka. - A jakie pieśni lubisz śpiewać? - spytała Martę w złudnej nadziei, że ich rozmowa nabierze salonowego poloru.

Connor podjechał właśnie do ich wozu, ogorzały od słońca i w jak najlepszym humorze.

- O miłości - odparła Marta, prostując się dumnie i wypinając krągłą pierś. - Bardzo pięknie śpiewam pieśni o miłości.

Connor spojrział na Cygankę zaskoczony i zmarszczył brwi. Już otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nagle zamilkł i tylko ukłonił się uprzejmie zarówno Marcie, jak i Leonorze, a potem skupił całą uwagę na Rebecce.

- Jak ci się podoba nasza podróż?

Jak jej się podobała? Szkoda, że nie istniało słowo, które by jednocześnie znaczyło „cudowna” i „okropna”!

- Och, jest... bardzo przyjemna - odpowiedziała niezbyt przekonująco. - Ani jednego rozbójnika na horyzoncie. A kiedy się skończy?

- Kiedy dotrzemy do celu. - Wyraz twarzy Rebeki musiał jednak Connorowi zdradzić, że nie zadowoli się tym gładkim żarcikiem. - Zatrzymamy się za kilka godzin. Tuż przed zachodem słońca. Raphael zna miejsce, gdzie można będzie rozbić obóz. Tuż pod miastem.

- Powinieneś wypocząć - odparła nieoczekiwanie, chociaż pragnęła mu powiedzieć, że go kocha.

- Wypocznę. Dziękuję ci za troskę. - A gdy się do niej uśmiechnął, jego twarz mówiła: „Kocham cię”.

Na chwilę Leonora, Marta i pozostali Cyganie odpłynęli gdzieś daleko, a oni widzieli tylko siebie nawzajem. Marta chrząknęła.

- Powrózę ci dziś wieczór z ręki, Rebeko - odezwała się i po raz ostatni energicznie wbiła igłę w reperowane spodnie.

Miasto z trudem zasługiwało na tę nazwę, składało się bowiem z garstki domków i sklepików. Cyganie objechali je wokół, nim słońce zaszło. Rebeka patrzyła, jak Raphael podjeżdża do łąki na obrzeżach i daje taborowi znak wzniesioną dłonią. Tu musieli zatrzymać się na noc.

Szybko rozstawiono namioty, rozpalono ognisko i wyciągnięto z bagaży garnki oraz patelnie, żeby przyrządzić kolację. Znużone oczy Rebeki śledziły tę scenę, która przypominała rytmiczny taniec. Każdy z Cyganów zdawał się znać na wylot swoją rolę i wykonywał ją z niezwykłą zręcznością.

Zeszła z wozu, zadowolona, że wreszcie czuje grunt pod stopami. Jazda na nim okazała się dużo bardziej wyczerpująca niż na koniu, bo wtedy można było przystosować się do ruchów zwierzęcia. Natomiast podczas podróży wozem Rebeka cierpiała katusze. Całe ciało miała obolałe, czego nigdy nie czuła pojeździe wierzchem.

Nieco dalej Connor zsiadał z konia. Cała zazdrość o niego gdzieś zniknęła, gdy zobaczyła, że przystaje i wspiera się czołem o siodło, jakby czekał, aż mu przejdzie zawrót głowy.

W jednej chwili znalazła się przy nim.

Odwrócił się, gdy położyła mu dłoń na ramieniu. Nawet w różowej poświacie zachodzącego słońca mogła dojrzeć, że jego twarz poszarzała.

- Connor...

- Po prostu się zmęczyłem.

- Jesteś wciąż jeszcze osłabiony. Powinieneś...

- Nie jestem osłabiony.

Chociaż wiedziała, że przemawia teraz przez niego znużenie i frustracja z powodu przeżyć kilku ostatnich dni, była zaniepokojona. Connor z miejsca wyraził skruchę.

- Rebeko, wybacz. Jestem raczej zmęczony niż osłabiony, wierz mi. Potrzebuję po prostu snu. Przykro mi, że ci przysparzam zmartwień.

- Czy chciałbyś, żeby Leonora obejrzała twoje ramię?

- Och, tak - westchnął - jeśli ci z tego powodu ulży.

- Owszem, ulży mi - odparła stanowczo.

- W takim razie zaprowadź mnie do niej, żebym miał to już za sobą i mógł się położyć spać.

Leonora zdejmowała bandaż z rany w taki sposób, jakby dokonywała uroczystej ceremonii, na przykład odsłonięcia pomnika. Nie chcąc urazić skromności kobiet, Connor zsunął rękaw poplamionej i niezdarnie pozszywanej koszuli tylko z jednego ramienia. Marta, jak można się było spodziewać, przyglądała się temu z niezmienną fascynacją. Rebeka musiała przyznać, że w samej czynności częściowego zdejmowania koszuli kryło się coś dziwnie erotycznego, mimo że wiedziała już - gdy tylko skóra Connora ukazała się spod płótna - jaki jest jej wygląd i zapach. Mimo to czuła się tak, jakby ktoś inny rozpakowywał dar, który należał tylko do niej. A już z pewnością nie był przeznaczony dla oczu Marty!

Kto tej nieznośnej dziewczynie pozwolił zostać w namiocie? Chyba obyczaje Romów nie były tak swobodne, by niezamężne panny mogły zalotnie rzucić okiem na półnagich, obcych mężczyzn. Może Marta niejedną już raz patrzyła, jak rozbierają się i ubierają starzy i młodzi mężczyźni, których leczyła jej matka? Rebeka zastanawiała się, czy fascynacja Marty Connorem nie miała czasem czegoś wspólnego z niezaspokojoną ciekawością, jaką budzili w niej mężczyźni... albo może i ciekawością aż nadto zaspokojoną!

Leonora, ujrawszy ranę, mruknęła z uznaniem i poleciła Marcie unieść wyżej lampę, żeby móc się jej lepiej przyjrzeć. Marta zbliżyła się do Connora tak, że niemal trąciła biustem jego ramię. Gdyby trochę głębiej odetchnął, musiałyby się ono otrzeć o jedną z jej krągłych dużych piersi.

Rebeka posłała jej spojrzenie, które mogłoby powalić na ziemię szereg żołnierzy napoleońskich. Marta jednak nic sobie z tego nie robiła. Na szczęście Connor w tej chwili nie dbał o żadne piersi.

Leonora ostrożnie dotknęła brzegów rany, zaś Rebeka pochyliła się nad nią. Nie była jeszcze całkiem zagojona, lecz brzegi miała różowe, a nie czerwone, zaognione lub spuchnięte. Nie odchodziły też od niej żadne pręgi, co byłoby oznaką zakażenia krwi. Leonora zajrzała Connorowi w oczy, obejrzała jego paznokcie, zmierzyła mu puls. Zniósł to wszystko ze stoickim rozbawieniem.

Gdy Rebeka śledziła poczynania Leonory, serce waliło jej jak młotem w oczekiwaniu na werdykt.

Wreszcie Cyganka odwróciła się do niej z zadowoloną miną.

- Dobra robota, Rebeko. Tylko to trochę oczyścimy i przyłożymy maść z...

- ...ziela świętojańskiego - powiedziały jednocześnie Rebeka i Marta, Rebeka skwapliwie, a Marta ze znużeniem.

- ...tak, z ziela świętojańskiego, a potem na nowo ranę zabandażujemy. Masz szczęście, Connor, że zaręczyłeś się z taką zdolną uzdrowicielką - cmoknęła Leonora.

- Wiem - odparł z dumą.

Jednak tego Rebeka nie usłyszała. Uzdrowicielka! Leonora nazwała ją uzdrowicielką! O mało nie podskoczyła. Zupełnie jakby otrzymała tytuł szlachecki!

- O, tak - powiedział ciepło Connor - ona jest bardzo utalentowana.

Tym razem do Rebeki dotarły słowa Connora. Spojrzała na niego rozpromieniona.

Marta z ponurą miną opuściła lampę.

Leonora obmyła brzegi rany, przyłożyła maść i owinęła ramię czystym bandażem.

- Przez parę najbliższych dni posługuj się drugą ręką. A jeśli pojawiłaby się gorączka, przyjdź do mnie.

- On musi wypocząć - powiedziała Rebeka z nutą zaborczości w głosie.

- Musi - potwierdziła Leonora z uśmiechem.

- Bardzo tego potrzebuję - przyznał Connor, zapinając koszulę. - Dziękuję za starania i życzę dobrej nocy.

Uklonił się im wszystkim, a gdy wychodził, Rebeka z trudem oparła się przemożnej chęci, żeby nie pobiec za nim.

- A teraz, gadzio - powiedziała Leonora - muszę przygotować moje leki i ciekawa jestem, czy zdołasz mi pomóc. Gdy skończymy, przyniosą nam kolację.

Rebeka ledwie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

- Och! - westchnęła. - Och, tak! Marta cicho prychnęła.

Leonora wyjęła ze skrzynek kilka butelek z ciemnego szkła. Rebeka widziała je już wcześniej, ułożone na podściółce ze słomy, żeby się nie potłukły. W ślad za butelkami ze skrzynki wyłonił się moździerz z tłuczkiem, złożony we czworo muślin, kilka woreczków zawiązanych sznurkiem i - czego się wcale nie spodziewała - butelka whisky.

- Marto, potrzyмай latarnię - powtórzyła Leonora.

Marta usłuchała, choć z wyraźną niechęcią. Krąg światła padł na wyjęte przedmioty.

- Teraz będziemy dobrze widzieć, co robimy - mruknęła Leonora.

Krzątała się jeszcze przez chwilę, ustawiając rzędem butelki i otwierając woreczki, których zawartość wąchała. Rebeka czekała cierpliwie.

- Te zioła przez cały miesiąc naciągały w whisky.

- Dlaczego w whisky? - spytała Rebeka.

Marta westchnęła głośno. Rebeka rzuciła jej mordercze spojrzenie.

- Moc ziół przechodzi wtedy do whisky, a potem można ich używać przy leczeniu bardzo długo. To są mocne leki na ciężkie dolegliwości. W takich przypadkach napary nie pomagają.

- Nalewki - powiedziały jednocześnie Rebeka i Marta. Rebeka pospiesznie, Marta z pogardą, że ktoś może tak mało wiedzieć o leczeniu.

- Nalewki - potwierdziła Leonora. - Zioła długo naciągały w whisky i już stały się lekami. Musimy precedzić je przez muślin. To, co zostanie w dzbanku, będzie lekarstwem.

Nakryła wylot dzbanka kawałkiem muślinu i szturchnęła tkaninę pośrodku kijkiem, tak żeby się zanurzyła w szyjce. Potem przechyliła nad naczyniem jedną z butelek. Ciemny płyn, pełen rozdrobnionych ziół przesiąkał powoli przez muślin, barwiąc go na zielono. Zioła zatrzymywały się na tkaninie, płyn skapywał do dzbanka.

Gdy Leonora opróżniła butelkę, wyjęła energicznie muślin, żeby nie marnować ekstraktu. Później odłożyła zaplamiony materiał na bok i wlała zawartość dzbanka do butelki.

- To jest tasznik- oznajmiła z zadowoleniem i szczelnie zawiązała wylot butelki. Widniała na niej nalepka. Najwyraźniej Leonora już wiele razy używała jej do nalewki z tasznika.

- Teraz, Rebeko, wytrzyj dzbanek muślinem, a potem zawiąż każdą z butelek tak jak ja. Trzeba używać nowego kawałka muślinu przy każdym gatunku ziół, bo nie należy ich ze sobą mieszać.

Marta uklękła przy matce, zabierając się do pracy tak sprawnie, jakby robiła to każdego wieczoru.

Przez jakiś czas Rebeka, Leonora i Marta pracowały wspólnie w ciszy pełnej skupienia. Leonora wytrząsała zioła z woreczków i oglądała je dokładnie, wysypywała na dłoń, formowała z nich małe kopczyki. Rebeka, cedząc płyn przez muślin i wlewając go z powrotem do butelek, czuła się kimś ważnym. Prócz wyjęcia kuli z rany Connora знаła medycynę tylko z pism i książek ojcowskich. Teraz jednak jakiś chory mógł kiedyś zażyć lek, który pomagała sporządzać, potem zaś, z bożą pomocą, wyzdrowieć. Było to nie tylko magią, lecz także wielką odpowiedzialnością. Czuła jednak, że sprostaa zadaniu. To, co robiła, było o wiele więcej warte od gry na fortepianie. Czuła głód wiedzy.

Mimo wszystko brakowało jej pewności siebie. Spodziewała się, że Leonora wytknie jej jakiś błąd, wyrwie muślin z ręki i odeśle do fortepianu. Bała się, że gdy zrobi gwałtowniejszy ruch albo głębiej odetchnie, wszystko rozwieje się jak sen.

Natomiast jawna obojętność Marty względem sztuki uzdrawiania była widoczna aż nadto i dawała znać o sobie w każdym ruchu palców i nadąsanym grymasie pełnych warg dziewczyny. Rebeka widziała w niej siebie samą, schyloną smętnie nad klawiaturą fortepianu i brzdąkającą apatycznie. Poczwała, że rośnie w niej współczucie. Marta z pewnością nie miała zbyt wielu sposobności do buntu. Matka była wszechobecna, a rodzina - odosobniona. Może Marta pragnęła, żeby ktoś ją stąd wyrwał i zabrał gdzieś daleko, a Connor wydał się jej właśnie kimś takim?

Spojrzała na nią ukradkiem. Skóra Cyganki połyskiwała złociście w świetle lampy. Marta była niezwykle piękna, choć urodą osobliwą, ponadto głęboko przekonana o własnej wyższości i bez wątplenia przyzwyczajona do zawracania mężczyznom w głowach. Zapewne obojętność Connora wydawała się jej nieznośna i niepojęta.

Współczucie szybko się rozwiało. Rebeka zmusiła się do skupienia całej uwagi na ziołach.

- Co teraz robisz, Leonoro? - spytała, zawiązując trzecią z kolei butelkę.

- Sporządzam specjalny lek z wielu ziół dla chorych na puchlinę wodną - wyjaśniła Cyganka, wskazując na małą kupkę ziół. - Z liści wrotycza, korzenia mniszka, pietruszki i...

Do namiotu zajrzała jakaś stara, najwyraźniej czymś zaniepokojona, kobieta i zamieniła z Leonorą kilka słów w ich języku. Otrzymała krótką stanowczą odpowiedź.

- Wróć za jakąś godzinę - powiedziała Leonora.

Włożyła butelkę z tasznikową nalewką do kieszeni fartucha i wyszła, nim Rebeka zdołała w myśli jęknąć: „Proszę, nie zostawiaj mnie samej z twoją okropną córką!”

Przez chwilę w namiocie panowało milczenie i słychać było tylko szelest ziół oraz bulgot nalewek, w miarę jak Rebeka i Marta kontynuowały pracę.

Ona jest jak wąż, pomyślała Rebeka. Czeka, czeka, a potem zaatakuję...

- Rebeko, czy mogę ci powrócić?

Aha! To właśnie był atak. Rebekę ciekawiło jednak, czego można się dowiedzieć z dłoni o jej życiu. O Boże, stwierdziła w duchu, skoro dałam radę bandytom, to poradzę sobie i z Martą Heron!

- Oczywiście, Marto. Bardzo bym się z tego cieszyła. Jak to się robi?

Marta przysunęła się do niej i uklękła.

- Daj mi rękę - zażądała.

Rebeka usłuchała. Marta ujęła jej dłoń w swoje niezwykle miękkie ręce i powiodła po wnętrzu kciukiem, rozpościerając ją płasko. Przez chwilę wpatrywała się w nią intensywnie, rysując na skórze palcem wskazującym linie i nachylając dłoń ku światłu.

- Najpierw muszę cię spytać: czy chcesz, żebym ci powiedziała samą prawdę?

- A cóż innego mogłabyś mówić?

- Kiedy obcy płacą nam za wróżenie, chcą usłyszeć tylko to, co dotyczy jednej strony przyszłości. Ale ty, jak myślę, będziesz na tyle dzielna, żeby poznać całą prawdę.

- Proszę, zdradź mi ją.

Marta jeszcze przez chwilę przyglądała się dłoniom Rebeki, jakby się zastanawiała, od czego ma zacząć.

- Ta zakrzywiona linia mówi, że czeka cię długie życie - zadumała się. - A widzisz to rozdwojenie po prawej? Oznacza długą podróż z dala od domu.

- Ach - mruknęła Rebeka, siląc się na uprzejmość. Nie przejęła się zbyt wróżbą.

Przecież wystarczyło na nią spojrzeć, żeby się wszystkiego domyślić.

- Zdaje się, że masz dwóch kochanków, bruneta i blondyna... To było prawdopodobne, zważywszy istnienie Edelstona. Marta przesunęła palcem po linii przecinającej wewnątrz jej prawej dłoni jak po mapie.

- ...ale brunet nie jest ci wierny. Rzuci cię dla innej, a twoje życie potoczy się odtąd inaczej, będzie pełne trudów, biedy i trosk.

- Która z linii o tym mówi? - Rebeka nawet nie próbowała ukryć niedowierzania.

- O, ta i tamta - Marta niedbałym ruchem wskazała kilka miejsc. - Jak ci już mówiłam, brunet jest niewierny, ale ty założysz szczęśliwą rodzinę z blondynem, kiedy będziesz miała... - Marta przypatrzyła się z bliska jej lewej dłoni - ..dużo więcej lat niż teraz. I urodzisz mu dużo dzieci...

Rebeka pospiesznie wyrwała jej rękę.

- Dziękuję, Marto - powiedziała powoli przez zaciśnięte zęby - ale coś mi się zdaje, że te wróżby to same głupstwa.

Marta spojrzała na nią ze zdumieniem, a potem przybrała współczującą, pełną zrozumienia minę.

- Mówię ci samą prawdę, bo żal mi ciebie, Rebeko.

- Żal ci mnie? - powtórzyła głucho Rebeka.

- Tak. Mówiłaś, że zaręczyłaś się z tym gadzio, Connorem Riordanem,

- Bo to prawda. - Z coraz większym trudem powstrzymywała chęć złapania Marty za włosy.

- Nie jestem pewna - ciągnęła Cyganka, marszcząc czoło - czy on naprawdę chce się z tobą ożenić. Wtedy jechalibyście przecież do Gretna Green, prawda? A przecież tam się jedzie w przeciwną stronę niż my teraz! - Machnęła ręką. -

Rebeka zamilkła. Były to w końcu jej obawy, tyle że wypowiedziane na głos.

A Marta o tym wiedziała. Na jej twarzy malował się wyraz fałszywego współczucia, z trudem mogła ukryć triumfalny błysk w oku. Ujęła ostrożnie dłoń Rebeki w swoją i nakryła ją drugą, jakby chciała, by ta nie mogła jej cofnąć.

- Mam nadzieję - powiedziała szybko - że... że ty mu się nie oddałaś, bo wtedy nie miałby się już po co z tobą żenić.

Rebeka patrzyła na nią jak ogłuszona. Powoli, z podziwu godną powściągliwością cofnęła swoją dłoń.

- Dziękuję ci za troskę, Marto - odparła chłodno, lecz głos jej trochę drżał. - Zapewniam cię, że jest niepotrzebna.

Marta wzruszyła ramionami i wróciła do ziół.

- Wszyscy nieżonaci Cyganie w naszym taborze chcą się ze mną zaręczyć - powiedziała od niechcenia, grzebiąc w kopczyku rumianku.

- Nie mają chyba zbyt wielkiego wyboru.

Rebeka ze zdumieniem stwierdziła, że wypowiedziała te słowa głośno.

Marta zanosła się radosnym śmiechem. Rebeka zbyt późno zrozumiała, że zdradziła się przed nią z dotkliwym niepokojem, w jaki wtrąciła ją wróżba.

18

Bywała już nieraz w gorszych opałach. Na przykład kiedyś zahaczyła włosami o krawędź okna w swojej sypialni, kiedy Robbie Denslowe namówił ją, żeby spróbowała spuścić się na dół po obrośniętej bluszczem kracie. Miała wtedy dziewięć lat i prawie do południa tkwiła wywieszona przez okno, póki do pokoju nie weszła matka. Udało się ją uwolnić z tej opresji dopiero po obcięciu połowy włosów. Nie trzeba dodawać, że przez kilka następných dni skutkiem ojcowskich zabiegów wychowawczych trudno było jej siedzieć. Ale nigdy jeszcze nie przeżyła jednak takich mąk czyścicowych jak teraz.

Całymi godzinami trzęsa się na cygańskim wozie, który zmierzał licho wie gdzie. A choć Leonora wzięła sobie do serca przekazywanie wiedzy zielarskiej - gdzie należy szukać ziół, jak je zbierać czy ścinać, do czego się nadają - Marta wciąż siedziała bez słowa nad stertą łataney odzieży. Chyba jeszcze nigdy czyjaś obecność nie sprawiła Rebecie tyle przykrości. Początkowo co chwila spoglądała nerwowo na Martę, potem jednak pohamowała się, nie mogąc ścierpieć jej porozumiewawczego, współczującego i enigmatycznego półuśmiechu. Co za wstrętna dziewczyna!

Nie udało się jej porozmawiać z Connorem na osobności. Przez cały ranek trwała krzątanina, wszyscy byli zajęci pakowaniem bagaży, mogli więc zerkać na siebie tylko w przelocie, wymieniając absurdalnie uprzejme słowa pozdrowień. Z zadowoleniem zobaczyła, że wygląda na wypoczętego, lecz był czymś bardzo zaabsorbowany, a na jego twarzy malował się ten sam nieobecny wyraz, który znała aż za dobrze. Nie zrobił też niczego, co pomogłoby jej przezwyciężyć bolesny skurecz żołądka.

Gdy wreszcie Raphael, jadący na czele taboru, zbliżył się do grzbietu wzgórze i dał znak, żeby reszta Cyganów ruszyła za nim, poczuła ogromną ulgę. Oznaczało to, że zatrzymują się na noc. Może będzie mogła porozmawiać z Connorem, podzielić się z nim swoimi troskami i...

Cóż to, do licha, za dziwny hałas?

Rebeka, zaintrygowana, rozejrzała się wokoło. Na wieczornym niebie nie było ani jednej chmurki, która usprawiedliwiłaby taki grzmot. Głuchy huk trwał jednak nadal, przybierał na sile i - bardziej od grzmotu jednostajny - po prostu trwał, bez chwili przerwy.

Leonora, widząc, jak Rebeka rozgląda się niespokojnie, odpowiedziała na jej niezadane pytanie: - To wozy - wyjaśniła - i konie! Rebeka zdumiała się jeszcze bardziej.

- Co też.

Tabor wjechał wreszcie na szczyt wzniesienia. Stały tam dziesiątki wozów, całe mrowie. Zrozumiała teraz, że to, co słyszała, było odgłosem setek kół i końskich podków bijących o ziemię, zmieszanych z ludzkimi głosami.

Rebeka usłyszała koński targ pod Cambridge, nim jeszcze zdołała go ujrzeć.

Wkrótce ich wóz znalazł się wśród mnóstwa innych, w zgiełku hałaśliwych pozdrowień, śmiechów i zaciętych targów. Targowano się po cygańsku i w topornej angielszczyźnie, ujadły psy, brzęczała uprząż, szurały buty. Barwne namioty i stragany stały w równych rzędach, w teatrzykach kukiełkowych pokazywano historyjki o Punchu i Judy, a menażeria Wombwella prezentowała egzotyczne zwierzęta. Na wietrze wesoło trzepotały rozwieszane wysoko czerwone, niebieskie i żółte chorągiewki.

Rebeka rozglądała się za Connorem, pragnąc zadać mu wiele pytań, lecz nigdzie go nie było. Marta zauważyła to i uśmiechnęła się znacząco. Rebeka zadarła podbródek, udając, że jej nie widzi.

- Będziemy miały teraz mnóstwo do roboty, Rebeko - odezwała się do niej głośno Leonora, usiłując przekrzyczeć gwar. - Przyjdą do nas wszyscy chorzy Cyganie z całej okolicy. Mam nadzieję, że mi pomożesz.

Serce Rebeki, mimo przygnębienia, zabiło żywiej. Leonora powiedziała „my"! Oni przyjdą do „nas"! Niezwykłe jej się spodobały zarówno perspektywa ujrzenia lwa, którego, jak mówiono, miał pokazać Wombwell, jak i leczenie wszystkich chorych Cyganów.

Ciepło ogniska, wesoło trzaskające tuż przed nią, sprawiło, że Rebeka poczuła się senna. Leonora siedziała obok, gawędząc z jakąś kobietą po jej lewej stronie. Wokół nich połyskiwały w blasku płomieni białka oczu i zęby Romów; Cyganie śmiali się hałaśliwie i żywo rozmawiali po cygańsku. Rozmowy dorosłych przerywały co jakiś czas krzyki i śmiechy dzieci, które wkrótce znalazły się w ramionach matek lub też zapędzono je do spania. Płonęły dziesiątki ognisk, oświetlając wiele innych cygańskich rodzin. Targ miał się zacząć dopiero rano.

Rebeka dojrzała za ogniskiem Rose Heron, kobietę, z którą coś ją łączyło, bo Cyganka skaleczyła się nożem podczas przyrządzania obiadu i Leonora poleciła jej zszyć ranę. Było to niezwykle przeżycie, choć - dziwna rzecz - przypominało w jakiś sposób wyszywanie kwiatków ze wzornika albo makatki z napisem „Boże, błogosław temu domowi". Co też pomyślałaby sobie matka, widząc, jak Rebeka ochoczo się zabiera do tej osobliwej ręcznej robótki? Gdy Leonora pilnie nad wszystkim czuwała, trzymając mocno za rękę Rosę, Rebeka, wstrzymując dech, zdołała zrobić kilka starannych, równoległych ściegów na samej powierzchni skóry, uważając, żeby nie ściągnąć za nadto naskórka ani też go nie rozerwać. Zakończyła wreszcie szew małym supełkiem i rana została zamknięta.

Gdy potem uniosła wzrok, ujrzała dobrotliwy uśmiech Leonory.

- Masz pewną i zręczną rękę!

Nawet Marta, mistrzyni we władaniu igłą, zdawała się bliska wyrażenia pochwały. A więc to nieprawda, że Rebeka nie miała zdolności do ręcznych robót. Ona po prostu nie miała talentu do robót bezużytecznych!

Przestała jednak przyglądać się Rosie, bo w blasku ognia pojawił się Connor. Ujrzała go po raz pierwszy od czasu rozbicia obozowiska. Wyglądał na wyczerpanego. Siedział przy Raphaelu, znużonym gestem odgarniając włosy znad oczu, i zdawał się jej wypatrywać, wodząc dokoła wzrokiem. On jest mój! Należy do mnie! - pomyślała z dumą. Zresztą zawsze to wiedziała. Nawet kiedy jeszcze była dziewczynką.

Connor dostrzegł ją i uniósł się lekko, jakby chciał wstać, lecz Raphael położył mu dłoń na ramieniu, wskazał na coś w oddali i Connor zmienił zamiar.

Wśród nocy rozległ się głęboki rozlewny, dźwięk skrzypiec. Jeden z Cyganów wstał i sięgnął po instrument, a potem przytrzymał go podbródkiem. Koło niego stanęła Marta, z rękami założonymi na piersiach. Na jej włosach i skórze tańczył odbłask ognia. Przy-mknęła na moment oczy, jakby chciała zebrać myśli. A potem zaczęła śpiewać.

Była to dzika, pełna skarg i jęku, niezwykle przejmująca melodia. Rebeka nigdy w życiu nie słyszała czegoś podobnego. W niczym to nie przypominało muzyki w angielskich salonach, wygrywanej pracowicie na fortepianach przez pilne panienki. Pieśń zapierała dech w piersiach i przejmowała do głębi.

Później głos Marty wzniósł się wyżej, czysty i potężny jak rzeka, pełen namiętności i błagania. Wszyscy Cyganie spoglądali na nią, ale bursztynowe oczy dziewczyny wpatrzone były w jeden punkt.

Ta przeklęta Cyganka śpiewała dla Connora!

Rebeka nie mogła tego dłużej znieść. Musiała odejść, bo inaczej rzuciłaby w nią czymś. Wstała bezszelestnie i nie dając poznać po sobie, jak bardzo czuje się dotknięta, odeszła między namioty. Stanęła tam, z twarzą ukrytą w dłoniach, powtarzając sobie w duchu ze złością, że nie wolno się jej rozplakać.

Rozpaczliwie pragnęła powiedzieć Connorowi o wróżbach Marty, tak żeby mógł stanowczo wszystkiemu zaprzeczyć. A co będzie, jeśli nie zaprzeczy? Jeśli ją wyśmiejie albo może...

Nie zwróciła uwagi na odgłos kroków za plecami.

- Rebeko...

- Słowo daję, że zamorduję tę dziewczynę, jeśli spędzę z nią jeszcze choćby jedną chwilę... - syknęła gniewnie.

Niespodziewanie Connor położył jej rękę na ramieniu tak, że aż podskoczyła.

- Rebeko, czemu stoisz tu sama i bredzisz o morderstwie?

- To przez Martę! - wybuchnęła.

- A kim jest ta Marta?

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Przecież to córka Leonory. Na pewno ją zauważyłeś. Nie mówiąc już o tym, że ona zauważyła ciebie!

- To któraś z Cyganek? Tylko mi nie mów, że czarnowłosa i czarnooka!

- Owszem, właśnie że jest czarnowłosa, czarnooka i ma bardzo duże...

- Oczy? Uszy?

- Piersi. Bardzo duże piersi.

Powinien był wiedzieć, że ona zawsze będzie wołała dosłowność od fałszywej skromności.

- Och, tamta? Teraz właśnie śpiewa.
- Śpiewa tylko dla ciebie!
- Naprawdę? W takim razie, odchodząc, postąpiłem nieuprzejmie.
- Jeśli nie przestaniesz mi dokuczać, zamorduję i ciebie! Connor westchnął.
- Może opowiesz mi wszystko od początku...
- Wróżyła mi z ręki.
- Z własnej woli? To całkiem niepodobne do Cyganki.
- Och - potwierdziła z goryczą - naprawdę z własnej woli.
- A co ci wywróżyła? Wysokiego bruneta? Podróż za wielką wodę?
- Nie, coś takiego, że... że... - Rebeka nabrała w płuca powietrza, musiała zebrać się na odwagę.
- Cóż takiego ci powiedziała?
- Że mam dwóch kochanków - wybuchnęła Rebeka. - Bruneta i blondyna!
- Hm, jeśli myślisz, że chodzi o Edelstona, to...
- Ale brunet ma mnie zdradzić - ciągnęła. - I rzucić dla innej. Zamilkli obydwójce.
- I jeszcze coś.
- Słucham, słucham... - Głos Connora zabrzmiał dziwnie chłodno.
- Powiedziała, że czeka mnie wiele trosk, ale w końcu znajdę szczęście w małżeństwie z blondynem i będę mu rodzić jedno dziecko po drugim...

Znow zapadła cisza.

- Nadzwyczajne - mruknął. - Czy to wszystko zobaczyła na twojej dłoni?
- Mówiła jeszcze coś, tylko że to już nie była wróżba. - Rebeka urwała. Serce zaczęło jej bić gwałtownie i nierówno.

Connor słyszał jej urywany oddech.

- Rebeko...

Zwróciła ku niemu twarz, wyrzucając z siebie ostatnie słowa.

- Ze gdybyś się naprawdę chciał ze mną ożenić, to jechalibyśmy do Gretna Green, a nie na koński targ pod Cambridge...

Milczał. Dźwięki pieśni śpiewanej przez Martę dolatywały do nich znad ogniska. Głos miała potężny.

- Słuchaj, ona jest po prostu o mnie zazdrosna. Rebeka nie odpowiedziała.
- Widzę, że nie możesz na mnie patrzeć.

Zaśmiała się krótkim, zduszonym śmiechem, lecz wciąż nie chciała mu spojrzeć w oczy.

- Przecież chyba nie myślisz... - Urwał i zaśmiał się z niedowierzaniem. - Rebeko! Spójrz na mnie!

Kiedy podniosła wzrok, dojrzał łyzy błyszczące na jej rzęsach. Poczul się tak, jakby otrzymał dotkliwy cios. Jakby przebito go na wskroś.

- Rebeko... - zaczął bezradnie, bo słowa utknęły mu w gardle i coś zaczęło go dławić.

Rebeka czekała na jego odpowiedź.

- Rebeko... - W jego głosie brzmiał żal i wzburzenie. - Przecież wiesz, że kocham tylko ciebie.

Przesunęła dłonią, by otrzeć łyzy. Doceniał to, że za nic nie chce się rozplakać. Gest Rebeki oznaczał, że pragnie okazać się dzielna.

Connor, chociaż wiedział, że później tego pożałuje, bo będzie dla niego udręką konieczność wypuszczenia jej z objęć, porwał ją w ramiona i ucałował w skroń.

Przymknął oczy i przesunął policzkiem po jej włosach.

- Och, Rebeko, moja dzielna dziewczynko - szepnął. - Proszę cię, nie płacz. Strasznie mi przykro. Czasami uważam twoją odwagę za coś tak oczywistego! Zapominam wówczas, że znalazłaś się z dala od domu, między obcymi, w okolicznościach, które niełatwo przyszłoby znieść niejednemu dorosłemu mężczyźnie, a co dopiero młodej panience. A ta wstrętna cygańska dziewczyna...

- Wstrętna! - zgodziła się Rebeka z nosem wtulonym w jego ramię.

- ...nabiła ci głowę różnymi bzdurami.

- Czy myślisz, że jestem głupia?

- Głupia? Bo zazdrośnica nastraszyła cię, wykorzystując twoje obawy?

- Wiedziałam, że mnie zrozumiesz.

- Już taki jestem. Rozumiem innych.

Zaśmiała się słabo, nadal kryjąc twarz w jego koszuli.

- Wiem, Rebeko, że jest ci ciężko, ale czuję głęboką wdzięczność za to, że mi zaufałaś. Na niczym więcej mi nie zależy jak na twoim zaufaniu. - Powiedział to miękko i cicho, gładząc ją po plecach i włosach.

- Chciałabym tylko, żebyśmy byli razem.

- Będziemy razem. Na zawsze. I to już wkrótce. Proszę cię, wytrwaj jeszcze kilka dni. A jeśli chodzi o piersi...

- To, co?...

- Nie widziałem twoich przez cały dzień. Zaśmiała się. Och, jakże umiał ją pocieszać!

- A co będzie z przyzwoitością? - spytała, udając zatroskanie, lecz potem powiodła wargami po nasadzie jego szyi. Connor drgnął i cały zeszywniał.

- Do licha z przyzwoitością! - Mimo obietnicy danej Raphaelowi pochylił głowę ku Rebecce.

Pocałunek niemal ją zabolął. Okazał się tak gwałtowny, że niemal odrzuciło ją do tyłu.

Musiała kurczowo chwycić obiema rękami za jego koszulę, żeby się nie przewrócić.

Zdumiało ją, że pragnie go coraz mocniej za każdym dotknięciem, jakby pragnienie nie miało granic.

Zaświtała mu myśl, że mógłby zaciągnąć ją gdzieś między drzewa i tam się z nią kochać, wspartą o jakiś pień, ale nie mógł tego zrobić, skoro następnego dnia zamierzał ją opuścić.

Przestraszył się jednak własnych myśli i odstąpił od niej o krok, co wcale nie pomogło Rebecce, pod którą ugięły się kolana.

- Cokolwiek się stanie, proszę, nie przestań mi ufać - powiedział, dysząc ciężko. -

Obydwoje tego potrzebujemy.

- Dobrze - odparła po chwili. Wciąż jeszcze czuła zawrót głowy po pocałunku. Teraz zgodziłyby się na wszystko.

Usłyszeli czyjeś zbliżające się głosy. Muzyka umilkła, a Cyganie rozchodzili się do namiotów.

- Dobranoc, Rebeko. Pamiętaj, że cię kocham.

A potem szybkim krokiem odszedł, zostawiając ją osłabłą, oszołomioną i zachwyconą.

- No, no, sporo masz tych pistoletów! - mruknął Raphael ze swego posłania. Wsparty na łokciu patrzył uważnie na broń w świetle brzasku.

- Tylko brakuje mi prochu i kul - burknął Connor.

W świetle świeczki przeglądał pistolety odebrane bandytom. Wszystkie były, niestety, bez pocisków. Raphael cmoknął ze współczuciem.

- Mogę ci pożyczyć nóż. Albo bicz. Z przykrością przyznaję, że nie mam ani prochu, ani kul.

- Bicz? - Connor raptownie uniósł głowę. - Na cóż by mi się przydał bicz?

- Mógłbyś podciąć komuś nogi - powiedział z satysfakcją Raphael. - Gdybyś tylko, oczywiście, potrafił się nim należycie posłużyć. Albo wytrącić komuś pistolet z ręki.

- Powiedz, jak to się robi.

Raphael zaśmiał się i legł z powrotem na posłaniu, zakładając ręce pod głowę.

- Przepraszam, wcale nie miałem zamiaru cię budzić - powiedział Connor. - Przynajmniej póki nie odejdę.

- Jesteś pewien, że chcesz zrobić tak, jak zamierzałeś?

- Przecież wiesz, że muszę. Zamilkli na moment.

- Rzeczywiście. - Raphael westchnął z rezygnacją. - Musisz.

- Ale wróć - dodał Connor po chwili. - Może nawet jeszcze dziś, późnym wieczorem.

Przynajmniej muszę spróbować jakoś się z tym wszystkim uporać.

- Nie będę się z tobą sprzeczał - odparł pojednawczo Raphael, po czym zamilkł na długo, Connor myślał, że może śpi.

Jednak Raphael nie spał.

- Ona wie, że mam coś do załatwienia, nim ruszymy do Szkocji. Tylko tyle - zwierzył mu się Connor. Minę miał jednak niewesołą.

- Jesteś pewien, że nic jej nie powinieneś mówić?

- Masz rację - westchnął Connor - nie jestem pewien, wiem za to, że tak mi będzie łatwiej. Żadnych pytań, żadnych próśb czy łez. Pojadę tam i wrócę za niecały dzień.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pomyśleli obydwaj, ale żaden nie powiedział tego głośno.

- Wiesz, że będziemy na targu tylko przez dwa dni?

- Wróć - powtórzył z naciskiem Connor. Raphael pokiwał głową.

- Dopilnujesz, żeby mogła zobaczyć tego lwa z menażerii?

- Dopilnuję.

- A gdyby coś mi się stało...

- Zajmiemy się nią - odparł bardzo cicho Raphael.

- Dziękuję ci za wszystko.

- Przed laty uchroniłeś mnie od stryczka, Connor - odezwał się Raphael.

- A, zdaje się, że istotnie tak było - odparł Connor. Raphael zaczął się śmiać.

Connor nie pojawił się na rannym posiłku. Wzięli w nim za to udział Raphael oraz inni Cyganie. Rebeka zaczęła rozpoznawać ich twarze. Podano ten sam co zawsze wspaniały gulasz i już wygaszono ognisko, ale nigdzie nie widziała Connora. Czy zachorował? Czyżby jego rana... Serce Rebeki aż podskoczyło na tę myśl. Niemożliwe! W takim przypadku Raphael zaraz posłałby po Leonorę.

Och, ten jego dziwny, wręcz gniewny pocałunek wczorajszej nocy! Całkiem jakby miał być ostatni. Albo też pożegnaniem. Pamiętaj, że cię kocham, powiedział. Dlaczego miała o tym pamiętać? Czemu nie rzekł po prostu „kocham cię”?

Rebeka ze wzrastającym zdenerwowaniem przyglądała się koniom przywiązany za obozowiskiem. Westchnęła z ogromną ulgą, gdy zobaczyła, że i gniada klacz, i siwek Connora wspólnie skubią trawę.

- Wziął karego konia Raphaela – wyjaśniła jej Marta, zachodząc ją od tyłu. - Odjechał przed świtem.

Słowa Marty spadły na Rebeke niczym gorący żużel. Oczywiście! Bandyci szukaliby dwojga jeźdźców, na siwku i na gniadej klaczy. Odwróciła się powoli do Marty.

- Nie martw się, Rebeko. - Cyganka kiwnęła porozumiewawczo głową. - Wiem na pewno, że twój blondyn nigdy cię nie rzuci!

I odbiegła niezwykle uradowana.

Rebeka przez chwilę stała jak skamieniała, a potem ujrzała Raphaela i szybko podeszła do niego, choć ledwie mogła się utrzymać na nogach, całkiem jakby grunt falował jej pod nogami, a stopy trafiały w próżnię.

Raphael zobaczył jej pobladłą twarz i odpowiedział, nim jeszcze zdążyła zadać mu pytanie.

- On ma coś do załatwienia, panno Rebeko - tłumaczył jej łagodnie. - On wróci...

Rebeka wyprostowała się dumnie.

- Oczywiście. Wiem o tym.

- Nic więcej nie umiem powiedzieć.

- A co tu jest jeszcze do powiedzenia? - odparła, próbując udawać beztróskę.

Nadal jednak była jak ogłuszona. Connor odjechał bez słowa pożegnania. Owszem, mówił przedtem, że ma do załatwienia pewien interes i że potrzebne mu będzie jej zaufanie, lecz ani razu, nawet gdy mu zdradziła, co wywróżyła jej Marta, nie wspomniał o swoim odjeździe. Albo milczał, albo uroczyście zapewniał ją o swojej miłości.

Duma nie pozwoliła jej zasypać Raphaela pytaniami. Na jak długo Connor odjechał? Dokąd się udał i po co?

Poczuła, że ktoś lekko dotyka jej ramienia. Stała za nią Leonora z wyrazem łagodnej troski na twarzy.

- Chodź ze mną, Rebeko, dzisiaj będę potrzebowała twojej pomocy przy chorych.

Tak, dzień szybciej jej zejdzie przy jakimś zajęciu.

- Oczywiście, Leonoro, bardzo się z tego cieszę!

19

Po siedmiu godzinach wyczerpującej jazdy wierzchem z Cambridge do Londynu jego wygląd rzucał się w oczy. Z przykrością ujrzał swoje odbicie w witrynie księgarni Bingham i Synowie. Był bez kapelusza, co na Bond Street prawie równało się nagości. Spod bardzo eleganckiego surduta wyzierała podarta, zakrwawiona koszula. Solidne buty, na pewno godne dżentelmena, były zabrudzone, a spodnie - zakurzone i wyszarzałe. Oczy miał nabiegłe krwią, włosy - rozwichrzzone. Usiłował je przygładzić, ale - jak zwykle - nie chciały się temu poddać. Wokół siebie widział same starannie wygolone twarze, nic jednak nie mógł poradzić na zaznaczający się już wyraźnie zarost. Może gdyby postawił kołnierz i przesłonił podbródek halsztukiem... Ech, niewiele to pomoże. Na szyldzie widniał napis: „Melbers i Green”. Kimże, u licha, był Green? Czyżby Melbers wziął sobie współnika? Connor nacisnął klamkę.

Na jego widok blady zaskoczony jegomość podniósł się zza biurka. Kilka szpakowatych kosmyków sterczało mu na głowie, jakby w nich również gość budził nieufność. Zapewne Green zburzył fryzurę, przejeżdżając odruchowo ręką po włosach podczas pracy, domyślił się Connor. Melbers również miał taki nawyk.

- Dzień dobry - odezwał się Green całkiem uprzejmie. - Czy był pan z kimś może... umówiony, sir?

Rozbawiło go nieco, że Green zawahał się, nim powiedział „sir”. Najwyraźniej Connor wyglądał na człowieka, którego status społeczny niełatwo określić.

A potem z najwyższym zdumieniem dostrzegł na ścianach portrety.

Były trzy: istna parada wydatnych podbródków, krzaczastych brwi, falistych fryzur. Trzech księciów Dunbrooke.

Podobizna dziadka wisiała po lewej. Wizerunek Richarda, przystojnego, lecz z odętymi wargami, pośrodku. A ojciec spoglądał na niego z prawej, jakby zagniewany na swego potomka.

- Czy mam przyjemność mówić z panem Greenem? - odezwał się w końcu, wracając do rzeczywistości. Postarał się, żeby jego akcent zabrzmiał bardzo arystokratycznie. Chciał w ten sposób rozwiać obawy Greena.

Jak się spodziewał, na twarzy rozmówcy dojrzał ulgę.

- Owszem, sir, to ja.

- Chciałbym się widzieć z panem Melbersem. Czy jest u siebie?

Green spojrział na niego zaskoczony.

- Przykro mi, sir, lecz pan Melbers nie żyje, od kwietnia.

Przygłębiło go to. Prawdę mówiąc, spodziewał się takiej wiadomości, ale mimo wszystko dotknęła go ona boleśnie. Zaczynał lojalnego Melbersa, który po cichu protestował na swój sposób przeciw brutalności starego księcia, posyłając co rok pieniądze krnąbrnemu synowi, nie ma już wśród żywych.

Connor uznał, że nie może sobie pozwolić na szczerą rozmowę z Greenem. Miał za mało czasu, by stwierdzić, czy ten człowiek zna jego sekret lub czy można mu go powierzyć, skoro nie dołączył portretu Connora do wiszących na ścianie.

Green przyglądał mu się ze zdziwieniem i nieco zaskoczony, zupełnie jakby szukał uparcie słowa, które ma na końcu języka. Oczy Connora powędrowały odruchowo ku trzem portretom książąt wyzierających srogo zza pleców Greena. Trzem srogim, stanowczym odpowiedziom na pytanie, którego Green nie zdołał mu zadać. Niech się pan za nic nie odwraca, Green, błagał go w duchu.

- Przykro mi, że muszę pana rozczarować, sir - powtórzył jego rozmówca - ale, jak mówiłem, pan Melbers, niestety, zmarł. Czy może byliście panowie zaprzyjaźnieni?

- Łączył nas pewien interes - odparł pośpiesznie i cofnął się o krok.

- Może będę mógł w czymś pomóc?

- Myślę, że nie, panie Green.

- Wśród moich klientów jest sporo ludzi wysokiego stanu, bardzo zadowolonych z moich usług - odparł Green z dumą i wskazał na portrety za sobą - prowadzę przecież sprawy Jej Wysokości Cordelii, owdowiałej księżnej...

Green urwał i zastygł z uniesioną dłonią, lecz gdy się odwrócił, Connora już w biurze nie było.

Connor z podniesionym kołnierzem i brodą przesłoniętą halsztukiem, przemykał pośpiesznie pod ścianami. Stał pomiędzy dwiema parkującymi dorożkami, by odpocząć i zastanowić się. Trzy słowa dzwoniły mu przez cały czas w uszach.

Cordelia, owdowiała księżna...

Cordelia. Znakomicie! Musiał przyznać, że brzmiało to o wiele bardziej arystokratycznie niż Marianne. Dobrze wybrane imię. Piękne imię dla morderczyni.

Stał między dorożkami i patrzył na przechodniów spieszących do swoich spraw. Wszystko w nim wrzało. Cóż, przynajmniej próbował jakoś uporządkować sprawy. Może lepiej byłoby dać sobie spokój, przyznać się do klęski, wrócić do Rebeki...

Nie! Zdawał sobie sprawę, że przeszłość nie da mu spokoju, póki Marianne - przepraszam, Cordelia - będzie myślała, że on żyje. Gdyby tak było, w nocy nie mógłby spokojnie spać, a w dzień wiecznie czułby się zagrożony. On zaś nie chciał ani nie mógł zmuszać Rebeki do takiego życia. A najbardziej ze wszystkiego pragnął spędzić z nią resztę swoich dni.

Rebeka zasługiwała na spokój i szczęście, a on - na nowe życie, wolne od zagrożeń związanych z przeszłością.

Co zatem powinien wybrać?

Poczuł głód. Żołądek dopominał się o swoje prawa. Zaczął rozglądać się za jakimś sklepem, gdzie mógłby kupić trochę sera. Nagle wstrzymał dech ze zdumienia.

Przed księgarnią stał wysoki, dystyngowany mężczyzna. Trzymał się bardzo prosto i rozmawiał o czymś z drugim, niższym i starszym od niego. W rękach miał książkę i najwyraźniej obaj rozprawiali właśnie o niej.

Niewiarygodne!

Przyglądał się im przez dłuższą chwilę, bez ruchu, z przyspieszonym oddechem. Gdy wysoki mężczyzna wybuchnął donośnym, dobrze mu znanym śmiechem, Connor był pewien, że to pułkownik William Pierce. Wyglądał zupełnie tak samo jak wtedy, gdy Connor po raz ostatni ujrzał go przelotnie na polu bitwy pod Waterloo.

Jeśli Bóg kiedykolwiek dał mu jakiś wyraźny znak, to właśnie w tej chwili. Pierce, człowiek trzeźwy, życzliwy i przytomny, nie potępiał nikogo, nim go nie wysłuchał. Dobrze znał kręgi londyńskiej socjety i mógłby mu pomóc w zaaranżowaniu spotkania z Cordelia. Wiedział też doskonale, co Connor sądził o swoim ojcu i wszystkim, co wiązało się z tytułem Dunbrooke'ow. Z pewnością nie pozostałby obojętny wobec powrotu z tamtego świata dziedzica książęcej fortuny.

Connor aż przymknął powieki, doznając ogromnej ulgi, lecz zaraz szybko je otworzył. Za nic nie chciał stracić Pierce'a z oczu.

Co jednak miał robić? Nie mógł tak po prostu zwyczajnie podejść do niego i spytać: „Co słysząc, czy pan mnie sobie przypomina?” Przecież został uznany za zmarłego! Najlepiej byłoby znaleźć się z nim przez chwilę sam na sam w jakimś spokojnym, odosobnionym zakątku i wtedy ostrożnie nawiązać z pułkownikiem rozmowę.

Pierce tymczasem uklonił się starszemu dżentelmenowi i po chwili wahania, jakby czekając, by jego towarzysz zniknął ostatecznie z pola widzenia, wstąpił do kwaciarni oddalonej ledwie o parę metrów.

Connor niezdecydowanie podszedł ku drzwiom, udając, że przygląda się z uwagą przyklejonemu na ścianie afiszowi. Nie mógł jednak tak stać w nieskończoność.

Tymczasem drzwi kwaciarni się otworzyły. Usłyszał męski głos, należący bez wątpienia do właściciela sklepu, który lamentował:

- ...ależ panie pułkowniku, o wiele trudniej je dostać w Londynie, niż pan sądzi. Nikt nie chce hodować dzwonek w cieplarniach, skoro na wsi można ich sobie narwać, ile się tylko chce, całkiem za darmo!

- Muszę mieć błękitne dzwonki, panie Gordon - usłyszał uprzejmy, lecz stanowczy głos Pierce'a. - Dobrze pan wie, że zamawiam wyłącznie te kwiaty. Proszę je, jak zwykle,

gdzieś znaleźć i dostarczyć mi, ja zaś, jak zwykle, bardzo dobrze panu za nie zapłacę.
Życzę miłego dnia!

Błękitne dzwonki? Po cóż wojennemu bohaterowi błękitne dzwonki?

Pierce wyszedł z kwaciarni i przez chwilę stał na progu, trochę jakby zagniewany. Zatrzymał się na moment i przejechał laseczką po własnych butach, jakby się nad czymś zastanawiając, a potem ruszył prosto w stronę Dorożki za Szóstkę, znanej z mocnego, nierozwodnionego piwa i prostego, ale smacznego jedzenia.

Connor podążył za nim. Widział, jak pułkownik wchodzi do szynku. Jeszcze mocniej podciągnął do góry halsztuk, policzył w myśli do dziesięciu i wszedł za nim.

W szynku było sporo ludzi godnych miana dżentelmenów, ale też mnóstwo innych, których raczej trudno byłoby za takich uznać.

Zony tych pierwszych, o czym Connor wiedział, zemdlałyby ze zgrozy, widząc, jak ich małżonkowie popijają piwko z ową drugą kategorią mężczyzn, klepią ich po ramieniu oraz wymieniają z nimi żarciki. Ani jedni, ani drudzy nie spotykali się w salach balowych, lecz na walkach kogutów lub w pubach.

Pierce witał się właśnie z wieloma osobami, których Connor nie znał. Usiadł w kącie.

- Co pan zamawia?

Connor udał, że przygląda się pilnie własnym paznokciom, nie chcąc, by ktokolwiek w pobliżu mógł mu zajrzeć w twarz.

- Kufel ciemnego piwa.

- Ma pan forse?

Connor pokazał funta. Zadowolona szynkarka odwróciła się i z szumem spódnicy ruszyła w stronę kontuaru.

- Będzie pan dzisiejszego wieczoru na przyjęciu u lady Wakefield, Pierce? - spytał ktoś z drugiej strony.

Connor wyteżył słuch, pragnąc usłyszeć resztę rozmowy, ale wolał nie zwracać twarzy ku rozmówcy Pierce'a. Lady Wakefield, o czym wiedział, mieszkała w swojej rezydencji na St. James Square, dwa domy od rezydencji Dunbrooke'ow. Była również, jak głosiła plotka, kochanką jego ojca. Podczas pewnej wizyty w Keighley Park natknęła się raz w holu na Connora, który akurat próbował wsadzić rękę pod spódnicę rozchichotanej służącej. Nigdy nie powiedziała o tym ojcu, co sprawiło, że odtąd zawsze wspominał ją z największą wdzięcznością.

- Owszem, będę, Rutherford, dobrze wiem, że to obowiązek towarzyski.

Po słowach Pierce'a rozległ się wybuch dobrodusznego śmiechu.

- Wszystkie te obowiązki to jedna wielka bzdura! Będzie pan tam chyba ze względu na obecność pewnego jasnowłosego anioła, prawda? Niech pan sam powie, Pierce, czy nie mam racji?

Rubaszny śmiech rozległ się ponownie, a także odgłos głośniego klepięcia po plecach.

- Pospiesz się lepiej z tą piękną Lorelei, Pierce, bo jej matka zamierza wydać za jakiegoś markiza czy kogoś w tym rodzaju!

Dobry Boże! Connor szczerze wątpił, by istniała jakaś inna dziewczyna imieniem Lorelei, która mogłaby brylować w tym sezonie w londyńskich salonach pod skrzydłami opiekuńczej matki. Cóż za ironia losu, że akurat Lorelei Tremaine wzbudziła zainteresowanie Pierce'a. Przez krótką chwilę zapragnął być świadkiem wielkiego wrażenia, jakie bez wątpienia musiała zrobić wśród dandysów i matron socjety. Rebeka z pewnością cieszyłaby się, widząc, że jej siostra wzbudza taką sensację. Tremaine'owie

nie planowali jednak wyjazdu młodszej córki na sezon, tylko ze względu na honor rodziny i własne korzyści zamierzali zmusić ją do poślubienia rozwiazłego barona. Poczul nagle złość. Miał nadzieję, że teraz troska o nią nie pozwalała im sypiać po nocach. Zasłużyli sobie na taki los!

Głos pułkownika Pierce'a zagłuszył dalsze słowa rubasznego kompana.

- Och, wiesz przecież, Rutherford, że nie rozglądam się wcale za żoną. Wypijmy jednak za zdrowie jej matki!

Connor uśmiechnął się, słysząc ten głos. Pamiętał dobrze jego miłe brzmienie, choć Pierce potrafił też mówić stanowczym, władczym tonem, tak jak teraz. Oznaczało to, że Pierce nie życzy sobie żadnej dalszej dyskusji na temat Lorelei Tremaine.

Usłyszał śmiech i brzęk kieliszków, gdy wznoszono toast na cześć lady Tremaine. Potem Rutherford odchrząknął i głośno oświadczył:

- Słyszałem, że na przyjęciu u lady Wakefield ma się pojawić sam król. Czy pańskim zdaniem dostanie rozwód?

Rutherford poruszył szeroko diskutowany temat, perorując, że Jerzy IV może sobie być głupcem, lecz jego żona to po prostu ladacznica, nic więc dziwnego, że za wszelką cenę chce się jej pozbyć, ale jak na złość całe towarzystwo stoi po stronie królowej Karoliny. Poparł go chór entuzjastycznych stronników króla.

Szynkarka postawiła przed Connorem kufel pełen piwa, z głośnym stukiem wypłaciła bilonem stosik reszty i wmieszała się ponownie w ciżbę, nim zdołał jej podziękować.

Unosił właśnie pełen spienionego płynu kufel do ust, gdy usłyszał:

- Więc do wieczora, Pierce! Wypalimy sobie cygarko u lady Wakefield!

Do licha! Pierce już torował sobie drogę przez tłum, zmierzając ku drzwiom. Connor chciwie pociągnął potężny łyk i pochylił głowę, gdy pułkownik przechodził obok jego stołu.

- Cieszę się na samą myśl o tym, Rutherford! - odparł Pierce i opuścił szynk zegnany śmiechem przyjaciół.

Connor odczekał chwilę, po czym odsunął krzesło i dyskretnie podążył za nim. Stał przez chwilę w progu, mrużąc oczy, żeby przywyknąć do światła dziennego po wyjściu z pubu, a potem zrobił krok naprzód.

I omal się nie zderzył z Johnem i Edgarem.

Connor pierwszy odzyskał przytomność umysłu i pospiesznie wmieszał się w najgęstsza ciżbę na Bond Street, rozpaczliwie szukając wzrokiem pułkownika, który szedł przez siebie energicznym zdecydowanym krokiem. Connor wiedział, że trudno celnie trafić z pistoletu w ulicznym tłoku. Nie oznaczało to jednak, że mordercy nie będą próbować. Szedł najprędzej, jak tylko mógł, poruszając się szybko, jakby zaraz miał przejść do biegu, i usiłował kryć się za możliwie najgrubszymi z przechodniów, jakich zdołał dostrzec, w nadziei, że w ten sposób utrudni prześladowcom celowanie.

John i Edgar rozdzielili się i coraz wyraźniej zachodzili go z obu stron. Co chwila dostrzegał ich w tłumie. Wszyscy trzej kluczyli pośród niego, z tym że Connor wypatrywał schronienia, oni zaś luki, która umożliwiłaby im strzał. Było to coś w rodzaju śmiertelnie groźnego tańca wirowego.

Nagle powszechną uwagę zwrócił przeciągły kobiecy krzyk, w ślad za którym posypały się przekleństwa w londyńskim żargonie. Grupa przechodniów, wśród których znalazł się Connor, stanęła jak wryta, a potem ruszyła tam, skąd dobiegały odgłosy kłótni.

W ten sposób Connor nieoczekiwanie znalazł się sam.

Wszyscy trzej stanęli na moment osłupiali, we wręcz śmiesznie małej odległości od siebie. John i Edgar natychmiast sięgnęli po pistolety.

W ułamku sekundy do Connora dotarła świadomość oślepiającego blasku słońca odbijającego się w lufach, widok Pierce'a, który dosiadał właśnie gniadego konia, oraz głośny tętent i skrzyp kół pędzącej dorożki. Connor dokonał, jak mu się wydało jedyne go wyboru.

Rzucił się pod koła nadjeżdżającej dryndy.

Widząc, że koła dorożki zatrzymują się o parę centymetrów od jego nosa, a konie rżą i gwałtownie stają dęba, zwinął się w ciasny kłębek. Ledwie słyszał narastający zgiełk. Sporą część gapiów przyciągnęło teraz to, co mogło uchodzić za groźny wypadek uliczny. Co prawda tłum go w tej chwili chronił, ale mnóstwo ciekawskich oczu wpatrywało się w jego twarz. Czekał, leżąc nieruchomo i bojąc się głębiej odetchnąć. Po krótkiej chwili pod dorożkę zajrzała czyjaś szeroka gęba. Typ rzucił na niego spojrzenie pełne niepokoju, który z wolna ustąpił zdumieniu, a potem przerodził się w szeroki, radosny uśmiech szczerbatych ust.

- Patrzcie, patrzcie! Jego Lordowską Mość!

Był to Chester Sharp.

Małego Thomasa nękała kolka, Alice - dokuczliwy kaszel, Nicholas Heron cierpiał na podagrę, a stary Louis narzekał na rozwolnienie. Przez cały dzień Leonora zaglądała w oczy i do gardeł, macała czoła, patrzyła na wysunięte języki i zadawała pytania, a potem wybierała odpowiednie lekarstwa. Przez cały też dzień Rebeka gorliwie spełniała jej polecenia. Raz sięgnęła bez pytania po nalewkę z zimowitu. Leonora podziękowała jej uśmiechem, bo właśnie to był właściwy lek na podagrę Nicholasa Herona.

Ostatni z pacjentów, stryjeczny dziadek Raphaela, Louis, był mocno już wiekowym wdowcem i chodziło mu głównie o to, by ktoś zechciał wysłuchać jego narzekań. Po upewnieniu się, że nie ma gorączki ani innych dolegliwości, które mogłyby spowodować biegunkę, Leonora pocieszyła go, że to w gruncie rzeczy szczęście, bo większość mężczyzn w jego wieku skarży się na coś zupełnie przeciwnego. Louis zaśmiał się z wdzięcznością, wypił napar z pięciornika i zagroził, że wróci z awanturą, jeżeli ziółka mu nie pomogą.

Przez cały dzień Rebeka wręcz zatracala się w pracy. Była szczęśliwa nie tylko z powodu wiedzy, jaką przekazywała jej Leonora, lecz także zadowolona, że nie ma przy niej Marty. Bez wątpienia dziewczyna skwapliwie przyjmowała pełne zachwyty hołdy cygańskich młodzieńców, liczniejszych tutaj niż w jej własnym taborze. Jednak co jakiś czas bolesny skurcz żołądka przypominał Rebecce, że Connor odjechał i nawet się z nią nie pożegnał.

Cierpliwie znosiła jego sekrety, półprawdy i to, że nie do wszystkiego się przyznawał. Na pewno ci, którzy znali ją od urodzenia, byliby zdumieni, widząc, jak wielka jest jej cierpliwość. Kochała go jednak, a że zdawał się potrzebować tej miłości, ofiarowywała Connorowi nie tylko cierpliwość, lecz i zaufanie, nie zadając żadnych pytań prócz tych kilku, które tak czy owak musiałaby zadać. Natomiast on wciąż nie odplacał jej szczerością. Czego się bał? Czyżby sądził, że Rebeka wpadnie w złość albo rozplacze się jak małe dziecko?

Wieczorem poczuła w sobie pustkę. Pewnie na kolację znów będzie gulasz, którego chyba nie zdołałaby przelknąć, pewnie Marta Heron znów odśpiewa jakieś przejmujące

pieśni. Inni Cyganie będą się śmiać i rozmawiać w języku, który Connor w przeciwieństwie do niej rozumiał. A tymczasem zostawił ją tutaj samą, gdyż bał się wyznać jej prawdę - obojętnie jaką.

Leonora odetchnęła i rozprostowała kości, gdy wuj Louis w końcu opuścił namiot.

- Co chciałabyś robić dziś wieczorem, mała gadzio?

Rebeka miałaby ochotę rzucić czymś ciężkim w Connora Riordana, a w jej córkę zapewne też, ale wołała milczeć.

- Chętnie będziemy cię widzieć przy ognisku - dodała Leonora, gdy dziewczyna nie odpowiadała.

Nagle Rebece przyszło coś do głowy.

- Czy nie masz ziół, które trzeba utłuc tłuczkiem w moździerzu - spytała, miażdżenie bowiem wydało się jej bardzo odpowiednim sposobem na spędzenie reszty dnia.

Leonora przyglądała się jej przez dłuższą chwilę w milczeniu, a potem uśmiechnęła się kątem ust.

- Z pewnością. Zawsze coś trzeba utłuc. Przyniosę ci tutaj jedzenie.

Gdy już miała wychodzić z namiotu, zatrzymała się nagle.

- Wolno ci kochać, Rebeko - dodała z lekkim uśmiechem.

Connor mógłby przysiąc, że nuda, wręcz dosłownie, fizycznie sączyła się spod potężnych, podwójnych drzwi londyńskiej rezydencji lady Wakefield niczym szkodliwe wyziewy wiszące podczas skwarnych dni nad Tamizą. Od zawsze nienawidził balów. Budziły w nim obrzydzenie. Wystrojeni ludzie tłoczyli się w salonach i oblewali potem, stłoczeni niczym pikle w słoju, a także paplali o błahostkach z innymi, których widywali niemal każdego dnia sezonu. Potem podskakiwali niczym okaleczone żaby w idiotycznych tańcach, chociaż tańczono już także walca, ten zaś, jego zdaniem, był bardziej możliwy do zniesienia.

W sumie bale raziły jego poczucie rozsądku. Uznawano je za udane dopiero wtedy, gdy jakaś dziewczyna mdlała z braku powietrza i trzeba ją było pospiesznie wynosić do ogrodu.

Raz jeszcze podziękował Bogu za rozsądek jego rudowłosej narzeczonej, która oczekiwała go pod Cambridge. Rebeka wolałaby raczej łapać w sidła zająca albo pływać nago, niż tłoczyć się wśród rozmaitych błaznów na balu u lady Wakefield. Nagle stanął mu przed oczami bardzo wyraźny, wręcz oszałamiający obraz Rebeki, nagiej i pokrytej kroplami wody. Connor zmusił się jednak do myślenia o czym innym. O tym, co go teraz czekało. Im prędzej zrobi to, co należy, tym szybciej będzie mógł do niej wrócić.

Na szczęście lady Wakefield zostawiła drzwi otwarte, żeby wpadało przez nie świeże nocne powietrze. Wykupiła jednak chyba wszystkie świece w Londynie. Długi rząd świeczników ciągnął się, począwszy od frontowych schodów, oświetlając parę lokajów w liberiach, którzy byli tu czymś w rodzaju żywej dekoracji i jednocześnie wskazywali nowo przybyłym drogę do sali balowej.

Jak na ironię jaskrawa iluminacja sprawiła, że cienie stały się głębsze, a Connor dzięki temu znalazł doskonale miejsce do obserwacji przychodzących gości, gdzie nikt go nie mógł zobaczyć: pomiędzy rezydencją Wakefieldów a następnym budynkiem.

Chester Sharp o nic nie pytał, tylko zabrał go do swojej kwatery w Cheapside, pożyczył mu brzytwę, nakarmił, a także zgodził się zawieźć go na bal i potem odwiedzić o północy.

- Niech Wasza Lordowska Mość o nic się nie troszczy, wszystko zostało zapłacone z góry - odparł, gdy Connor, dziękując, sięgnął do kieszeni.

Przed rezydencją podjeżdżał sznur powozów, z których wysiadały wytworne damy w jedwabnych sukniach i turbanach, obwieszane klejnotami, a także mężczyźni w wykrochmalonych białych koszulach, barwnych kamizelkach i halsztukach, okryci ciemnymi płaszczami.

Connor rozpoznał kilka osób, za którymi zresztą wcale nie tęsknił. W pewien sposób przypominało to obserwowanie z pewnej odległości pola bitwy, takiej jak ta, z której zdołał wyjść cało. Wiedział, że teraz małe bitwy rozegrają się też wewnątrz pałacu, a bronią będą jedwabne stroje i nieszczerze komplementy wypowiedane z towarzyskiego obowiązku. Uważał, że prawdziwa bitwa jest o wiele uczciwsza.

Słyszał, jak Sedgewick, wiekowy i trochę już głuchawy kamerdyner lady Wakefield, anonsuje kolejnych gości donośnym, celowo obojętnym głosem:

- Sir Gregory Markham! Lord i lady Bryson! Hrabia i hrabina Courtland! Doktor Erasmus Hennessey!

Wreszcie nadjechała dorożka, z której wysiadł Pierce, dostojny, ubrany w nieco staroświecki czarny płaszcz i szarą kamizelkę. Connor obserwował go z zapartym tchem i modlił się w duchu. Modły zostały wysłuchane, bo dorożka, którą pułkownik przybył, odjechała i Pierce został sam.

Zawahał się nieco przed wejściem do rezydencji, miał wyraźnie skonsternowaną minę, gdy spostrzegł lokajów w liberjach i usłyszał gwar rozmów i dźwięki skrzypiec. Connor uśmiechnął się cierpko, ponieważ szczerze mu współczuł. Pułkownik w końcu wyprostował się i z rezygnacją podszedł krok bliżej.

- Pierce! - syknął do niego z ukrycia Connor.

Pułkownik zatrzymał się gwałtownie, rozejrzał wokoło i zmarszczył brwi, a następnie zbliżył do pałacu. Connor zaklął pod nosem i wysunął się z cienia.

- Pułkowniku Pierce! - rzekł trochę głośniejszym głosem, wkładając w te słowa całą tłumioną energię. Pierce znów przystanął, marszcząc czoło. Pokręcił głową ze zniecierpliwieniem. A potem zamarł.

Na jego twarzy odmalowały się kolejno radość, strach i zdumienie. Rozpoznał go! Pułkownik z wahaniem postąpił pół kroku w przód, potem stanął, pokręcił głową i znowu na niego spojrział. Najwyraźniej nie był pewien, czy Connor przypadkiem nie jest zjawą. Przed rezydencją zatrzymał się kolejny powóz i wysypało się z niego kilku mocno wstawionych młodych ludzi, którzy rozbawieni natychmiast zaczęli się wspinać na schody. Jeden z nich zderzył się z Connorem, zachwiał i żeby nie runąć na ziemię chwycił go oburącz za ramię. Uśmiechał się przy tym głupawo.

- Czołem, chłopie, przyzy... jacielu miły!

- Precz! - syknął Connor z przerażeniem, na próżno usiłując strząsnąć z ramienia palce, które wpiły mu się w ciało niczym kleszcze. Młodzieniec zachwiał się nieco, po czym spojrział na Connora bezmyślnie i bez śladu zaskoczenia, jakby nie mogąc sobie przypomnieć, skąd się tu właściwie wziął. Nadal jednak nie rozluźnił chwytu.

Reszta podpitej gromadki otoczyła ich nagle, poszturchując się wzajemnie, popychając, hałasując i wymachując laseczkami.

- Chodźże, Farnsworth, przestań tu sterczeć, młode damy na nas czekają! - jęknął jeden z przyjaciół i wszyscy razem zaczęli odciągać niesfornego młodzieńca.

Farnsworth nie puścił jednak swego zbawcy, toteż Connor znalazł się nagle przed dwoma lokajami, a potem we wnętrzu.

Pierce patrzył za nim z ustami szeroko otwartymi ze zdumienia.

Przerazony Connor zdołał wreszcie uwolnić się od młodego Farnswortha, lecz gdy odwrócił się ku drzwiom, stał przed całym szeregiem młodzieńców. Bez pardonu utorował sobie drogę, ignorując ich protesty, póki znów nie znalazł się przed wejściem. Tamtędy jednak wchodzili baron i baronowa Leighton-Hyde, choć z trudem i powoli, baronowa bowiem odznaczała się nie lada tuszą, a baron cierpiał na podagrę. Był niegdyś przyjacielem jego ojca, człowiekiem szczerym i życzliwym. Connor prześliznął się pod ścianą ze spuszczoneymi oczami, kryjąc brodę w halsztuku, póki tamci nie opuścili westybulu.

Wyrzwał na zewnątrz, chcąc się przekonać, czy Pierce wciąż jeszcze stoi przed wejściem, lecz tam tłoczyli się już kolejni goście.

A wśród nich sir Henry i lady Tremaine.

Connor spojrział na nich z rozpaczą, szukając drogi ucieczki, lecz omal nie podskoczył, gdy znów poczuł na ramieniu żelazny uścisk palców młodego Farnswortha.

- Chodźże... na ten baal... stary... - zachęcał go, bełkocząc młodzieniec i pociągając za sobą.

Tymczasem Sedgewick stoicko anonsował po kolei każdego z hałaśliwych młodych gości.

- Pańskie nazwisko, sir? - spytał Connora.

- To jeest... mój dobry druh... jaa go znałem... już dawniej - oznajmił z pijackim rozbawieniem Farnsworth.

- Ach, lord Davney? - spytał Sedgewick.

- Nie! - prychnął wściekle Connor, desperacko usiłując się wyrwać Farnsworthowi. - Na Boga, nie!

- Sir Boganee? - podsunął usłużnie Sedgewick.

- Roarke! - odezwał się nagle ktoś za jego plecami. Connor, starając się opanować, odruchowo spojrział w tamtą stronę. Za nim stał pułkownik Pierce, uśmiechając się radośnie.

- To księżę Dunbrooke! - zawołał.

- Jego Wysokość księżę Dunbrooke! - huknął donośnie Sedgewick, nim do niego dotarło, że przecież ten arystokrata od dawna już nie żyje.

Farnsworth energicznie wepchnął Connora do środka.

Skrzypce nagle przestały grać, rozmowy zamilkły. Setki oczu spoczęły na Connorze, zapadła głucha cisza, którą przerwało tylko głośnie plaśnięcie - to ciało zemdlonej kobiety miękko upadło na posadzkę.

20

Prawdę mówiąc - wycedził powoli Connor, gdyż najwyraźniej wszyscy czekali, by się odezwał - nie jestem teraz w nastroju do tańca.

Słowa te, wypowiedziane tonem zwykłej towarzyskiej rozmowy, na tle ogólnego milczenia zabrzmiały przeraźliwie głośno. Nikt się nie ruszał, nikt nic nie mówił, wszyscy wstrzymali dech. Muzykanci zamarli z uniesionymi w górę smyczkami. Cisza

dzwoniła w uszach, wszystkie zaś twarze, pełne niedowierzania, zwróciły się ku Connorowi.

Wreszcie drobna kobietka w zdobionej koronkami sukni z szarego jedwabiu wysunęła się z tłumu i podbiegła do Connora; stukot jej obcasików rozległ się echem w sali.

Lady Wakefield zatrzymała się tuż przed nim, podniosła do oczu lorgnon i przez szkiełko spojrzała na jego twarz.

- Coś podobnego, przecież to pan, Roarke! - oznajmiła w końcu.

- Zawsze poznałabym Blackburnów po oczach. Wykapany ojciec!

- Tak, to naprawdę ja, lady Wakefield - przyznał. Po tych jego słowach w całej sali podniósł się szum.

- Ależ... on wygląda całkiem jak mój stajenny! - Wśród gości rozległ się okrzyk pełen zdumienia.

Dobry Boże, sir Henry! Connor i tym razem oparł się jednak chęci ucieczki. Uwagę jego przykuł ruch. Jakaś kobieta torowała sobie drogę wśród ciżby. Poznałby ją zresztą wszędzie po sposobie, w jaki się poruszała. Przecież to właśnie przykuło jego uwagę przed laty.

- Niech pan się stąd nie rusza, Pierce - szepnął do pułkownika, który cofnął się o krok. Cordelia spojrzała Connorowi w oczy.

- Daję ci wybór - rzekł półgłosem - albo podasz mi ramię i pójdziesz ze mną przez ten tłum spokojnie, albo cię powlokę siłą.

Zawahała się, lecz po chwili obciążone rękawiczką palce lekko niczym motyl spoczęły na jego ramieniu. Uśmiech - słaby i drżący, ale mimo wszystko uśmiech - pojawił się na wargach Cordelii. Uniosła głowę.

- Nieźle ci to wyszło... Cordelio - mruknął, choć targał nim gniew, i poprowadził ją z bezlitosną niemal nonszalancją przez tłum oniemiałych gości. Zatrzymał się, stając ponownie przed lady Wakefield.

- Milady - rzekł z lodowatym spokojem - czy jest tu jakiś pokój, gdzie księżna, pułkownik Pierce i ja moglibyśmy znaleźć się na chwilę sami? Nim uznam, że mogę wziąć udział w pani balu, muszę zakończyć pewną niecierpiącą zwłoki sprawę. Mamy sporo do omówienia.

- Ależ oczywiście. Biblioteka na piętrze, po prawej.

- Serdecznie pani dziękuję - odparł i uśmiechnął się, choć jakby z przymusem.

- Później mi o wszystkim opowiesz, prawda, drogi chłopcze? - spytała kokieteryjnie lady i z triumfalnym uśmiechem trzepnęła go leciutko wachlarzem po rękę.

Przeszła do historii! Ten jej bal pozostanie na zawsze w ludzkiej pamięci nie tylko z powodu wizyty królewskiej, lecz również dlatego, że tu właśnie objawił się nieoczekiwanie od dawna uważany za zmarłego księżę Dunbrooke!

Connor z rozmachem zatrzasnął za sobą drzwi biblioteki i strząsnął z ramienia dłoń Cordelii.

- Siadaj!

Cordelia, z imponującym spokojem, sztywno wyprostowana usiadła na jednym z głębokich foteli i złożyła ręce na podolku. Pułkownik, oparty o gzyms kominka, patrzył na nich beznamiętnie.

Marianne Bell wyglądała w gruncie rzeczy jeszcze piękniej niż kiedyś: kości policzkowe rysowały się teraz subtelniej, wargi były delikatniejsze. Wydawała się wprawdzie spokojna, lecz Connor czuł, że ogarniają strach.

Dziwiło go, że dawniej tak bardzo jej pragnął. Teraz o nią nie dbał. Za to Rebeka była mu droga jak talizman. Gdy patrzył na Cordelię, obchodził go już tylko cel, w jakim tu przybył. Poczł narastającą wściekłość. Mimo gniewu odezwał się jednak spokojnie, tonem człowieka dobrze wychowanego:

- Cordelio, chciałabyś może spojrzeć na to? Rozwarł palce zaciśniętej pięści.

Na jego dłoni leżał medalion.

Cordelia westchnęła głośno.

Connor podał otwarty medalion pułkownikowi.

- Księżna była niegdyś moją kochanką. Przeznaczyła ten medalion dla mnie, lecz rzuciłem ją, nim zdołała mi go ofiarować. Niedawno zrzędzeniem losu dostał się w moje ręce. Gdy odkryła, że go mam i że żyję, postanowiła mnie zabić.

Zdjął surdut, chcąc dowieść prawdy swoich słów. Pierce i Cordelia spojrzeli w milczeniu na podartą, zaplamioną koszulę. A choć nie przyczynił się wcale do tego żaden z nasłanych przez nią rzezimieszków, krwawe plamy były aż nadto wymowne.

- Po przeczytaniu dedykacji zrozumie pan, Pierce, jej motyw, przynajmniej częściowo.

Pierce przyjrzał się medalionowi, potem utkwiał wzrok w twarzy Cordelii.

- Ach, aktorka? A wszyscy przez cały czas uważali panią za arystokratkę francuskiego pochodzenia. Imponujące! Teraz rozumiem, że samo pojawienie się Roarke'a, nie mówiąc nawet o tym medalionie, mogło... stać się pani klęską.

Cordelia nie słuchała go.

- A więc byłeś stajennym - powiedziała do Connora miękkim, niskim głosem, który tak dobrze pamiętał - u sir Henry'ego Tremaine'a.

- Tak. - Kątem oka dostrzegł zdumienie Pierce'a.

- Sir Henry sądził, że jesteś Irlandczykiem.

- Owszem.

- Jakie to zabawne - powiedziała w zadumie. Oczyma błędziła po wytwornym wystroju pomieszczenia, pełnym złocień i brązów, jakże podobnym do biblioteki w rezydencji Dunbrooke'ow. - Może zrobiłeś tak z lenistwa, a może z braku wyobraźni, ale ja od dawna wiem, że ludzie lubią na ogół wierzyć w to, co się im mówi.

- Zapewne zależy to od zręczności mówiącego.

Spojrzeli sobie w oczy, w których na moment ukazał się błysk dziwnego porozumienia.

Connor niemal podziwiał to, co zdołała osiągnąć. Rozporządzając licznymi atutami - urodą, talentem aktorskim, wiedzą o świecie Dunbrooke'ow - zdołała wyjść za Richarda i zostać księżną. Nie docenił jej, a właściwie nigdy nie cenił należycie. Po prostu z niej korzystał. Co w gruncie rzeczy tak naprawdę wiedział o Cordelii? Właściwie znał tylko jej nagie ciało. Kochał go kiedyś, o czym świadczyła dedykacja medalionu - „Mojemu najdroższemu”. A jednak... Przyjrzał się diademowi na lśniących, czarnych włosach i wydekoltowanej sukni z granatowego atłasu w złociste prążki, odsłaniającej część białych piersi, rubinom na szyi. Wszystko za pieniądze Dunbrooke'ow. Teraz zrozumiał, że mimo dawniejszej miłości chętnie by go zabiła dla całego tego luksusu. Rebeka mogła stracić życie, on mógł zostać zamordowany, byle tylko Cordelia miała piękne suknie, klejnoty i pozycję w społeczeństwie. Dusił go gniew.

- Cordelio, powiedz mi, jak zginął mój brat?

- Jakiś rozbójnik poderżnął mu gardło - odparła ze spokojem. Connor w zamyśleniu skinął głową.

- Musiało to być dla ciebie bardzo dogodne... przepraszam, niezwykle wstrząsające wydarzenie.

Cordelia przyglądała mu się bez słowa, a źrenice jej ciemnobłękitnych oczu tak się rozszerzyły, że stały się niemal czarne. Dojrzał żyłkę pulsującą na jej szyi.

Cordelia uśmiechnęła się nieznacznie.

- Znając Richarda i jego... upodobania - zaczął, kiedy mógł już mówić - mogę sobie wyobrazić, że życie z nim nie należało do łatwych. Chyba potrafię zrozumieć, dlaczego chciałaś mnie zabić. Zapewne pragnęłaś zemsty. Zostawiłem cię bez słowa pożegnania, z czego - możesz mi wierzyć albo nie - bynajmniej nie jestem dumny. Żałuję tego. A potem musiałaś desperacko walczyć o życie, które sobie podstępem zapewniłaś - pozycję wdowy po Richardzie i księżnej Dunbrooke. Nie dziwi mnie, że byłaś gotowa na wszystko, by tylko ją zachować. Ale też nasłałaś uzbrojonych rzezimieszków na Rebekę i jeden z nich śmiało położył rękę na jej ciele. Chętnie bym cię za to ujrzał na szubienicy.

Odniosł nieodparte wrażenie, że Cordelia za chwilę osunie się na ziemię, lecz może była to tylko jedna z jej sztuczek. Jednak kurczowo zaciśnięte, zbielejące dłonie zdradzały prawdziwy stan jej umysłu.

- Czyżbyś zamierzała zemdleć, Cordelio? Spodziewałem się po tobie czegoś oryginalniejszego.

Roześmiała się wzgardliwie.

- Nic o mnie nie wiesz, Roarke. Zresztą nigdy nie wiedziałaś. Gdybyś miał choćby pojęcie o tym, co musiałam przejść w życiu, zrozumiałbyś, że nic, co powiesz lub zrobisz, nie może sprawić, bym zemdlą.

Connor patrzył na siedzącą przed nim piękną kobietę z mieszaniną podziwu i wstrętu. Miała w sobie dumę arystokratki i duszę kryminalistki... lecz jej serce było zapewne sercem zwykłej kobiety. To jednak przestało się dla niego liczyć. Ważna była jedynie miłość do Rebeki. Jeśli tylko Rebeka nadal go kochała, byłby zdolny wybaczyć Cordelii prawie wszystko. Nagle cała jego wściekłość gdzieś znikła.

- Biorę pana na świadka, pułkowniku, że księżna niczego się nie wypiera. - Connor odwrócił od niej wzrok. - Z pewnością kazała zabić mego brata; mnie też próbowała uśmiercić.

- Owszem, zgadzam się - odparł Pierce dziwnie znużonym tonem. - Mam nadzieję, że w zamian za to poznam kiedyś całą pańską historię. Czy rzeczywiście był pan stajennym? Przez pięć lat?

- Ehm... tak. Obiecuję, że wkrótce wszystkiego się pan dowie, ale teraz muszę koniecznie udać się na koński targ pod Cambridge. I to natychmiast.

- Na koński targ pod Cambridge?! - zdumiał się Pierce. - Po co, u licha.

Stukanie do drzwi sprawiło, że wszyscy drgnęli. Connor otworzył natychmiast. Na progu stanęła lady Wakefield, jej twarz poróżowiała z przejęcia.

- A więc okazja przepadła!

- O co chodzi, lady Wakefield? Lady przyjrzała się Cordelii.

- Co się stało, Wasza Wysokość? Wygląda pani...

- Lady Wakefield - przerwał jej Connor, widząc, że Cordelia właśnie otwiera usta - jakąż to okazja przepadła?

- Mógł się pan widzieć z królem! Był tu przez kilka minut i chciał pana zobaczyć. A nawet żądał tego! Jutro pragnie się z panem spotkać na prywatnym obiedzie.

- Jutro? Nie będę mógł. Proszę mu powiedzieć...

- Roarke - przerwał mu przyciszonym głosem Pierce - w końcu to król!

Connor zamknął drzwi tuż przed nosem zdumionej lady Wakefield i zwrócił się do Pierce'a:

- Nie wie pan, jak ważne mam sprawy.

- Proszę mi w takim razie wytłumaczyć, bo inaczej uznam, że jest pan niespełna rozumu.

- Rebeka! Chodzi mi o Rebekę Tremaine. Moją narzeczoną. Zostawiłem ją u mego starego przyjaciela na końskim targu pod Cambridge i koniecznie muszę po nią wrócić. Początkowo zamierzałem ją zabrać do mojej ciotki w Szkocji, a potem popłynąć do Ameryki, ale... zmieniłem plany.

- Rebeka Tremaine? Ta tajemnicza siostra, którą Lorelei nazwała niedysponowaną?

- Jak pan powiedział, pułkowniku? Nie „panna Tremaine”, tylko „Lorelei”?

Connor o mało nie parsknął śmiechem, gdy niewzruszony zazwyczaj Pierce oblał się rumieńcem.

- Skoro pana interesuje los Rebeki Tremaine, proszę się nie bawić moim kosztem. Czy panna Lorelei Tremaine, mówiąc „niedysponowana”, miała na myśli to, że siostra uciekła?

Connor przytaknął.

- A czy pan, jako stajenny sir Henry'ego, pomagał jej w tym? Connor przytaknął powtórnie.

- I nikt o tym nie wie?

- Tylko pan i nasza piękna morderczyni. I jeszcze jeden człowiek, ale on się na szczęście nie należy do towarzystwa.

Rozległ się szelest jedwabiu. Cordelia wstała z fotela. Connor i Pierce spojrzeli na nią jednocześnie.

- Czyżby nasza piękna morderczyni miała coś przeciwko swemu nowemu... przydomkowi? - spytał pułkownika Connor.

- Szydysz z bezbronnej kobiety. Niezbyt to eleganckie z twojej strony, Roarke.

- Wybacz, Cordelio - odparł z sarkazmem - ale nigdy jeszcze nie znajdowałem się w obecności zbrodniarki i najwidoczniej moje dobre wychowanie nie potrafi sprostać tej sytuacji.

- Roarke - przerwał mu łagodnie Pierce - czy Rebeka jest bezpieczna u pańskich przyjaciół?

- Zupełnie tak samo, jakbym tam z nią był.

- Więc może poczekać jeszcze jeden dzień. W końcu jest pan księciem Dunbrooke, a król angielski żąda, żeby się pan u niego jutro zjawił.

Connor zbladł, cała krew odpłynęła mu z twarzy. Istotnie, był księciem Dunbrooke. I rzeczywiście nie mógłby wyjechać z miasta niepostrzeżenie akurat teraz, gdy cały Londyn, nie mówiąc już o królu, wiedział, że zmartwychwstał.

- Chciałbym tylko, żeby pan zagwarantował, iż księż... - Connor miał właśnie nazwać Cordelię księżną, gdy nagle dotarło do niego, że przecież zostanie nią wkrótce Rebeka - wdowa po moim bracie pozostanie tu, póki nie wrócę spod Cambridge. Potem zdecyduję o jej losie.

Spojrzeli na nią obaj. Cordelia, choć blada jak ściana, patrzyła im śmiało w oczy z uniesionym zuchwale podbródkiem.

- Tak, oczywiście, rozumiem. Areszt domowy, kilku uzbrojonych agentów z Bow Street... Szepnę też lady Wakefield na ucho, że księżna źle się poczuła. Proszę zostawić to mnie - zapewnił go Pierce.

Nadzieje Connora, że będzie mógł pospiesznie opuścić rezydencję lady Wakefield, rozwiały się szybko: po wyjściu z biblioteki ujrzał, że przy schodach czeka już na niego spory tłumek ciekawskich.

A u samego dołu rysowała się wyraźnie masywna sylwetka sir Henry'ego Tremaine'a. Zaklął pod nosem tak siarczyście, że Pierce, który mocno trzymał pod ramię Cordelię, spojrzął na niego z ukosa. Connor tymczasem mierzył w panice oczami odległość między sir Henrym a drzwiami wyjściowymi. Może księżę nie zawsze musi się stosować do reguł dobrego wychowania.

Czy sir Henry wiedział o jego roli w ucieczce Rebeki? Skąd jednak mógłby się tego dowiedzieć? Zaczęło go nurtować poczucie winy.

- Mam nadzieję, że nie wyzwie mnie na pojedynek - mruknął. - Jest świetnym strzelcem!

- Och, z pewnością tego nie zrobi. - Pierce był wyraźnie ubawiony.

Connor spiorunował go wzrokiem.

W końcu zszedł po schodach z taką miną, jakby zaraz miał stanąć pod szubienicą. Pierce i Cordelia postępowali za nim.

Ze szczytu schodów nie mógł dostrzec wyrazu twarzy sir Henry'ego, który nie spuszczał z niego oczu. Connor z kolei nie odrywał wzroku od sir Henry'ego. Gdy wreszcie znalazł się na dole, spojrzął na niego groźnie.

Sir Henry'ego nie był jednak gniewny ani nawet oskarżycielski. Na jego twarzy malowało się wyłącznie... rozbawienie.

- Ehm... dobry wieczór, sir Henry. - Connor nie zdołał wydusić z siebie nic więcej.

- Do licha, czy to naprawdę ty, Riordan? - stęknął sir Henry.

- Hm... zdaje się, że tak.

- Czyli... Dunbrooke? - Sir Henry wypowiedział to z wyraźną radością. - Księżę Dunbrooke! Mój stajenny okazał się księciem! Przypominasz sobie, Elizabeth? Gdy tu wchodziliśmy, powiedziałem, że...

- Tak, sir, to ja. Ale teraz, zechce mi pan wybaczyć, muszę koniecznie...

- Ależ dlaczego... To znaczy... dlaczego Wasza Wysokość... - jękał zdumiony sir Henry. - Wasza Wysokość! - powtórzył, kiwając głową i cmokając językiem.

Connor, czując się jak ostatni szubrawiec, podszedł do swego byłego chlebobdawcy.

- Sir Henry, byłoby mi bardzo miło, gdyby pan wraz z całą rodziną mógł przyjść do mnie na obiad, lecz teraz muszę...

- Chyba Wasza Wysokość nie zamierza wracać do stajni? - Sir Henry nadal cmokał językiem.

- Nie, sir Henry, obawiam się, że nie. Czy stajennym nie mógłby czasem zostać Michael? Albo może wicehrabia Grayson, jeśli uda się panu go namówić?

Sir Henry parsknął gromkim śmiechem i serdecznie klepnął Connora po plecach, a Connorowi tak ulżyło, że aż ugięły się pod nim kolana. Całe szczęście, że temat Rebeki nie wypłynął w rozmowie i najwyraźniej nie zanosilo się na to.

- Bardzo miło było pana widzieć, sir Henry, do widzenia! - Connor ruszył energicznie ku drzwiom wyjściowym, a za nim pospieszyli rozbawiony Pierce i Cordelia, której jednak wcale nie było do śmiechu.

Connor usłyszał jeszcze, jak sir Henry mówi do kogoś:

- Pieknie dobry był z niego stajenny! Najlepszy, jakiego miałem!
Edelston najpierw się upewnił, czy rzeczywiście został całkiem sam. Kiedy się o tym przekonał, odetchnął z ulgą.
Przez blisko godzinę musiał siedzieć cicho jak przysłowiowa mysz pod miotłą i nie mówić ani słowa, co już samo w sobie zakrawało na bohaterstwo. Prawą nogę miał zupełnie zdrętwiałą, czuł również duszność od zbyt długiego wstrzymywania oddechu, ale mu się to opłaciło! Jeszcze raz los okazał się dla niego niezwykle dla niego łaskawy. U lady Wakefield natknął się z miejsca na doktora Hennesseya, albo raczej doktor Hennessey dostrzegł Edelstona, który ujrawszy jego twarz, uznał, że lepiej zwiać. Od dawna był mu bowiem winien znaczną sumę pieniędzy wskutek jakiejś partii kart, którą zresztą ledwie mógł sobie przypomnieć. Był wtedy zanadto wstawiony, żeby dokładnie pamiętać, jak do tego doszło. A że potem doktor Hennessey zadłużył się równie potężnie u kogoś innego, nic dziwnego, iż stale mu deptał po piętach.
Edelston schronił się więc w takim pomieszczeniu, gdzie jego obecności nikt by się nie spodziewał, czyli w bibliotece. Już gotów był uznać, że znalazł się w bezpiecznym zakątku, gdy nagle drzwi się otworzyły. Edelston natychmiast wcisnął się za wielki fotel stojący w rogu. Zamknął oczy, jak dziecko, które usiłuje samo siebie przekonać, że stało się niewidzialne, i modlił się w duchu, by go nie dostrzeżono. A potem chciwie słuchał, z coraz większą satysfakcją, fascynującej rozmowy między Connorem, pułkownikiem Pierce'em i Cordelia Blackburn.
Gdy wyszli, wysunął się ze swojej kryjówki, rozprostował kości i zaczął energicznie przytupywać zdrętwiałą nogą. Cały promieniał. Jakie to dziwne, że długi karciane wskazały mu drogę do Rebeki! Niczego więcej nie potrzebował. Powziął już szatańsko chytry plan, być może pierwszy konkretny plan w swoim życiu. Lord Anthony Edelston wyruszył na koński targ pod Cambridge, zamierzając powrócić stamtąd z narzeczoną.

21

Uwagę Edelstona zwróciły najpierw krucze włosy dziewczyny stojącej na poboczu drogi; nieprzyzwoicie wręcz rozpuszczone, powiewały na wietrze niczym czarna flaga. Dziewczyna przypatrywała się pilnie własnym stopom, bosym, drobnym i zakurzonym. Obojętnie przy tym pocierała palcami jednej o kostkę drugiej, wciąż tym samym ruchem, w górę i w dół. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego ten widok wywołał w nim podniecenie. Była nie tylko bosa, lecz zgoła nędznie odziana w wypłowiałą bawełnianą suknię nieokreślonego koloru, jej skóra miała niezwyklej odcień kawy z mlekiem. Na szyi wisiał sznur czerwonych kamieni.
Cyganka, pomyślał, wstrzymując wierzchowca. Do końskiego targu było jeszcze kilka dobrych kilometrów. Może dziewczyna zabłądziła, może przypadkiem została w tyle albo też coś jej się stało. Z tego, co wiedział o Cyganach, raczej rzadko chadzali w pojedynkę, zwłaszcza kobiety. Czyżby chciała, żeby ją ktoś podwiózł? Nie bez pewnego zadowolenia wyobraził sobie, że obejmują go w pasie te smukłe ramiona. Może nie miałyby również nic przeciwko czemuś więcej? Stała w końcu przy całkiem dogodnej do tego celu kępie drzew. Otrząsnął się z tych rojeń, co zresztą coraz trudniej mu ostatnio przychodziło. Najwyższy czas, aby Rebeka Tremaine znalazła się wreszcie w jego objęciach, a potem także w łóżku.

- Mogę powróżyć - odezwała się zachęcająco, niskim głosem - jeśli dostanę trochę grosza. Edelston z trudem przełknął ślinę. Wróżenie? Czyżby pragnęła wybadać jego zamiary? Czy warto jej usłuchać?

- A jak będziesz wróżyć?

Cyganka roześmiała się, ukazując piękne białe zęby, i wyciągnęła ku niemu drobne dłonie, zwrócone wewnętrzną stroną do góry.

- Mogę powiedzieć, co cię czeka. Wystarczy, że pokażesz mi rękę, a ja wszystko powiem. Ale najpierw musisz mi dać pieniądze. - Znow zaczęła pocierać kostkę palcami drugiej stopy.

Chociaż Edelston już postanowił, jak ma wyglądać jego najbliższa przyszłość - triumfalny powrót z nieobliczalną narzeczoną - teraz zapragnął zatrzymać się przy małej Cygance i przyjrzeć z bliska jej czarnym włosom oraz smagłej skórze, gdy ona będzie trzymać jego dużą dłoń w swojej drobnej rączce. Serce zabiło mu żywiej, jak zawsze, gdy zdarzało mu się romansować.

- Bardzo chciałbym poznać własną przyszłość, jeśli wystarczy ci sześć pensów - odparł uprzejmie, zsiadł z konia i podszedł do dziewczyny.

- Dobrze, może być szóstak. Podejdz bliżej. - Uśmiechnęła się i wsunęła kruczy lok za małe delikatne uszko.

Edelston postąpił dwa kroki w jej kierunku, a gdy był już tak blisko, że mógł dostrzec kosmyk falistych włosów na policzku i drobne piegi wokół ust, wyciągnął ku niej dłonie. Jakiś szelest za drzewem zwrócił jego uwagę. Wiewiórka, pomyślał, lecz w tym momencie zastygł bez ruchu, spoglądając w osłupieniu na groźne, śniade twarze dwóch mężczyzn, którzy się stamtąd ukazali, najwyraźniej w złych zamiarach. Jeden z nich unióśł wysoko ramię.

Była to ostatnia rzecz, jaką zapamiętał.

Odzyskał przytomność jakąś godzinę później, okradziony ze wszystkiego prócz koszuli i spodni. W głowie i całym ciele pulsował mu ból. Kiedy znow otworzył oczy, ujrzał nad sobą dwie smagłe twarze, ale nie byli to mężczyźni, którzy wcześniej powalili go na ziemię. Ci mieli miny łagodne i zatroskane, a z ich ust wydobywał się dziwny szwargot. Pomyślał ze zgrozą, że widocznie postradał zmysły, po chwili jednak zdołał w ich mowie rozróżnić jedno słowo, które brzmiało jak „Leonora”. Może należałoby się jakoś z nimi dogadać, pomyślał z ogromnym wysiłkiem, ale gdy usiłowali go podnieść, przytomność opuściła go po raz wtóry.

Dotykały go chłodne, wprawne ręce, potem podano mu coś do picia i położono na głowie zimny okład, za co był doprawdy bardzo wdzięczny. Odpowiadał „tak” lub „nie” na pytanie „czy tu boli”, zadawane mu przez kobietę o śniadej cerze, która ze znanstwem badała różne miejsca pod jego żebrami i na ramionach. Za nią majaczyła niewyraźnie postać rudowłosej dziewczyny o oczach Rebeki. Widział, jak jej oczy rozszerzają się w zdumieniu. Dziewczyna, rozpoznawszy go, cofnęła się gwałtownie. Poczł, że ciemniej mu w oczach.

- Ja... ja przyjechałem, żeby... cię odzyskać - powiedział najbardziej uprzejmym tonem, na jaki mógł się zdobyć. A potem znow zaszumiało mu w uszach.

Leonora krzątała się koło chorego, a Rebeka jedynie stała i patrzyła na niego z niedowierzaniem.

Dobry Boże! Nawet jej w głowie nie powstało, że mogłaby się jeszcze kiedykolwiek zetknąć z Edelstonem, w dodatku na wólnym, bezwładnym i bezbronnym niczym ryba wyrzucona na piasek. Jego pojawienie się nie wróżyło nic dobrego.

- Zeby mnie odzyskać? - powtórzyła machinalnie.

- Ehm... właśnie. Odzyskać - przytaknęła słabym głosem.

- Skąd pan wiedział - mówiła tak powoli, jakby zwracała się do trzyletniego dziecka - gdzie mnie szukać?

Edelston otworzył usta i zamknął je, a potem jeszcze raz to zrobił, jakby nie mógł się zdecydować, co powiedzieć. Dzięki temu jeszcze bardziej przypominał rybę wyjętą z wody.

- Przywiodła mnie tu miłość. Poszedłbym za tobą nawet na kraniec...

- Niech pan sobie w takim razie idzie.

Na przystojnej twarzy Edelstona pojawił się wyraz rozgoryczenia.

- A więc?... - rzekła krótko.

- Ale jak? Przecież jestem ranny.

Rebeka spojrzała na jego blade ciało, skądinąd całkiem foremne, choć pierś miała bezwłosą jak u chłopca, a smukłe ramiona, niemal pozbawione muskulatury, pokrywały teraz wielobarwne siniaki. Edelston po prostu nie był Connorem i to stanowiło jego największą wadę.

- Nie miał pan pistoletu? - spytała z irytacją.

- Miałem... - bąknął zaskoczony.

- Więc czemu nie zrobił pan z niego użytku? Czy chociaż próbował pan walczyć?

Edelston obruszył się, z jego ust wydobył się tylko słaby jęk.

- Wrócę za chwilę - powiedziała do Rebeki Leonora. - Chciałabym, żeby Raphael przyjrzał się naszemu... gościowi. - I wymknęła się z namiotu.

- Gdzie jest Connor? - spytała nagle Rebeka.

- Connor? A skąd miałbym wiedzieć? - usiłował się wyłgać Edelston.

- Któż inny - syknęła Rebeka przez zaciśnięte zęby - mógł panu powiedzieć, gdzie mnie szukać?

Edelston westchnął donośnie.

- Och, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć, to właśnie on mnie tu wysłał.

- Czy pan oszalał?

- Czy wyglądam na szaleńca, Rebeko? Więc dobrze, powiem ci: Connor, stajenny twego ojca, który tak skutecznie pomógł ci w ucieczce, to nikt inny, tylko sam książę Dunbrooke. Może już o tym wiesz? - dodał, udając zatroskanego.

- Książę... Dunbrooke?

- Och, jak najbardziej. Podobno stracił pamięć na wojnie, a niedawno ją odzyskał i powrócił do Londynu. Przed końcem lata poślubi wdowę po swoim bracie, bardzo piękną kobietę. Właśnie dlatego przybyłem po ciebie, Rebeko, żeby ratować cię przed utratą reputacji. Chyba należy mi się za to odrobina wdzięczności. Książę - czyli Connor, jak go nazywałeś - zobowiązał mnie do milczenia, powiedział, gdzie mam cię znaleźć, i życzył mi szczęścia w małżeństwie. Zmienił swoje zamiary co do ciebie, bo teraz może się ożenić tylko z córką kogoś, kto ma przynajmniej tytuł szlachecki.

Rebeka cofnęła się tak gwałtownie, jakby Edelston ją spoliczkował.

- Książę... Dunbrooke... - Wszystko zaczęło teraz nabierać sensu, lecz jakże odrażającego.

- Owszem, kiedy opuszczałem Londyn, nikt o niczym innym nie mówił. Naprawdę nazywa się Roarke Blackburn. Wiedziałaś o tym?

- Roarke Blackburn... medalion... w medalionie była dedykacja... - Poczula, jakby lodowata dłoń raptownie ścisnęła jej serce. Patrzyła na Edelstona ze wzrastającym zdumieniem.

- Tak. Przeklęty medalion - zgodził się z nią. - Wolałbym go nigdy nie widzieć.

- Kim jest Hutchins? - spytała. Targnęło nią nagłe podejrzenie.

- Sługa księżnej? - Edelstona zaskoczyło jej pytanie.

- Księżna... Jej Wysokość... - wyszeptała, przypominając sobie coś.

Jej Wysokość nasłuchiwała na nich zbirów. Przypomniała sobie też, jaki wyraz twarzy miał Connor i jak nagle cały zeszytywniał, gdy otworzył medalion. „Brunet cię zdradzi...”

- Marianne Bell... - wykrztusiła Rebeka. - Czy księżna jest może... tą kobietą z medalionu?

Milczenie Edelstona mówiło samo za siebie. Potwierdzało wszystkie jej podejrzenia.

Powinna była zadać Connorowi ważne pytania. Nie zrobiła tego, bo czuła, że odpowiedź zniszczy jej szczęście. Teraz widziała, że było tylko złudzeniem. Jednak uczucie do Connora tkwiło w niej głęboko, jakby bez niego nie mogła żyć. Czy naprawdę zamierzał wykreślić ją z pamięci? Nim ją poprosił o rękę, mówił przecież, że jest teraz tak szczęśliwy, jak nigdy dotąd.

Może istotnie stracił pamięć i odzyskał ją dopiero niedawno, tylko po to, by się przekonać, jak bardzo ciąży mu Rebeka.

A może uznał, że łatwiej poddać się, niż walczyć? Może doszedł do wniosku, że mądrzej pozbyć się Rebeki, niż podjąć walkę o nowe życie?

Jednak nie mogła w to uwierzyć.

- To była ona! - wybuchnęła nagle, zrywając się z miejsca. Edelston się skrzywił.

Najwyraźniej każdy gwałtowny ruch Rebeki sprawiał mu przykrość.

- Księżna! To księżna wynajęła opryszków, żeby nas ścigali! Chciała mieć Connora tylko dla siebie!

- Nawet jeśli tak postąpiła - odparł Edelston, choć wydawało mu się to absurdalne - Connor się tym pewnie zanadto nie przejmie. Widzisz, ona jest teraz księżną, a on najwyraźniej chce ją poślubić. Pewnie bardzo się cieszy, że znowu może być księciem.

- Czy on... mówił coś jeszcze o mnie? - Była wściekła na siebie za to, że zadaje mu takie pytanie, ale może miałyby jeszcze jakąś szansę na...

Edelston ze smutkiem pokręcił głową.

- A mój ojciec? Przecież on z pewnością spytałby Con... to znaczy księcia... gdzie ja...

- Twoich rodziców tak pochłonęły starania, by wydać Lorelei za jakiegoś utytułowanego dżentelmena jeszcze w tym sezonie, że postanowili powierzyć księżnej zadanie odszukania ciebie. Okazali w ten sposób wiele troski - odparł bez śladu ironii. - Uważają zresztą, jak mi się zdaje, że księżę... czyli Connor... nie miał nic wspólnego z twoim zniknięciem. Wszystko to jednak nie będzie miało znaczenia, skoro mamy się pobrać, co powinniśmy zrobić bezzwłocznie. Jeśli się spakujesz, możemy wyruszyć do Gretna Green jutro rano.

Rebeka wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Może... może spodoba ci się małżeństwo ze mną - powiedział Edelston, siląc się na serdeczność.

Wybrał, niestety, najgorsze rozwiązanie. Na twarzy Rebeki pojawił się wyraz wstrętu.

Leonora weszła spiesznie do namiotu, Raphael tuż za nią.

- Jestem Raphael Heron - przedstawił się, podchodząc do posłania.

- Ach, tak? - spytał ni w pięć, ni w dziewięć Edelston. Raphael wydawał się zaskoczony takim początkiem rozmowy.

- Och, jestem lord Anthony Edelston, pechowy narzeczony Rebeki. - Edelston przypomniał sobie wreszcie o dobrych manierach. - Przyjechałem, żeby... żeby odzyskać... - Tu urwał, jakby zdumiała go absurdalność własnych słów.

W tej chwili do namiotu zajrzała Marta.

- On mówi, że Connor jest księciem Dunbrooke! - zwróciła się Rebeka do Raphaela.

- A po cóż pan to powiedział? - odezwał się Raphael po dłuższym milczeniu i, za co należałoby mu się pochwała, włożył w te słowa sporą dozę pogardy.

- Och, po prostu dlatego, że to prawda - odparł zirytowany Edelston. - Najprawdziwsza prawda.

Zrezygnowany Raphael napotkał oskarżycielskie spojrzenie Rebeki.

- Tak, to prawda, a ty ją znałeś - stwierdziła powoli. Raphael spojrzał błagalnie na Leonorę, która tylko pokręciła głową. Z jej strony nie mógł spodziewać się wsparcia.

Z tyłu za nią, u wejścia do namiotu, Marta zrobiła to samo, tylko że błysk radości w bursztynowych oczach nie pozwalał uwierzyć w jej smutek. Rebeka ruszyła ku niej z tak gniewną miną, że Marta uciekła z piskiem.

- Lepiej sama pogadaj z Connorem, gadzio - przemówiła Leonora łagodnie. - My już nic więcej nie możemy ci powiedzieć.

- Lord Edelston stwierdził, że Connor już do mnie nie wróci.

- Jej głos zdawał się dochodzić do Rebeki gdzieś z daleka, zagłuszany szumem w uszach.

- I że się ożeni z wdową po bracie, a ja mam wyjść za lorda z jego błogosławieństwem. - Z trudem mogła uwierzyć, że sama mówi coś podobnego. Każde słowo sprawiało jej wręcz fizyczny ból.

- Bzdura! - oznajmił stanowczo Raphael.

Rebeka dostrzegła spojrzenie, jakie zamienił z Leonorą. Słowa Raphaela tchnęły pewnością, choć on sam jej nie miał. Wyprostowała się gwałtownie.

- On wróci. Na pewno wróci - dodała, przeklinając siebie w duchu za to, że głos jej drży, a słowa brzmią naiwnie.

Niemal dotykalne współczucie Raphaela i Leonory ciążyło jej nieznośnie. Przez dłuższą chwilę w namiocie panowało pełne zakłopotania milczenie.

- Myślę, że powinnam teraz zostawić lorda Edelstona samego, żeby mógł odpocząć - powiedziała wreszcie zduszonym głosem.

- Przepraszam, chciałabym stąd wyjść.

Raphael z Leonorą odstąpili na bok, przepuszczając ją. Wolą nie patrzeć im w oczy, wiedząc, że nie dojrzy tam nic prócz litości.

Spytała go, czy miał pistolet! O Boże, cóż to za kobieta! Edelston spodziewał się, że odnajdzie w sobie niebiańską radość, która pomoże mu znieść fizyczne cierpienia. Tak długo przecież czekał, by znów ujrzeć Rebekę.

Niczego w tym rodzaju jednak nie czuł.

Przecież bez przerwy o niej myślał, chociaż raz poszedł do łóżka z Cordelia. Wielkie nieba, jakież zdumiewające odgłosy potrafiła z siebie wydawać w chwili uniesienia... I jeszcze ta cygańska dziewczyna! To przez nią nęka go teraz ten potworny ból głowy...

Cóż, częściowo sam chyba zawinił...

Zaraz, zaraz, coś jednak czuł: upokorzenie.

Rebeka ujrzała go bezwładnego i na wpół nagiego. Mógł sobie bez trudu wyobrazić, co na ten widok poczuła. Znalazł się na jej łasce, zbity na kwaśne jabłko. Ona zaś najwyraźniej dobrze się czuła wśród Cyganów. W dodatku kochała stajennego, który okazał się księciem, i nie okazała ani krztyny radości na widok Edelstona. Czy ona naprawdę go kocha? Cordelia pytała go o to w dniu jej ucieczki. Cordelia próbowała go ostrzec!

Edelston przypomniał sobie wyraz twarzy Rebeki, z jakim wysłuchiwała wszystkich jego kłamstw, a słabnące współczucie dla niej coraz wyraźniej ustępowało miejsca gorzkiemu uzalaniu się nad sobą. W końcu do wyboru miał tylko małżeństwo z nią lub więzienie za długi.

Stała mu się obca. Nie kochał jej już, a ona z pewnością nie darzyła go uczuciem. Edelston zrozumiał wreszcie, że znalazł się na samym dnie.

22

Król nie zmienił się zbyt wiele, odkąd Connor widział go po raz ostatni, tylko mocno przytył. Jerzy IV miał ochotę spędzić ten wieczór wraz ze swoją podstarzałą kochanką, nie był jednak zachwycony tym, że wpatrywała się w przystojnego księcia, i dołożył starań, żeby obiad trwał jak najkrócej. Mimo to wciąż napomyskał, by Connor - jak miał nadzieję - głosował w parlamencie na jego rzecz, chociaż ani jego ojciec, ani brat tego nie robili... Connor odpowiadał uprzejmie, lecz wymijająco, a w duchu myślał: Ani mi się śni!

Widział na horyzoncie tereny targu, lecz barwne namioty i flagi poznikały stamtąd, schowane do przyszłego roku. Serce zabiło mu mocniej. Wkrótce znów ujrzy Rebeke! - Przed obiadem u króla spędził cały ranek na sprawdzaniu wraz z Greenem stanu finansów Dunbrooke'ow. Jeśli Green przypominał sobie jego przelotną wizytę w kantorze, to miał na tyle sprytu czy może taktu, by o niej nie wspominać. Na wyraźne życzenie Connora miał zawiesić spłatę czynszów dzierżawcom z Keighley Park i wysłać tam specjalistów od budownictwa, kształtowania pejzażu oraz uprawy roli, by sporządzili dokładny raport o stanie siedziby i otaczających ją gruntów. A ponieważ zbiory zbóż były w ostatnich latach zbyt obfite, by uzyskać za nie wysokie ceny, Connor pragnął, by dzierżawcy postarali się o inne źródła dochodów.

Poproszono też Westona o zaangażowanie dwóch pracowni krawieckich z Bond Street, które miały mu uszyć dwa nowe komplety odzienia - koszul, spodni, kamizelek i reszty. Dzięki pułkownikowi Cordelia znajdowała się pod dyskretną strażą w londyńskiej siedzibie Dunbrooke'ow. Agenci z Bow Street rozgościli się tam, stąpając w swoich wielkich buciorach po eleganckich posadzkach, pili herbatę w filiżankach z wytwornej porcelany i z zawodowego nawyku śledzili kosym wzrokiem Cordelię. Hutchins, który zawsze się koło niej kręcił, zniknął bez śladu.

Jeśli zaś chodzi o Tremaine'ow, udało mu się całkiem gładko wyłgać z całej sprawy. Zamierzał zwrócić im Rebeke, gdy tylko powróci z nią do Londynu.

Ogólnie rzecz biorąc, od wczoraj zaczynał nabierać przekonania, że życie księcia może być nadzwyczaj przyjemne.

Zdał sobie sprawę, że ze swoją inteligencją i środkami finansowymi może zrobić wiele dobrego. Gdy będzie miał przy sobie Rebeke i uwolni się wreszcie od ciężącego ojcowskiego widma, jego uprzywilejowana pozycja syna pierworodnego zacznie - choć za nic by się do tego nie przyznał - coraz bardziej przypominać wolność, a nie pułapkę. Może uda mu się podnieść z upadku dziedzictwo Dunbrooke'ow? Teraz dzięki Rebecce wszystko wydawało mu się możliwe. Nie mógł się doczekać początku nowego życia. Przynaglił konia do szybszego biegu.

Gdy Leonora zwijała koce, Rebeka klęczała przed skrzynką i starannie układała w niej butelki z nalewkami na podściółce ze słomy i muślinu, mającej uchronić je przed stłuczeniem podczas jazdy po wyboistych drogach.

- Co poczniecie z lordem Edelstonem? - spytała Leonorę. Edelstona umieszczono w osobnym małym namiocie. Cyganie szybko zrozumieli, że poza narzekaniem nic im z jego strony nie grozi.

- Sądzę, że co najmniej jeszcze przez kilka dni będzie musiał jechać razem z nami. Nie mógłby jeszcze podróżować sam. Raphael postanowił, że powinien nas jakoś wynagrodzić za opiekę. A potem, jeżeli będzie... - Leonora urwała, szukając odpowiedniego angielskiego słowa.

- Dziecinny? Niemiły? Śmieszny? - próbowała jej podsunąć.

- ...jeśli zgodzi się... żeby z nami współpracować, to Raphael może mu dać starego konia, żeby mógł wrócić do Londynu, albo też trochę pieniędzy na powóz.

Rebeka przerwała na chwilę swoją robotę. Perspektywa ujrzenia, jak Edelston zarabia na swoje utrzymanie, była niezwykle interesująca.

Gdy skończyła pakowanie nalewek, zaczęła nerwowo rozglądać się za jakąś inną robotą. Krótko i nie najlepiej spała tej nocy, nękana przykrymi snami. Nawet złośliwość Marty przestała ją obchodzić. Jak na ironię, młoda Cyganka wywróżyła jej prawdę. Opuszczali już koński targ pod Cambridge, a Connora nadal nie było widać.

- Proszę, zanieś to do wozu - powiedziała Leonora, czując, że Rebeke trzeba jakiegoś zająć, i wskazała na zrolowane koce. Rebeka wzięła je więc i uniosła płótno namiotu, żeby wyjść na zewnątrz.

W obozowisku Cyganów panował wesoły gwar. Mężczyźni ładowali na wozy namioty, skrzynie i pomagali wdrapywać się tam dzieciom, które miały siedzieć przy matkach. Rebeka odnalazła wóz Leonory i zamierzała właśnie załadować koce, gdy tętent galopującego konia kazał się jej odwrócić.

Wpatrywała się w przestrzeń, póki nie dojrzała, że w chmurze pyłu do obozowiska zbliża się samotny jeździec. Cyganie natychmiast przerwali swoje zajęcia i śledzili go, osłaniając oczy przed blaskiem popołudniowego słońca. Galop oznaczał, że komuś bardzo się spieszy, a tymczasem nic nie wskazywało, by o tej porze dnia ktoś miał powód do pośpiechu.

Rebeka wiedziała, kto nadjeżdża. Dzięki rudym włosom wśród Cyganów widoczna była z daleka, stała bez ruchu i czekała.

Connor osadził konia tuż przed nią i zeskoczył na ziemię. Był tak znużony długą jazdą, że chwiało się na nogach. Dyszał ciężko, spływał potem i cały był pokryty grubą warstwą kurzu. Uniósł dłoń, by odgarnąć włosy z czoła, ale kosmyki były sztywne od pyłu.

Spojrzała na przesiąkniętą potem koszulę z pięknego lnu, zupełnie niepodobną do poprzedniej, brudnej i niezdarnej przez Rebekę pozszywanej. Była szyta na miarę. Uszyto ją dla księcia.

- Och Boże, Rebeko - powiedział radośnie, chociaż głos miał schrypnięty z wysiłku - już myślałem, że nie zdołam tu dotrzeć, ale udało mi się!

W odpowiedzi usłyszał jedynie lodowate „dzień dobry”, co go trochę zaniepokoiło, lecz zaraz poweselał, sądząc, że to żart.

- Dzień dobry, panno Tremaine - odparł i złożył jej ukłon, parodiując ceremonialne dworskie powitanie.

Rebeka patrzyła na niego bez słowa, z kamiennym wyrazem twarzy.

Connor się zdumiał. Odchrząknął nerwowo i wyciągnął do niej rękę.

- Mam ci tyle do powiedzenia...

Rebeka cofnęła się i dłoń Connora zawisła w powietrzu.

- Jaka piękna koszula, Wasza Wysokość - powiedziała z lekką pogardą.

Wreszcie powoli zaczęło do niego docierać, o co tu chodzi.

- Na imię masz Roarke, prawda? Czy tak cię nazywała, kiedy... leżałeś z nią w łóżku?

- O czym mówisz, Rebeko?

Nie mogła się już powstrzymać, więc wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Gdzie jest teraz księżna, Wasza Wysokość? Może mierzy suknię ślubną? Zdążył pan w samą porę na mój ślub, Wasza Wysokość. Edelston przybył tu wczorajszego wieczoru z wiadomością o pańskich zaślubinach...

- O moich zaślubinach?! On kłamie! On jest...

- ...z kochanką Waszej Wysokości, Marianne Bell. Cóż więc innego mogłam zrobić ja, dziewczyna ze zrujnowaną reputacją, jak pójść do jego łóżka?

Celowo kłamała, żeby go zranić, a sądząc po wyrazie jego twarzy, zamiar się powiódł.

- Rebeko, nie wiem, co ci naopowiadał... nie miał prawa... chyba go zabiję!

- Nie miał prawa? I ty ośmielasz się mówić o prawie? Okłamałeś mnie, Connorze! A może powinnam mówić do ciebie „Roarke”? I skąd mogę mieć pewność, że teraz mówisz prawdę? A czy kiedykolwiek mówiłeś prawdę? - Pokręciła ze zdumieniem głową, jakby trudno jej było w to uwierzyć. - Może to mnie należy winić, skoro tak łatwo dałam się oszukać? Jaka byłam głupia! Wierzyłabym ci, nawet gdybyś mi powiedział, że to dzięki tobie słońce wschodzi każdego dnia! Nosłam medalion z jej wizerunkiem na mojej szyi. A ty o wszystkim wiedziałeś. Czy chciałeś się naigrawać z mojej miłości, bo cię to bawiło?

- Nie tyle kłamałem, Rebeko, ile... zataiłem część prawdy.

- Bawiło cię to?

Connor nerwowo przejechał ręką po włosach. Rebeka poczuła, nie bez pewnej satysfakcji, że zadała mu cios, którego się nie spodziewał.

- Próbowałem ci to powiedzieć tamtego dnia nad rzeką. Pomiąłem nazwiska, miejsca i daty, lecz usiłowałem dać ci w jakiś sposób do zrozumienia, co porzuciłem. Mówiłem jednak tylko tyle, ile było konieczne. Nic by to nie znaczyło i nic by się nigdy nie zdarzyło, gdybyśmy tylko mogli popłynąć do Ameryki. Zresztą ty nie pytałaś mnie o nic więcej. Powiedziałaś, że liczy się tylko to, abyśmy byli razem.

- A ja sądzę, że przemilczałeś te nazwiska, miejsca i daty bo dobrze wiedziałeś, że one się liczą. Domyśliłeś się, zresztą całkiem słusznie, że jestem zbyt naiwna, żeby cię wypytywać o coś jeszcze. Zrobiłeś tak z tchórzostwa.

Zesztywniał cały i spojrzał na nią tak, że odruchowo cofnęła się o krok.

- Rebeko, jesteś jeszcze dzieckiem - zaczął. Ubodło ją to do żywego. Poczowała, że krew napływa jej do twarzy. Connor uśmiechnął się ironicznie. - O tak, pod wieloma względami jesteś jeszcze dzieckiem. Czy potrafisz zrozumieć, ile dla ciebie ryzykowałem? Rzuciłem spokojne życie, żeby się ponownie zmierzyć z tym dawnym, jakiego nigdy nie pragnąłem. A zrobiłem to dla ciebie. To dla ciebie musiałem stać się bohaterem, ja, stajenny twojego ojca! A teraz jesteś rozczarowana, bo rozumiałaś, że jestem tylko mężczyzną. Nie bogiem, nie herosem, tylko mężczyzną. Nie zawsze postępowałem szlachetnie i uczciwie, nie zawsze też wiedziałem, co jest uczciwe. Żyłem pełnią życia, Rebeko. Tak, miałem kochankę Marianne Bell. Owszem, była bardzo piękna i sypiałem z nią, bo to się właśnie robi z kochankami. Nigdy jej jednak nie kochałem. Czy tego chciałaś się dowiedzieć? Czy to ci wystarczy? Czy mam ci też przypomnieć, skąd się właściwie wziął ten medalion na samym początku naszej podróży? - Ja go...

- Byłem na wojnie, Rebeko, widziałem, jak ludzie umierają koło mnie w straszny sposób. Zabijałem innych ludzi, nie wiedząc nawet, kim są. Nic mnie jednak bardziej nie przerażało od myśli, że jeśli poznasz całą prawdę, mogę cię utracić. Nigdy nie zaznałem miłości, nie miałem się więc do czego odwołać, i zrobiłem to, co przyszło mi najłatwiej: po prostu przemilczałem moją przeszłość, uznając, że tak będzie najlepiej, bo nie chciałem ani tej przeszłości, ani mego dziedzictwa. Może podjąłem niewłaściwą decyzję, może powinienem był uwierzyć, że okażesz mi zrozumienie. Ty przecież żyłaś zupełnie innym życiem niż ja i nigdy nie musiałaś dokonywać podobnych wyborów. Nie masz prawa nazywać mnie tchórzem. Nigdy więcej tak mnie nie nazywaj! Obydwoje stali naprzeciw siebie w milczeniu, pełni gniewu.

Rebeka odezwała się pierwsza, głosem wprawdzie stłumionym, ale nie drżącym, z czego była dumna.

- Myślałam, że byłeś najlepiej mi znanym człowiekiem ze wszystkich. Zaufałam ci i... i dlatego właśnie ci się oddałam. - Zająknęła się, bo niełatwo jej to było powiedzieć, i zapewne dlatego oblała się rumieńcem. - Zaufałam ci, ale ty wolałeś zachować swoje sekrety. Zachowałeś się wobec mnie tak, jak zawsze robili inni - ojciec, matka, Edelston. Uznałeś, że uwierzę we wszystko, co mi się powie, po prostu dlatego, że mówiłeś to ty. Nie dałeś mi wyboru. Zostawiłeś mnie tutaj. Musiałam na ciebie czekać, bo nie miałam wyboru. To... to po prostu niewola.

- Doprawdy? Niewola? Czyżby pomaganie Leonorze jest czymś jeszcze gorszym niż gra na fortepianie?

Rebeka milczała.

- Rebeko, proszę, wysłuchaj mnie! Marianne jest dla mnie niczym. Przecież próbowała mnie zabić! Edelston cię okłamał, mając na względzie własne korzyści. Nie mogę ci teraz powiedzieć wszystkiego, bo trwałoby to zbyt długo, ale obiecuję, że zrobię to później. Tylko jedź ze mną.

Łzy zakręciły się jej w oczach.

- Chyba wszyscy mnie okłamywali, mając na względzie własne korzyści. Nigdzie nie pojedę z tobą.

Connor zbladł.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zostaję tutaj. Nie mogę wrócić do moich bliskich ze zszarganą reputacją. Tu przynajmniej jest ze mnie jakiś pożytek, bo uczę się leczyć. A prócz tego tu nikt nie udaje kogoś innego.

Trafiła w czułe jego miejsce, tak jak przewidywał.

- Rozumiem. A co z Edelstonem?

- Odjedzie stąd za kilka dni.

- Wróc ze mną, Rebeko. Nie pożałujesz.

- Nie.

- Rebeko...

- Jak mogłabym zaufać ci jeszcze raz? To przecież proste: mogę jedynie zostać tutaj.

- Nie będę cię zmuszał. - Było to ostrzeżenie.

- Wiem.

- I ja też mogę zostać u Cyganów.

- Wolno ci to zrobić, choć wolałabym, żeby się tak nie stało. Connor zamilkł na chwilę.

- A co będzie z twoimi rodzicami, Rebeko?

- Zostanę u Cyganów, póki się tu nie zjawią, jeśli im powiesz, gdzie mnie szukać.

Milczeli przez długą chwilę.

- Przecież cię kocham - rzekł wreszcie Connor cicho. Odwróciła się od niego bez słowa.

- A więc mam stąd odjechać sam? Skinęła głową.

- Jesteś pewna, że nie przemawia przez ciebie wyłącznie duma? - spytał z goryczą.

- Jedź już.

Nie chciała na niego spojrzeć. Connor chwycił za wodze.

- Co... co teraz zrobisz? - spytała z wahaniem.

- Nieważne.

A ponieważ nic więcej nie mówiła, złożył jej krótki ukłon i odprowadził konia na bok.

Rebeka w dziwnym odrętwieniu patrzyła, jak Connor podchodzi do Raphaela i zamienia z nim kilka słów. A potem nie widziała już nic. Usłyszała jedynie po pewnym czasie galop konia oddalającego się od obozu.

Gdy wróciła do namiotu, zastała tam Martę, która spojrzała na nią z miną wyrażającą jawnie dziką zazdrość, i Leonorę, która wyczytała całą prawdę z jej twarzy.

- Możesz u nas zostać, rzecz jasna - powiedziała do Rebeki łagodnie - bo jesteś

przydatna. Coś ci jednak powiem: czasem najmądrzej i najodważniej jest pójść za głosem serca i wybaczyć coś, co wydawało się niewybaczalne.

Rebeka nic jej nie odpowiedziała. Patrzyła przed siebie. Koń i jeździec zniknęli już na horyzoncie.

23

Nie! - powtórzyła lady Tremaine bliska ataku hysterii. - Nie, nie, nie, nie! - Każde kolejne „nie” wymawiała coraz wyższym tonem, tak że zakończyło je tremolo, co - jak sir Henry musiał przyznać - było imponującym osiągnięciem.

Pozostał jednak niewzruszony, ponieważ sobie postanowił, że przynajmniej raz nie da się zmusić do zmiany zdania. Ani łzami, ani histerią, ani lodowatym milczeniem.

Przynajmniej raz zamierzał przetrwać strategię żony, pragnącej wymusić na nim zmianę

decyzji, podobnie jak ktoś postanawia przeczekać niepogodę. Chociaż przypuszczał, że potem trudno mu będzie przez jakiś czas wytrzymać w domu, znajdował dziwną przyjemność na samą myśl o sprzeczności. Być może pragnienie buntu narastało w nim już od dłuższego czasu.

Zza zamkniętych drzwi sypialni na piętrze dochodził stłumiony szloch Lorelei. Matka obeszła się z nią dość bezwzględnie, ponieważ córka zataiła zaloty kogoś, kto nie był wicehrabią.

- Ona mogłaby zostać hrabiną, Henry! Mogłaby wyjść za hrabiego! Odniosła największy sukces towarzyski, jaki widziano od wielu lat! Co ty sobie, na miłość boską, wyobrażasz? Lorelei teraz nie zasługuje na twoje ojcowskie błogosławieństwo, tylko na porządne lanie!

- Dobrze już, dobrze, Elizabeth - odparł sir Henry łagodnie, ale stanowczo. - Dosyć tego. Usiądź, proszę, i nie przerywaj mi.

Lady Tremaine spojrzała na niego zaskoczona. Zbliżała się właśnie faza rozmowy, w której mąż zazwyczaj kapitulował.

- Henry...

- Usiądź, Elizabeth. Usłuchała go, chociaż niechętnie.

- Uważam - zaczął powoli - że umknęło nam coś niezwykle ważnego. Zgodzisz się chyba ze mną, że naszym celem jako rodziców powinno być dobre zamążpójście córek. Jeśli zdołalibyśmy każdej zapewnić odpowiednie małżeństwo i przekonać się, że są w tych związkach szczęśliwe, moglibyśmy się cieszyć w dwójnasób, prawda?

- Nie rozumiem, w jaki sposób to...

- Gdyby Lorelei uznała, że będzie szczęśliwa w związku z... z jakimś nicponiem niskiego pochodzenia, z pewnością bym się temu sprzeciwił. Lecz ona zakochała się w bardzo zamożnym dżentelmenie, którego niezwykle cenię, szlachetnym człowieku, który będzie ją dobrze traktował i przyniesie zaszczyt naszej rodzinie, a o jej rękę poprosił w niezwykle stosowny i dystyngowany sposób. Jestem zupełnie pewien, że będzie z nim szczęśliwsza niż z jakimś hrabią czy wicehrabią i dlatego właśnie postanowiłem dać moje przyzwolenie na ten związek. Nie ścierpię też żadnych sprzeciwów.

Lady Tremaine wpatrywała się w niego bez słowa, z lekko rozchylonymi ustami.

- Elizabeth, straciliśmy już jedną córkę. Czyżbyś o tym zapomniała? Myślę, że popełniliśmy błąd, upierając się przy jej małżeństwie z lordem Edelstonem. Być może Rebeka byłaby szczęśliwsza jako szanowana stara panna myszkująca po mojej bibliotece albo jako nauczycielka. Powtarzam raz jeszcze, że wołałbym wcale nie wiedzieć, gdzie ona jest teraz! Doszedłem do wniosku, że jako rodzice zawiedliśmy ją. Zapamiętaj moje słowa: nie chcę, aby druga z moich córek zawierała wymuszone małżeństwo, zwłaszcza że Lorelei potrafiła dokonać tak dobrego wyboru.

Lady Tremaine, całkowicie oszołomiona uporem małżonka, była bliska płaczu.

- Elizabeth - rzekł sir Henry nieco łagodniejszym tonem - dokonałaś wielkiej rzeczy, wychowując dwie wspaniałe, powtarzam, wspaniałe córki! Możesz być dumna z Lorelei. Jej wielka uroda w całkiem zrozumiały sposób podsyca twoje ambicje, podobnie zresztą czuje każda oddana matka. Lorelei jednak w wyborze męża okazała też rozum i właśnie dlatego uważam, że spotkało nas wielkie szczęście.

- Och, Henry - odparła już nieco potulniej lady Tremaine, głosem nabrzmiałym łzami - masz zupełną rację co do Lorelei. A co do Rebeki zapewne tak samo!

Sir Henry poczuł niewiarygodną wprost ulgę.

- Cieszę się, że tak myślisz, Elizabeth.
- Ale przecież nasza Lorelei miała szansę wyjścia za wicehrabiego!
- Może i tak, lecz zamiast tego poślubi pułkownika i powinniśmy się z tego jeszcze bardziej cieszyć. I, jak mi się zdaje, bardzo ją ucieszy zmiana twojego stanowiska. Idź do niej zaraz.

Lady Tremaine delikatnie otarła oczy chusteczką, skinęła głową i ruszyła pospiesznie ku schodom. Teraz nawet stąpała jakby pogodniej, z nutką zgryźliwości pomyślał sir Henry. Nic nie mogło bardziej ucieszyć jego żony niż perspektywa weselnych wydatków!

- Słuchaj, Elizabeth... - odezwał się nagle. Lady Tremaine zamarła na schodach.
- Och, słucham?
- Może poprosilibyśmy księcia Dunbrooke o pomoc w odszukaniu Rebeki? Wyraźnie ją przecież lubił, kiedy był u mnie stajennym.
- Doprawdy, Henry, cóż za świetny pomysł przyszedł ci do głowy! - odparła uradowana.

Koń, którego pożyczył mu Raphael na podróż do Londynu, był wprawdzie ładny, ale tak niemilosierdzie podrzucił, że Connor omal się nie rozchorował. Zwolnił więc tempo i sięgnął po flaszkę z wodą, żałując, że nie pomyślał o zabraniu ze sobą whisky. Dzięki niej łatwiej poradziłby sobie ze znużeniem.

Keighley Park, należny mu tytuł księcia Dunbrooke, Cordelia, Edelston, Rebeka - wszystko mu zobojętniało. Gdyby mógł popłynąć z Londynu do Ameryki, nie dbałby o nic. Zatraciłby się w dzikich, bezkresnych obszarach tamtego kraju. Tylko coś potężniejszego od niego mogło złagodzić ból, jaki go trawił.

Obejrzał się za siebie. Pokusa, żeby tak zrobić, była zbyt silna, by mógł się jej oprzeć. I o mało nie zmienił się w słup soli.

Na drodze coś się szybko poruszało, lecz o wiele za daleko, by mógł stwierdzić, czy to jeździec, czy też może po prostu pies albo jakiś piechur. Zawrócił konia, stanął i zaczął się przyglądać.

Kiedy wreszcie zyskał całkowitą pewność, nie wyruszył jej naprzeciw. Chciał, aby sama przebyła całą drogę. Zsiadł tylko z wierzchowca i czekał.

A wtedy zeskoczyła na ziemię i puściła się ku niemu pędem, mimo że cała była obolała od galopu. Zamknął ją w mocnym uścisku, podniósł do góry i całował jej włosy, twarz, szyję. Wdychał jej zapach, a ona oparła się o niego całym ciałem, zbyt zmęczona, żeby stanąć prosto.

- Kocham cię, Connor.
 - Ja ciebie także.
 - Przepraszam, że cię zraniłam.
 - To ci się udało. Ale nic więcej nie mów, bo ja też cię muszę przeprosić.
 - Nie chciałam tego wszystkiego. Wcale nie myślę tak, jak mówiłam.
 - Wiem, jednak za moje błędy zasłużyłam na nauczkę.
 - Kochasz mnie?
 - Kocham. I raz jeszcze przepraszam za wszystko. Wiesz chyba, że jesteś dla mnie całym światem.
 - Bądź wreszcie cicho! - zażądała, kładąc mu palec na wargach.
- Ucałował ją z całej siły. Z wdzięczności.
- Gdzie teraz pojedziemy? - spytała, kiedy po pocałunku Connor podniósł głowę.
 - Wszędzie, gdzie tylko chcesz. Do Ameryki. Do Indii. Do

Brighton.

- W takim razie jedźmy we wszystkie te trzy miejsca!

Całował delikatnie jej brwi, najpierw jedną, potem drugą. Przymknęła oczy. Przez dłuższą chwilę stali, obejmując się, jakby chcieli się upewnić, że naprawdę są razem.

- Obawiam się, że będziemy musieli wrócić po Edelstona - powiedziała wreszcie Rebeka.

- Dlaczego?! - zdumiał się Connor i odstąpił gwałtownie w tył.

- Na drodze pobito go i obrabowano. Właśnie dlatego leży teraz u Cyganów. Powoli wraca do zdrowia.

- Dlaczego dał się obrabować i pobić?

- Bez wątpienia dlatego, że jest Edelstonem. Connor westchnął.

24

Na główkę głosił: „Droga cioteczko. Mam nadzieję, że ten list zastanie cię w dobrym zdrowiu i nastroju. Wybacz, że znów ci zakłócam spokojne życie w Szkocji...”
Spokojne! Pomyślała z rozbawieniem lady Montgomery, słuchając, jak panna Honeywell torturuje kolejny utwór na fortepianie.

„Muszę ci jednak donieść, że radykalnie zmieniłem moje plany i postanowiłem, że to ty mnie odwiedzisz, a nie ja ciebie. Nie przyjadę do Szkocji, jak początkowo zamierzałem, natomiast pragnąłbym zaprosić cię na tydzień do Londynu. Jak się zapewne domyślasz, w ciągu kilku tygodni, jakie upłynęły od mojego listu, wiele się zmieniło. Wszystko jednak skończyło się dobrze i zapewniam cię, że teraz jestem najszcześliwszym człowiekiem w całej Anglii. Z niecierpliwością czekam na twoją odpowiedź i opowiem ci o wszystkim, gdy tylko się zobaczymy.

Twój zawsze ci oddany Roarke Edward Connor Riordan Blackburn,
książę Dunbrooke”

Lady Montgomery przez dłuższą chwilę wpatrywała się w zamaszysty podpis na dole arkusika, a potem ostrożnie dotknęła papieru. A więc Roarke zgłosił wreszcie pretensje do tytułu? Skądinąd nie zdobył go przecież bezprawnie! Mimo to nie miała pewności, czy istotnie jest teraz tak szczęśliwy, jak pisze. Był tylko jeden jedyny sposób, żeby się o tym przekonać.

- Panno Honeywell...

Panna Honeywell uniosła dłonie znad klawiatury.

- Słucham, lady Montgomery.

- Bardzo przepraszam, lecz oczekują mnie w Londynie i muszę się zaraz przygotować do podróży. Wznowimy lekcje po moim powrocie.

Panna Honeywell, oniemiała ze zdumienia na samą myśl, że znana jej osoba jedzie do tego wspaniałego miasta, kiwnęła bez słowa głową i potulnie wysunęła się z pokoju.

Któż mógł ją odwiedzić o takiej porze? Był wczesny ranek. Janet Gilhoody przygładziła włosy i podbiegła do drzwi.

- Paczka dla pani - oznajmił jakiś chłopak.

Paczka? Czyżby od siostry z Irlandii? Mało prawdopodobne. Żadna z jej krewnych nie wysłała tak bogato za męża, by jej starczało pieniędzy na nieoczekiwane prezenty.

- Kto cię wysłał, chłopcze? Nie będę ci miała czym zapłacić za fatygę.

- Proszę się nie martwić, wszystko zostało opłacone z góry. Mam też coś pani powtórzyć.

Chłopak cofnął się o krok, odkaszlnął i spojrzał w niebo, jakby tam były wypisane słowa, które miał przekazać.

- Kiedy zajrzysz do środka, będziesz wiedziała, kto ci to przysłał... Janet nieufnie spojrzała na posłańca.

- Lepiej mów zaraz, od kogo paczka, bo ci uszu natrę, jeżeli to jakiś głupi figiel!

- Proszę tylko otworzyć pudełko.

Janet, spoglądając podejrzliwie, położyła pakunek na stole, rozsupłała sznurek, którym był obwiązany, i uniosła wieczko. Pod warstwą papieru leżał elegancki brązowy surdut, a także kamizelka w złote paski.

Wyjęła je drżącymi rękami. Rzeczy Connora Riordana! Surdut miał naddarty kołnierz i, podobnie jak kamizelka, był wyraźnie zniszczony. Co się stało Connorowi?

Kiedy wyciągała z paczki kamizelkę, jakiś ciężki przedmiot głucho stuknął o dno pudła. Zajrzała głębiej do środka. I zobaczyła wielki pakiet pieniędzy. Same funty.

Mnóstwo funtów.

Całe pięćset funtów. Takiej ilości pieniędzy nigdy nie widziała w życiu! Wystarczało na dostatnie życie.

Chłopak patrzył na nią z zaciekawieniem. Janet z bladej zrobiła się czerwona, potem znów zbladła, oczy stały się jak dwa spodki. Stała z otwartymi ustami. Całkiem jakby zgłupiała, pomyślał. Zdecydował, że pora przekazać jej wiadomość.

- Księżę Dunbrooke, którego znałaś jako Connora Riordana, odsyła ci te rzeczy na pamiątkę i najgoręcej dziękuje, i wraz ze swoją żoną Rebeką, złoży ci w stosownym czasie wizytę.

Janet przez dobrą minutę patrzyła na niego bez słowa z rękami pełnymi nieoczekiwanego bogactwa, nim odzyskała mowę.

- A wiedziałam, że żaden z niego Irlandczyk! Chłopak wzruszył ramionami, uklonił się i wyszedł.

Londyn coraz bardziej malał, nikał w oddali.

Pomyślny wiatr dał wesoło w żagle „Proporca”. Elita, Anglia i w ogóle wszystko inne nieubłaganie zostawało w tyle.

Przytrzymując się relingu, obserwował, jak Londyn staje się coraz mniej widoczny.

Pokład kołysał się lekko pod stopami. Skierował wzrok w dół, patrząc, jak statek pruje błękitnozieloną wodę. Kilwater ciągnął się za nim jak pianista smuga. Ślad ten jednak nikał, w miarę jak statek płynął dalej. Edelston czuł rzeźwą wilgoć powietrza, a drobne kropelki osiadały mu na twarzy. Z zaskoczeniem stwierdził, że to całkiem przyjemne wrażenie.

Przeniósł wzrok na dłoń, w której trzymał lśniący, złoty medalion. Z miniaturowej spoglądała nań piękna kobieta. W zamyśleniu musnął kciukiem jej twarz, a potem zatrzaskał wieczko i mocno zacisnął palce, jakby chciał utrwalić w pamięci tę chwilę, w której dotykał klejnociku. A potem zamachnął się i cisnął medalion prosto w morze.

Cacko zawirowało w powietrzu i zalsniło przez moment w blasku słońca, potem wpadło w kilwater i znikło.

- Czy to było konieczne, Tony? - spytała Cordelia. - Cóż za dramatyczny gest!

W duchu cieszyła się jednak, że fale pochłonęły medalion. Gdy przepadł w toni, poczuła się właściwie... wyzwolona. W gruncie rzeczy powinna być wdzięczna Edelstonowi.

Zdawał się czytać w jej myślach.

- Teraz możesz być, kim ci się tylko spodoba. Marianne, Cordelia, królową Elżbietą. Tam nikt o nas nic nie wie. Słyszałem, że Amerykanie to straszni ignoranci.

Uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech. Edelston niekiedy potrafił mówić proste rzeczy w zaskakująco mądry sposób.

Książę Dunbrooke dał każdemu z nich po tysiąc funtów, medalion i opłacił podróż do Ameryki, gdzie mieli radzić sobie sami. Nie mogli jednak nigdy wrócić do Anglii. Tylko pod tym warunkiem otrzymali pieniądze. Książę spłacił wszystkie długi Edelstona. Mając do dyspozycji jedną z największych fortun w kraju, mógł sobie pozwolić na hojność, a jednocześnie pozbyć się na zawsze kłopotliwych osób.

Cordelia czuła dotkliwy wstyd. W bibliotece lady Wakefield spojrzała w oczy jednemu mężczyźnie, którego kiedykolwiek kochała - być może kochała go nadal, chociaż za nic by się do tego nie przyznała nawet przed sobą. Dojrzała w nich jedynie wzdargę.

Wzdargę i nic więcej. Roarke Blackburn, równie przystojny i pełen życia, jak w dniu, kiedy ją rzucił, widział w niej wyłącznie morderczynię, mimo że bezstronnie doceniał jej urodę. Było oczywiste, że nic do niej nie czuje prócz gniewu i wstrętu. Absolutnie nic.

Cordelia, opuszczała Anglię, przepelniona wstydem i zranioną dumą. Na pokładzie „Proporca” zaczęła jednak zastanawiać się, czy istotnie nie lepiej zacząć wszystko od nowa.

Spojrzała na Edelstona, który wystawiał twarz na podmuchy wiatru. Co prawda, łączył ich los, lecz nic sobie nawzajem nie obiecywali. Nie snuli żadnych wspólnych planów. Po prostu stali obok siebie, mieli wspólne sekrety, wspólną przeszłość i wspólną sposobność zostawienia jej za sobą. Cordelia próbowała w tej chwili nie myśleć o przeszłości. Edelston wydawał się szczęśliwy. Prawdę mówiąc, spłata długów może uszczęśliwić każdego.

- A ty, Tony? - spytała. - Teraz będziesz mógł być, kim ci się tylko podoba? Kim chciałbyś się stać?

Z uśmiechem uniósł jej dłoń do ust.

- Kimś, kto nie cierpi na morską chorobę.

Roześmiała się. Edelston, po chwili wahania, objął ją w pasie, a ona nie protestowała, nieco zaskoczona tym, że jego gest ją pocieszył. Oboje w milczeniu żegnali Londyn.

Siedział w gabinecie na piętrze, przeglądając papiery po ojcu, i zastanawiał się właśnie, czy mają wkrótce wyruszyć do Keighley Park, kiedy znowu poczuł, że czegoś bardzo mu brak. Najwyraźniej nie mógł wytrzymać bez żony ani godziny.

Znalazł ją tam, gdzie się spodziewał: zwiniętą w kłębek na wielkim fotelu przy kominku w ojcowskiej bibliotece. Odkryła, dzięki swojej nienasyconej ciekawości, księgozbiór starego księcia i po prostu zatonała w lekturze. Blask ognia tańczył na jej włosach, mieniących się wszystkimi odcieniami złota, brązu i kasztanów. Usiłowała, choć bez entuzjazmu, związywać je wstążką, ale wciąż się spod niej wymykały, przesłaniając twarz i czoło.

Nie zauważyła, że Connor stanął w drzwiach. Nie mógł się na nią napatrzeć. Czasami dopuszczał się zaskakującej ekstrawagancji: wychodził z domu na dłużej, nieraz wybierał się nawet specjalnie do klubu, byle tylko samemu sobie udowodnić, że kiedy tu wróci, ona będzie tu nadal. Ze będzie tu zawsze.

Znalazł się przy Rebecce, nim zdążyła go spostrzec. Drgnęła gwałtownie, przestraszona, potem kiedy na niego spojrzała, jej oczy rozbliły. Jak zawsze, kiedy ją opuszczał

choćby na chwilę. Poczul silne wzruszenie. Miał nadzieję, że zawsze będzie mógł dojrzeć ten blask w jej oczach.

Uklęknął przy fotelu.

- Czy to dobra książka?

- Wspaniała. Ma znakomite tablice, na których jest pokazane, jak najlepiej leczyć rany głowy. Chciałbyś zobaczyć?

- Dziękuję, nie!

Rebeka roześmiała się, ale zaraz spytała:

- A co z twoim ramieniem?

- Już prawie się zagoiło. - Wyprostował rękę i pomachał nią energicznie, żeby dowieść prawdy swoich słów.

Odgarnęła mu kosmyk z czoła.

- Podoba mi się - oświadczyła.

- Co, Rebeko?

- Ten kosmyk.

- Mnie on raczej przeszkadza.

- Wyglądasz jak Byron.

- Och, zawsze chciałem wyglądać dokładnie tak, jak lord Byron.

Znowu się uśmiechnęła.

- Może zacząłbyś pisywać wiersze? Powinieneś ułożyć odę na cześć mojego nosa.

Choćby po to, żeby pisać wiersze lepsze niż Edelston.

- Coś mi się zdaje, że na świecie jest zbyt wielu poetów oraz takich, którzy się za nich uważają. Tymczasem ja mam mnóstwo roboty i jako księżę, i jako mąż. Poza tym wolałbym pisać odę na cześć innej części twojego ciała...

Rebeka znowu się zaśmiała, a on ujął rękę, którą gładziła go po włosach i delikatnie ucałował wewnątrz jej dłoni. Spojrzał żonie w oczy.

- Connor...

- Tak?

- Dobrze się czujesz w roli księcia?

- Muszę przyznać, że wciąż mnie bawi szokowanie londyńskiej elity. Najpierw zmartwychwstałem, potem nagle ożeniłem się za specjalnym zezwoleniem. Towarzystwo wręcz nie może się doczekać, co jeszcze zrobię. Zacząłem już uważać za swój obowiązek dostarczanie ludziom pożywki do plotek - stwierdził pół żartem, pół serio.

- Ale czy tobie naprawdę odpowiada rola księcia? Westchnął. Nie pozwoliła mu obrócić wszystkiego w żart.

- Jestem potrzebny dzierżawcom z Keighley Park - powiedział po chwili. - I może zdołam dokonać czegoś dobrego w parlamencie.

- Tęsknisz za podróżą do Ameryki.

- A ty do tego, żeby opatrywać i zaszwywać rany, co raczej nie należy do obowiązków księżnej. Czy będziesz kiedyś szczęśliwa, Rebeko?

- Teraz, kiedy matka jest wniebowzięta, bo wyszłam za księcia, a Lorelei wkrótce poślubi pułkownika, chyba też powinnam być szczęśliwa.

Connor się uśmiechnął.

- Może uda nam się zrobić wszystko, co chcemy - dodała cicho.

- Może - odparł, również przyciszonym głosem. - Może zatrudnimy Chestera Sharpa jako woźnicę, żeby nas zawiózł do Keighley Park? Bez wątpienia któremuś z tamtejszych

wieśniaków trzeba będzie zszyć ranę, przyłożyć kataplazm lub pomóc w inny sposób. Albo nawet zajdzie konieczność wykonania jakiegoś dość niebezpiecznego zabiegu, który zaspokoiłby twoją chęć leczenia.

Zaśmiała się figlarnie, a on znów poczuł głębokie wzruszenie.

- Kocham cię, Rebeko.

Ześliznęła się z fotela, uklękła przy nim i zarzuciła mu ręce na szyję.

- A ja kocham ciebie. Nie martw się o nic. Wiesz przecież, że będziemy bardzo szczęśliwi.

- Wiem.

Pocałował ją delikatnie, lecz pocałunek szybko stawał się coraz bardziej namiętny i po chwili wszystko poza nimi dwojgiem przestało się liczyć.

Podziękowania

Podczas pracy korzystałam z niezwykle życzliwości i wsparcia wielu osób. Na moją bezgraniczną wdzięczność zasłużyły: Elizabeth Pomada, niezwykła agentka, która we mnie wierzyła i znalazła mi wspaniałego wydawcę, oraz Beth de Guzman i Melanie Murray z Warnera za entuzjazm, z jakim przyjęły Nieuchwytnego księcia. Melanie, nie wiem, czy potrafię wystarczająco podziękować za twoją cierpliwość, dobre rady i humor, jestem szczęśliwa, mając takiego redaktora! Na moją szczególną wdzięczność zasłużyły: Diane Luger i Mimi Bark, również z Warnera, zwłaszcza za piękną okładkę. Doprawdy, uważam za wielkie szczęście, że zostałam autorką Warnera.

Jest też mnóstwo innych osób, które podtrzymały mnie na duchu. Dziękuję więc Lisie Martin, kochającej siostrze, która świetnie zna swój Jach (cóż ja bym bez ciebie zrobiła, Lis?); Davidowi George'owi, któremu od razu spodobała się moja książka, co zagwarantowało, że zdołałam ją skończyć; Kenowi Mierowowi za szczerą krytykę i to, że zawsze wygłaszał słuszne uwagi; Doreen DeSalvo za humor, doskonałe wzajemne relacje i przyjaźń - ogromnie się cieszę, że dzięki Nieuchwytnemu księciu mogłam cię poznać, Doreen! Wyrazy uznania należą się też Steve'owi Czerniakowi za życzliwą ocenę, wsparcie i wesolość-jesteś cudownym kumplem, Estebanie. Mojej siostrzyczce Karen Crist oraz Melisie Phillips wdzięczna jestem za nieustanne zachęty i wielokrotne czytanie całego tekstu. A Chrisowi... z tego samego powodu.

Dziękuję również wielu innym, którzy otaczali mnie przychylnością i nie szczędzili wsparcia. Jestem żywym dowodem na to, że ich słowa coś zdziałały. Mam nadzieję, że wiedzą, o kim mówię, a moje wyrazy najgłębszego uznania odnoszą się do nich wszystkich.